JAK BUKMACHERZY SKOPALI PIŁKĘ

RAKIETA SPADA NA POLSKĘ
ZIMA UDERZA W UKRAINĘ

W OBRONIE KOLUMBA

Kraków 27 listopada 2022 nr 48 (3829) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Czy spowiedź jest dla dzieci

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Historia walki, oporu, poświęcenia. Solidarności i pomocy.

To także nasza historia.

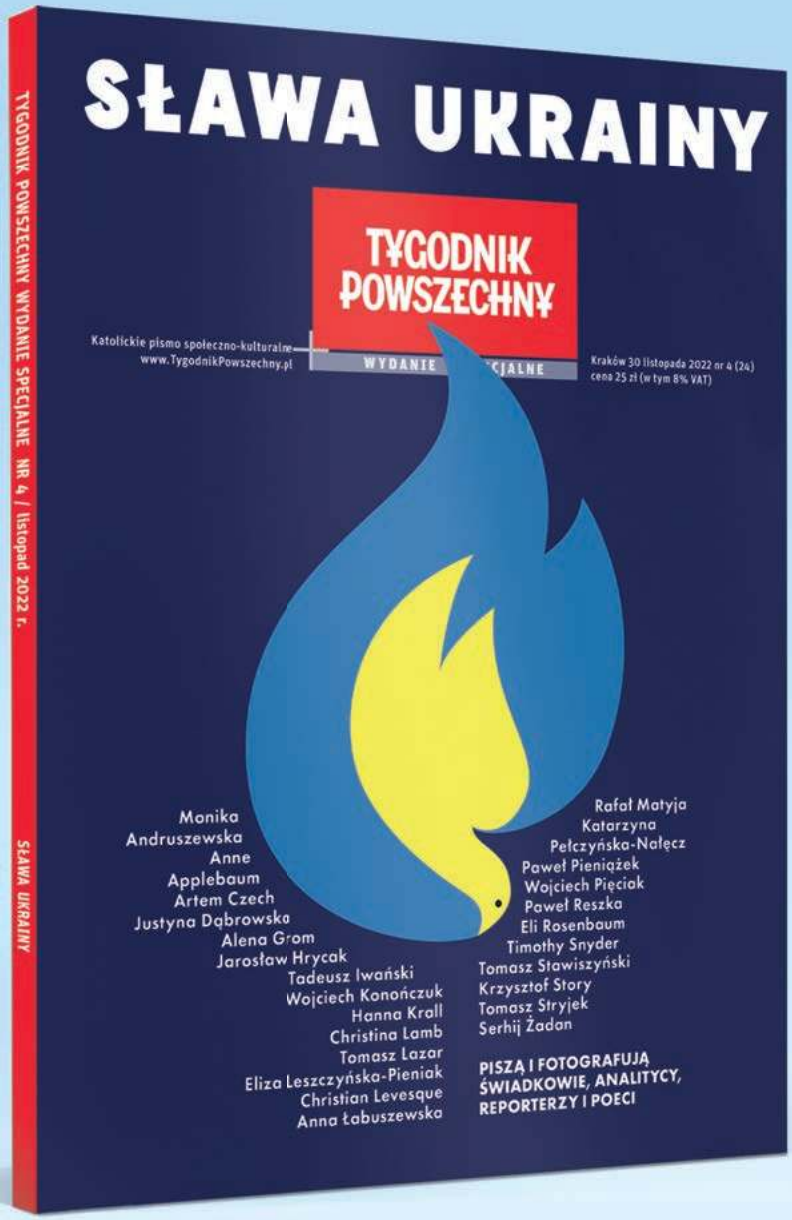

Wydanie specjalnie „Tygodnika Powszechnego" w sprzedaży od środy 30 listopada.

Szukaj w najlepszych punktach z prasą lub zamów zawczasu swój egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

REKLAMA

WSPÓŁWYDANIE:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

DOFINANSOWANIE:

Wydanie sfinansowano z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022 Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec i Goethe-Institut www.goethe.de.

Federal Foreign Office

GOETHE INSTITUT

KS. ADAM

Boniecki: *Małolaty*

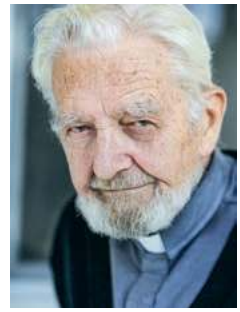

Ludzie są różni i różne są ich drogi do zbawienia. Jak wiadomo, na wczesną spowiedź zezwolił Pius X, bardzo popularny papież, potem ogłoszony świętym. Jego decyzja dotyczyła dzieci, dotychczas do komunii niedopuszczanych, i zarazem dotyczyła sposobu rozumienia sakramentu Eucharystii. 8 sierpnia 1910 r., a więc przed ponad stu laty, wydał dekret „O wieku, w którym należy dopuszczać dzieci do I Komunii Świętej". Nakazał w nim, by dzieci przyjmowały Pana Jezusa w siódmym roku życia, a nawet wcześniej, o ile „potrafią odróżnić chleb zwykły od Chleba Eucharystycznego". Uznał, że do tego, by małe dzieci mogły przystąpić do komunii św., nie jest konieczne, żeby znały cały katechizm.

To powiedziawszy, przyznajmy, że problematyczność spowiedzi dzieci jest realna, choć trudno mi się zgodzić z propozycją, by wszystkie miały czekać z komunią do iluś tam lat na dojrzałość czy przynajmniej dorośnięcie. Przecież odpowiedzialność przed Bogiem jest czymś zupełnie innym niż odpowiedzialność przed ludzkimi osądami i trybunałami tej ziemi. Mają rację ci, którzy, powołując się na fatalne skutki wczesnej spowiedzi, postulują opóźnienie jej do wieku lat nawet dwunastu, ale także mają rację ci, którzy bronią spowiedzi nawet całkiem małych dzieci. Zauważmy – nie można wszystkich wrzucać do tego samego worka.

Zobaczmy, jaką formę wczesnej komunii i spowiedzi wprowadził dość uroczyście w swojej parafii nietypowy proboszcz, ks. Marcin Węcławski. Mam wrażenie, że ks. Marcin z jednej strony nie chciał zamykać rodzicom (i oczywiście, przede wszystkim dzieciom) drogi do tego sakramentu, z drugiej strony nie chciał, by stało się to powszechnym zwyczajem. Stąd szereg wymagań, wśród nich szczególnie istotne: do pierwszej komunii nie przygotowują księża ani profesjonalni katecheci, lecz rodzice. Ksiądz spotyka się z dzieckiem dwa czy trzy razy. Przygotowanie dzieci przez rodziców powinno być normą. Normą nie jest, bo tak się postrzega rodziców. Zakłada się, że nie wiedzą, jak to robić, i nie mają chęci się dowiedzieć. Nie mnie oceniać, czy to przesąd.

Oczywiście, są dzieci, które mają łatwość zrozumienia tajemnic wiary, i są takie, które jej nie mają. Może mieć na to wpływ dom rodzinny, choć nie musi. „Dziesięcioletnie, prawidłowo rozwijające się dziecko powinno mieć ukształtowaną moralność adekwatną do wieku na tyle, aby zrozumieć sens i znaczenie winy moralnej, tu [w przypadku spowiedzi – ABo] – grzechu. O kształtującym się sumieniu możemy mówić już od wczesnych lat dzieciństwa, w okolicach drugiego roku życia" (ks. Marcin Węcławski).

Z pewnością mówienie o „dziesięciu latach" jest uproszczeniem. To, że można mówić o kształtującym się sumieniu „w okolicach drugiego roku życia", jest z pewnością słuszne w jednym, ale niesłuszne – w innym przypadku. Formułowanie zasad jest potrzebne, jednak zasady ogólnie słuszne w konkretnych sytuacjach już takie nie są, dlatego ich słuszność należy widzieć inaczej. Tak też sformułował je Pius X.

Zostawmy przestrzeń dla wolności. W zamyśle inicjatywa Piusa X nie miała otworzyć dostępu do komunii wszystkim dzieciom bez wyjątku. Chodziło o uwzględnienie osobistych predyspozycji każdego dziecka. I tego się trzymajmy. Doświadczenia takie jak księdza Marcina Węcławskiego są ważnym sprawdzianem. ©℗

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Dziedzictwo azbestu
KRZYSZTOF STORY
Zakazany ćwierć wieku temu materiał budowlany zabija nadal – i okazuje się jeszcze groźniejszy, niż sądziliśmy.

36 Ksiądz słucha inaczej
PSYCHOLOG RYSZARD IZDEBSKI W ROZMOWIE Z ANNĄ GOC:
Ksiądz nie ma tego, co ma mam ja jako psychoterapeuta, nie widzi progresu. W zasadzie dziwię się, że ktoś ma odwagę spowiadać dzieci.

44 Znowu w domu
PAWEŁ PIENIĄŻEK
W Chersoniu radość z wyzwolenia miesza się z przerażającymi wspomnieniami.

60 Kolonoskopia ratuje życie
BARTOSZ KABAŁA
Z prostym badaniem, które może uratować życie, kłopot mają nie tylko pacjenci.

64 Boże ściernisko
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Zagranicznych historyków frapuje od lat odmienność Polski i jej silny związek z katolicyzmem.

78 Odkrywca mimo woli
MICHAŁ SOWIŃSKI
Według współczesnych standardów jego stosunek do rdzennej ludności Ameryki był karygodny, ale w porównaniu z tymi, którzy przyszli po nim, Krzysztof Kolumb jawi się wręcz jako człowiek empatyczny.

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP // KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP" // TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP // WIKIMEDIA / DOMENA PUBLICZNA // JACEK PISKI / REPORTER // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 Winę ponosi agresor
WOJCIECH PIĘCIAK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Dziedzictwo azbestu
KRZYSZTOF STORY

25 Daleko nam do Japonii
PIOTR WÓJCIK:
Płace spadają w całej Europie. W Polsce – o dziwo – wolniej niż w innych krajach

27 Zastaw się, a postaw
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Pojedynek bukmacherów z przeciwnikami sportowego hazardu to mecz do jednej bramki

WIARA

33 Rachunek i sumienia
DAWID GOSPODAREK: *Czy dziewięciolatek może popełnić śmiertelny grzech? Czy małe dziecko powinno mierzyć się z rachunkiem sumienia? I czy księża są przygotowani do spowiadania dzieci?*

36 Ksiądz słucha inaczej
ROZMOWA Z RYSZARDEM IZDEBSKIM

40 Sztuka czekania
PIOTR SIKORA *z medytacją na czas Adwentu*

ŚWIAT

44 Znowu w domu
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHERSONIA

48 Wielka grabież
PIOTR KOSIEWSKI *o czystce kulturowej na terenach Ukrainy zaanektowanych przez Rosję*

TEMAT TYGODNIKA

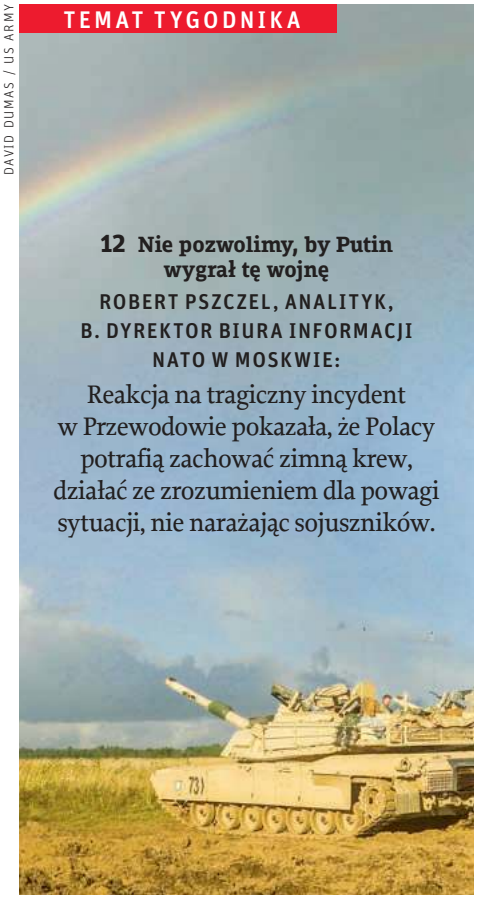

DAVID DUMAS / US ARMY

12 Nie pozwolimy, by Putin wygrał tę wojnę
ROBERT PSZCZEL, ANALITYK, B. DYREKTOR BIURA INFORMACJI NATO W MOSKWIE:
Reakcja na tragiczny incydent w Przewodowie pokazała, że Polacy potrafią zachować zimną krew, działać ze zrozumieniem dla powagi sytuacji, nie narażając sojuszników.

FELIETONY

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 ZUZANNA RADZIK
76 OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

50 Cesarz Bośni
DARIUSZ KAŁAN Z SARAJEWA:
Poparcie mieszkańców Bośni i Hercegowiny dla integracji z Unią Europejską jest na rekordowo wysokim poziomie – mimo że jej najważniejszy wysłannik robi wiele, żeby ich zniechęcić do Zachodu

53 Przyszłość decyduje się w Azji
TOMASZ AUGUSTYNIAK
o szczycie G20 w Indonezji

HISTORIA

56 Głos albańskiego pokolenia
MARTA SZPALA *rozmawia z albańską filozofką* LEĄ YPI *o dorastaniu w totalitaryzmie i o późniejszym rozczarowaniu liberalizmem*

NAUKA

60 Kolonoskopia ratuje życie
BARTOSZ KABAŁA

KULTURA

64 Boże ściernisko
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

68 Przeszczepy i tradycje
FILIP ŁOBODZIŃSKI:
Polska muzyka oderwała się od własnych korzeni

71 Stany odmieńcze
DARIUSZ KOSIŃSKI *zastanawia się, gdzie szukać dziś w Polsce „teatru niezależnego”*

74 Koniec ugody
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Jednym głosem”*

75 Patryk Pufelski istnieje
LEKTOR *o „Pawilonie małych ssaków” Patryka Pufelskiego*

ZMYSŁY

78 Odkrywca mimo woli
MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Biskupi, najpierw rozliczcie się sami
Stanowisko episkopatu wobec działań Jana Pawła II w sprawie przestępstw seksualnych więcej mówi o myśleniu biskupów niż o pontyfikacie papieża – pisze **TOMASZ P. TERLIKOWSKI** | **powszech.net/episkopat-dokument**

Strona świata: Mundial w Katarze
WOJCIECH JAGIELSKI o drużynach z Afryki, które grają w Katarze. Każda z nich chce jako pierwsza dostać się do Wielkiej Czwórki | **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

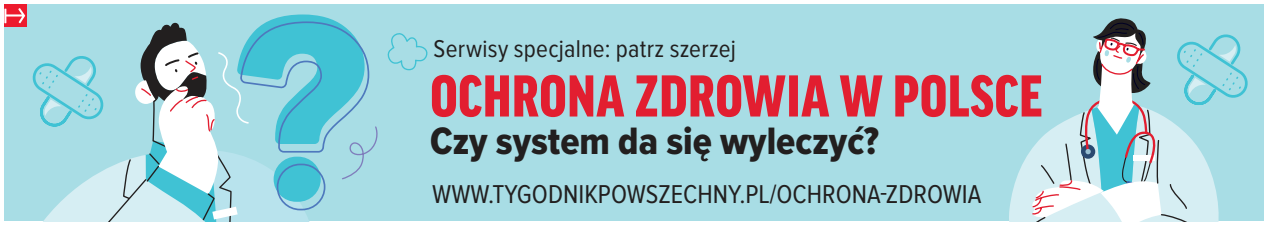

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

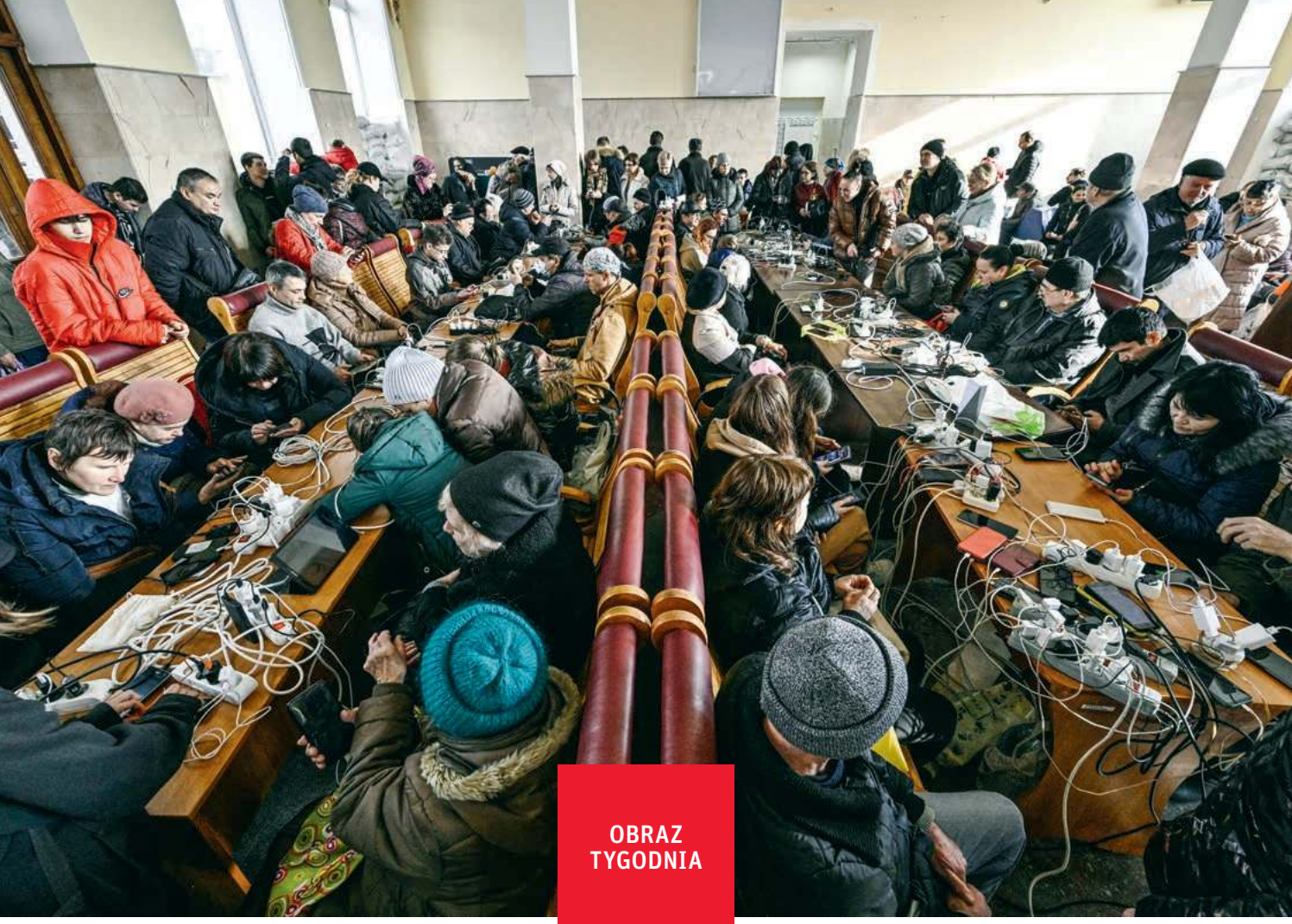

OBRAZ TYGODNIA

WINĘ PONOSI AGRESOR

Co prezydent Wołodymyr Zełenski chciał uzyskać lub czemu zapobiec, gdy przez kilka dni obstawał przy tym, że pocisk, który spadł na Przewodów, nie był ukraiński?

WOJCIECH PIĘCIAK

Prezydent Ukrainy działa pod podwójną presją. W codziennych wystąpieniach musi dawać swoim obywatelom nadzieję, dowodzić, że opór i ofiary mają sens. Wobec polityków zachodnich musi zaś zabiegać o wszelkie możliwe wsparcie, którego znaczenie dla przetrwania kraju rośnie z miesiąca na miesiąc (ponad połowa budżetu Ukrainy pochodzi już z międzynarodowych donacji). Musi też szukać sposobów, aby ci z nich, którzy wciąż wahają się przed kolejnym krokiem, jaki chwilę wcześniej zdawał się im nie do pomyślenia, zyskali odwagę, by go zrobić – i mieli argumenty dla swoich obywateli, często już „znużonych Ukrainą".

Co Zełenski chciał więc uzyskać albo czemu zapobiec, gdy przez kilka irytująco długich dni obstawał przy tym – wbrew twierdzeniom najwierniejszych partnerów, USA i Polski – że pocisk, który spadł na Przewodów i zabił polskich obywateli, nie został wystrzelony przez ukraińskich przeciwlotników, rozpaczliwie broniących swojego nieba przed rosyjskimi rakietami Kalibr i irańskimi dronami szahid? Czy była to niezdolność do przyznania się do... No właśnie, do czego? Bo przecież nie do błędu podwładnych – ci nie wystrzeliliby antyrakiety S-300, gdyby wcześniej Rosja, tylko tego jednego dnia, 15 listopada, nie wypuściła około stu pocisków ma-

W odzyskanym Chersoniu zniszczona jest infrastruktura, w tym wodociągi i linie energetyczne. Mieszkańcy ładują telefony na miejskim dworcu kolejowym, jednym z niewielu miejsc, gdzie jest prąd. Chersoń, 19 listopada 2022 r.

newrujących, rakiet i dronów celujących w elektrownie – być może m.in. także w tę w miasteczku Dobrotwór, kilkanaście kilometrów na wschód od Przewodowa. Gdy antyrakieta nie trafia w cel, powinien zadziałać jej mechanizm samozniszczenia – nie zadziałał. Niemniej ciąg przyczynowo-skutkowy jest jasny: winę za tę tragedię ponosi agresor, który terrorystycznymi nalotami dzień w dzień demoluje ukraińską cywilną infrastrukturę, z poczuciem bezkarności.

Może ukraiński prezydent obawiał się, że uznanie faktów (tj. zapisu toru lotu pocisku, bez wątpienia zarejestrowanego przez liczne „uszy i oczy" aliantów zachodnich) doprowadzi do tego, iż opinia publiczna w Polsce odwróci się od Ukrainy? Tymczasem powstała sytuacja paradoksalna – i w gruncie rzeczy świadcząca o tym, że niełatwo Kremlowi rozgrywać polskie społeczeństwo. W sondażu United Surveys dla radia RMF i „Dziennika Gazety Prawnej", opublikowanego 21 listopada, 70 proc. pytanych Polaków uznało, że tragedia w Przewodowie nie będzie mieć wpływu na stosunki polsko-ukraińskie. Koniec końców, więcej szkód niż ukraińska antyrakieta mógł więc wywołać upór Zełenskiego.

Możliwa jest i taka interpretacja, że miał on nadzieję, iż tragedia ta skłoni Zachód do choćby niewielkiego włączenia się w obronę przestrzeni powietrznej, nawet tylko Ukrainy zachodniej, np. przez ogłoszenie jej strefą zakazu lotów – z uzasadnieniem, iż rosyjskie rakiety zagrażają bezpieczeństwu państw sąsiadujących z Ukrainą. Taka nadzieja byłaby rozpaczliwa – do tak ryzykownego kroku konieczna byłaby jeśli nie jednomyślność krajów NATO, to przynajmniej akceptacja ze strony głównych państw Sojuszu. Takiej akceptacji by nie było – zakładając teoretycznie, że ktoś by coś takiego zaproponował.

Ale też sytuacja Ukrainy dzisiaj, pod koniec dziewiątego miesiąca inwazji, jest naprawdę rozpaczliwa – bo choć na lądzie Rosja utraciła inicjatywę (i jedyne miejsce, gdzie jeszcze atakuje, to Donbas), równocześnie systematycznie niszczy nalotami infrastrukturę, od której zależy funkcjonowanie społeczeństwa – w wymiarze i materialnym, i psychologicznym. Jedynym chyba sposobem, by temu przeciwdziałać, są dostawy zachodniej broni przeciwlotniczej na masową skalę. I agregatów prądotwórczych: one są tam produktem pierwszej potrzeby. ©℗

Więcej w serwisie
tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

GENYA SAVILOV / AFP / EAST NEWS

Szczyt klimatyczny: plaster na pożar

AGATA KAŹMIERSKA

Co roku jest tak samo: każde zdanie porozumień staje się zaczynem do zaciekłych sporów, ale gdy rozmowy się kończą, ogłaszany jest wielki przełom. W rzeczywistości zamiast przełomów są małe kroczki, które coraz mocniej odstają od problemów przyspieszającego ocieplenia Ziemi. Na szczycie COP27 w Szarm el-Szejk nie było jednak nawet małych kroczków, a „wielki przełom" przypomina decyzję mieszkańców płonącego domu, że znajdą pieniądze na plaster dla poparzonych.

Z trudem udało się obronić ustalenia poprzednich szczytów klimatycznych. Przedstawiciele UE zagrozili, że opuszczą rozmowy, jeśli w deklaracji końcowej zabraknie zapisu o utrzymaniu maksymalnego progu ocieplenia na poziomie 1,5 st. C względem epoki preindustrialnej (większy wzrost sprawi, że wpadniemy w korkociąg ekstremów pogodowych). Frans Timmermans stwierdził wprost, że „brak porozumienia jest lepszy niż złe porozumienie". Sęk w tym, że nawet jeśli wszystkie państwa wywiązałyby się z dotychczasowych zobowiązań (a na razie nic tego nie zapowiada), to i tak jesteśmy na ścieżce do ocieplenia o 2,4-2,8 st. C. Mało tego, w deklaracji końcowej COP27 – wskutek nacisku m.in. Chin i Arabii Saudyjskiej – nie ma mowy o tym, kiedy świat odejdzie od paliw kopalnych.

Ów plaster to porozumienie o pomocy dla państw najbardziej narażonych na zmiany klimatu. W znakomitej większości to słabiej rozwinięte kraje globalnego Południa, które wpompowały do atmosfery nieproporcjonalnie mniej gazów cieplarnianych niż bogata Północ. A ta jak diabeł święconej wody bała się słowa „reparacje", bo – jak przyznał przedstawiciel administracji USA – to by otwierało drogę do pozwów. Stworzono więc fundusz „strat i szkód". Jak ma działać? O tym ma zdecydować za rok kolejny „przełomowy" szczyt. ©

Artemis wystartowała. Wracamy na Księżyc

PO DWÓCH HURAGANACH, serii awarii i niemal 20 latach przygotowań Ameryka – z Europą – wraca do podboju kosmosu.

To była trzecia próba startu. Pod koniec sierpnia zawiódł system chłodzenia jednego z silników. Na początku września wykryto wyciek wodoru. Potem rakietę trzeba było ewakuować, bo nadciągał huragan Ian. Udało się w końcu 16 listopada. Start rakiety SLS – najpotężniejszej kiedykolwiek zbudowanej przez NASA – z kapsułą Orion rozpoczął misję, od której zależy, czy ludzkość wróci na powierzchnię naszego satelity. A potem ruszy dalej na podbój Układu Słonecznego.

Bezzałogowy Orion (w jego fotelach umieszczono trzy manekiny) spędzi w kosmosie aż 25 dni, wykonując rozmaite pomiary i testy. Finałem misji będzie ogniste wejście w atmosferę Ziemi i wodowanie na Pacyfiku 11 grudnia. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, w 2025 r. w lot wokół Księżyca wyruszy załogowa misja Artemis 2. Około roku później astronauci misji Artemis 3 jako pierwsi od przeszło półwiecza zejdą na księżycowy grunt.

GREGG NEWTON / AFP / EAST NEWS

Tym razem celem nie jest, jak w czasach zimnej wojny, prosty propagandowy triumf. W programie Artemis chodzi o zbudowanie trwałej ludzkiej obecności na Księżycu – bazy na jego powierzchni i stacji kosmicznej Gateway, która będzie go okrążać.

„Na Księżycu możemy nauczyć się tego, jak przetrwać we wrogim środowisku w odległości trzech-czterech dni drogi od Ziemi, zanim ruszymy dalej i oddalimy się od niej na odległość, której pokonanie zajmuje wiele miesięcy" – mówił były szef NASA Bill Nelson. „To jest cel tego programu: wracamy na Księżyc, żeby nauczyć się, jak tam żyć".

7 grudnia minie pół wieku od chwili, gdy w drogę na Księżyc wyruszyła ostatnia jak dotąd załogowa misja Apollo 17. Orion uczci tę rocznicę 60 tys. km od domu.

© MICHAŁ GIKOWSKI

Dzieci z tego nie będzie

PRZEMEK WILCZYŃSKI

Rząd przyjął „Strategię Demograficzną 2040", określając ją jako „pierwszy w Polsce kompleksowy dokument mierzący się z niekorzystnymi trendami w obszarze demografii". Z dokumentu dowiemy się jednak rzeczy, o których demografowie mówią od lat: że wyższa dzietność to nie tylko transfery finansowe, ale też np. poprawa sytuacji w mieszkalnictwie, usługach opiekuńczych (żłobki i przedszkola), w systemie ochrony zdrowia, edukacji i na rynku pracy. Mowa jest o lepszej opiece okołoporodowej i ograniczeniu liczby cesarskich cięć, ale nie bardzo wiadomo, jak rząd chce te cele osiągnąć. Strategia wspomina też o leczeniu chorób mogących prowadzić do niepłodności (problem dotyczy co najmniej półtora miliona par), ale konkretnej odpowiedzi na nią samą brak (*in vitro* to – jak można się było spodziewać – określenie zakazane).

Lektura dokumentu (na stronach Pełnomocnika Rządu ds. Polityki Demograficznej nie ma jeszcze ostatecznej wersji, ale udostępniony projekt – jak zapewniają urzędnicy – jest co do istoty zbieżny z tym przyjętym) może też wprawić w konsternację. Czyta się go jak raport otwarcia przystępującego do wytężonej pracy obozu rządzącego, nie zaś partii trzymającej państwowe stery od siedmiu lat. W dodatku ugrupowania, które podobne do tych wymienionych w „Strategii" cele stawiało sobie już przed 2015 r., ale z ich realizacji niewiele wyszło: współczynnik wynoszący wtedy niecałe 1,3 dziecka na kobietę w wieku rozrodczym wzrósł nieznacznie w kolejnych latach, by następnie znowu opaść.

Kiedy Jarosław Kaczyński mówił o młodych kobietach, które „dają w szyję", zamiast rodzić dzieci, jego słowom towarzyszyła głównie ogólnonarodowa ironia. Dziś można spekulować, czy słowa prezesa podpadały pod „popularyzację kultury sprzyjającej rodzinie" – to jeden z dwunastu celów przyjętej przez rząd „Strategii" – czy może pod jakiś inny paragraf. Na pewno były próbą przerzucenia na kobiety winy za klęskę PiS w obszarze, który miał być jego strategicznym sukcesem. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

CZY PREMIER WIDUJE MINISTRA

„Warto, byśmy się spotkali, bo chciałbym zadać Mateuszowi Morawieckiemu pytanie: jak to się stało, że pieniądze z KPO są jednak blokowane" – powiedział Zbigniew Ziobro, i jak na fakt, że obaj pracują w jednym rządzie, wiadomość o tym, iż się nie spotykają, brzmi sensacyjnie.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

CZY JEST BEZPIECZNIE

Gdyby do spotkania premiera z ministrem sprawiedliwości miało jednak dojść, warto by odbyło się w atmosferze nieskrępowanej szczerości – np. w tworzonym przez Jacka Sasina za 912 tys. zł antypodsłuchowym gabinecie w Ministerstwie Aktywów Państwowych.

CZY BĘDZIE WARTO

Inna sprawa, że ministrowie są naprawdę zajęci: szef MON Mariusz Błaszczak zlecił pilotom myśliwców F-16, by eskortowali do granic Polski piłkarzy wylatujących na mundial. „Mamy nadzieję, że nasi reprezentanci osiągną wiele, jest to bardzo dobra drużyna, świetni zawodnicy, więc okazujemy im wsparcie" – tłumaczył, dodając, że lot myśliwców był szkoleniowy.

CZY BYŁO WARTO

70 proc. badanych w sondażu Ipsos dla OKO.press popiera prawo do aborcji do 12. tygodnia ciąży – odsetek osób popierających liberalizację zaostrzonej przez Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej ustawy wzrósł w ciągu trzech lat z 53 proc.

Zgrzyt przy grzywnie

SEJM ZNOWELIZOWAŁ ustawę o państwowej komisji ds. pedofilii, o co wnioskował w swym projekcie prezydent. Jej członkowie mogą teraz żądać, by związki wyznaniowe (a także sportowe, gdzie również dochodziło do przestępstw seksualnych) przekazywały dokumenty w terminie do 30 dni od złożenia wniosku. Kłopot w tym, że zdaniem części opozycji na niewiele się to zda, bo komisja nie została wyposażona w żadne mechanizmy nakładania kar za niedotrzymanie ustawowych zobowiązań. Co prawda w trakcie obrad posłanka KO Kamila Gasiuk-Pihowicz zgłosiła poprawkę – zaakceptowaną przez sejmową komisję ustawodawczą i ustanawiającą karę grzywny za takie przewinienie – jednak PiS i koalicjanci zgłosili własny wniosek i szybko przeszli do trzeciego czytania. Stało się tak po wcześniejszym stanowisku episkopatu, który uznał nowe przepisy za potencjalnie sprzeczne z konkordatem.

Przy okazji doszło do zgrzytu między posłami KO i Polski 2050. Ci ostatni zagłosowali ostatecznie za projektem partii władzy. Jak tłumaczą, poprawka KO była bublem prawnym, a grzywny mogą i tak nakładać sądy na podstawie istniejących już przepisów. ©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

Wybór bez WIBOR-u

BEZPRECEDENSOWA DECYZJA zapadła w katowickim sądzie – pozywający bank kredytobiorca został tymczasowo zwolniony ze spłaty pełnej raty. W ramach zabezpieczenia powództwa klient będzie odtąd spłacać tylko ratę kapitałową powiększoną o marżę banku. Łącznie – 1,7 tys. zł. Odsetki, wyliczone na podstawie zmiennej stawki WIBOR, do czasu prawomocnego rozstrzygnięcia sprawy zniknęły z harmonogramu spłat. W kieszeni klienta pozostaje aż 5 tys. zł miesięcznie.

Orzeczenie dotyczy jednej z ponad stu spraw o unieważnienie kredytu hipotecznego zaciągniętego w rodzimej walucie i ze zmienną stopą oprocentowania. Takie zobowiązanie ma obecnie około 2 mln klientów w Polsce, z czego 800 tys. pożyczyło na mieszkanie w okresie, gdy stopy procentowe NBP ocierały się o zero – a teraz dotkliwie odczuwa wzrost wysokości rat. Z tego powodu część kredytobiorców kwestionuje ustalaną arbitralnie przez banki stawkę WIBOR (w skrócie – procent, na jaki banki byłyby gotowe pożyczać sobie nawzajem pieniądze, gdyby tego faktycznie potrzebowały) jako klauzulę niedozwoloną. Czyli taką samą, jaką w umowach frankowych okazały się zapisy uzależniające wysokość raty od ustalanego przez bank kursu szwajcarskiej waluty.

Zabezpieczenie powództwa to oczywiście nie wyrok i po ewentualnej przegranej klient będzie musiał wyrównać bankowi niedopłatę. ©℗ MR

SALAMPIX / ABACA PRESS / FORUM

JUŻ TRZECI MIESIĄC trwają protesty w Iranie, rozpoczęte po śmierci 22-letniej Mahsy Amini, którą policja obyczajowa zatrzymała i pobiła za to, że nosiła obcisłe spodnie i nie miała całkowicie zakrytych włosów. Władze postępują coraz brutalniej – przybywa np. doniesień o strzelaniu pociskami gumowymi z bliskiej odległości w twarze demonstrantów. Według irańskich obrońców praw człowieka w demonstracjach zginęło już pond 380 osób, w tym 58 dzieci. Około 16 tys. osób aresztowano. Na zdjęciu: demonstracja w Mahabadzie, w regionie zamieszkałym przez Kurdów, 16 listopada 2022 r. ©℗ ŻYM

Donald Trump chce znowu być prezydentem

MARTA ZDZIEBORSKA

Amerykę czekają dwa burzliwe lata. Walka Trumpa o reelekcję to tylko preludium do chaosu przed wyborami prezydenckimi w 2024 r. „Mój powrót zaczął się dzisiaj" – powiedział 15 listopada były prezydent, ogłaszając kampanię. W rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie po raz kolejny obiecywał, że „uczyni Amerykę znów wielką". „Nasz kraj jest w tragicznym stanie. Odbudowanie go nie jest zadaniem dla zwykłego kandydata. To misja dla wielkiego ruchu pełnego odwagi i ducha amerykańskiego narodu" – grzmiał Trump, który zaledwie tydzień wcześniej musiał przełknąć porażkę wielu ze „swoich" kandydatów w wyborach do Kongresu. To z kolei wystawiło go na ostrą krytykę ze strony Republikanów, liżących rany po tym, jak nie zdołali odbić Demokratom Senatu i zyskali tylko niewielką przewagę w Izbie Reprezentantów.

Teraz eksperci są zgodni: Trump pospieszył się z ogłoszeniem wyścigu o Biały Dom, by wyprzedzić potencjalnych rywali w walce o partyjną nominację – np. gubernatora Florydy Rona DeSantisa, b. wiceprezydenta Mike'a Pence'a czy b. ambasadorkę USA przy ONZ Nikki Haley. Wszyscy przebąkują, że Republikanom potrzebny jest nowy lider, co przekonuje prominentnych darczyńców do zakręcenia kurka z pieniędzmi dla Trumpa. Nawet córka Ivanka ma nie angażować się w jego kampanię.

Osłabiony Trump liczy też jednak na to, że utrudni pracę śledczym badającym m.in. rolę, jaką odegrał przed szturmem na Kapitol. Teraz, w przypadku postawienia mu zarzutów, Departament Sprawiedliwości może być oskarżony o działanie z pobudek politycznych, szczególnie jeśli Joe Biden zawalczy o reelekcję. Na wypadek takiego scenariusza wyznaczono już specjalnego prokuratora, który ma czuwać nad transparentnością i niezależnością dochodzeń ws. Trumpa.

Bez względu na to, jak potoczą się losy b. prezydenta, emocji nie zabraknie również na Kapitolu. Republikanie zapowiedzieli już, że po objęciu w styczniu kontroli nad Izbą Reprezentantów rozpoczną śledztwa dotyczące działań administracji Bidena oraz zagranicznych interesów biznesowych jego syna Huntera. Wtedy zacznie się polityczna walka na noże.

Autorka jest dziennikarką „Press".

Jest wyrok ws. lotu MH-17

RODZINY OFIAR czekały na niego osiem lat. W lipcu 2014 r., kilka miesięcy po aneksji Krymu i agresji Rosji, malezyjski samolot pasażerski wykonujący lot nr MH-17 z Amsterdamu do Kuala Lumpur został zestrzelony nad wschodnią Ukrainą przez prorosyjskich separatystów. Zginęło 298 osób, wszyscy znajdujący się na pokładzie. 17 listopada sąd w Niderlandach wydał wyrok na sprawców.

Jeśli nie liczyć skargi na Rosję wniesionej do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka przez Niderlandy (wiosną Rosja została wyrzucona z Rady Europy, więc skarga może zostanie oddalona z powodów formalnych), jest to ostatni akt w sprawie tragicznego lotu. Igora Girkina i Siergieja Dubińskiego, b. oficerów rosyjskiego wywiadu, oraz Leonida Charczenkę, dowódcę jednostki prorosyjskich seperatystów, skazano na dożywocie. Czwartego oskarżonego, również b. oficera wywiadu, uniewinniono. Skazani nie trafią do więzienia – wszyscy przebywają w Rosji. Rosyjski MSZ uznał wyrok za motywowany politycznie efekt „jednego z najbardziej skandalicznych procesów w historii prawa". Prezydent Ukrainy zaapelował z kolei o ukaranie politycznych sprawców zestrzelenia samolotu (w domyśle: Władimira Putina).

Poza ukojeniem, o którym wspominały rodziny ofiar, w sprawie lotu MH-17 wyrok sądu zmieni niewiele: proces bazował na wcześniejszym śledztwie międzynarodowej komisji, które nie pozostawiło cienia wątpliwości co do rosyjskiej winy. Samo dochodzenie – oparte na tzw. otwartych źródłach (w tym imponującej pracy obywatelskiego portalu śledczego Bellingcat, który głównie na podstawie zdjęć z mediów społecznościowych ustalił drogę wyrzutni z Rosji na miejsce wystrzelenia i z powrotem) – było jednak precedensowe, w przyszłości może posłużyć za wzór dla śledztw ws. zbrodni wojennych w Ukrainie. Sąd uznał, że mimo toczących się walk „ogólna kontrola Rosji" sprawowana w momencie zdarzenia nad terytorium separatystów wystarcza, aby odpowiedzialność za nie ponosiły jej struktury i ich dowódcy. Sędziowie podkreślili, że Kreml zbroił i wspierał separatystów w Ukrainie, co stało się pierwszą przyczyną śmierci niemal trzystu ludzi, symbolicznie pierwszych międzynarodowych ofiar tej wojny. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Bezkarność sprawcy, bezradność Kościoła

JEZUITA MACIEJ SZ. krzywdził młode kobiety w duszpasterstwach, w których pracował – ujawniła Paulina Guzik w reportażu opublikowanym na portalu „Więzi". Kolejni trzej prowincjałowie zakonu nie otwarli procesu kanonicznego w jego sprawie. Nie potrafili też dotrzeć do ofiar niepełnoletnich.

Po publikacji prowincja jezuitów wydała oświadczenie, w którym wezwała do zgłaszania niewłaściwych zachowań ze strony zakonników. – Cieszy mnie, że to stanowisko stawia w centrum uwagi ofiary, a nie zakon czy sprawcę – komentuje jezuita i psycholog ks. Jacek Prusak. – Szkoda tylko, że do przyjmowania zgłoszeń nie upoważniono żadnej kobiety. Dowiedziałem się, że są ofiary, które hamuje lęk przed kontaktem z kolejnym współbratem Macieja Sz.

Ks. Prusak w sprawie ojca Sz. widzi analogię do przypadku dominikanina Pawła M., np. nieporadność przełożonych: – Prowincjał o. Wojciech Ziółek zasłania się dobrem ofiary: nie chciała tego, więc nie drążył. Uważa, że ojca Sz. ukarał, tymczasem wysłanie jezuity do domu rekolekcyjnego jest na ogół traktowane jako wyróżnienie. W reportażu obserwujemy spór dwóch prowincjałów o rozumienie kary kościelnej. Żaden z nich nie jest kanonistą i żaden z nich nie miał kanonisty w swojej konsulcie. W historiach opisanych w „Więzi" widać też, że wykorzystane seksualnie osoby dorosłe są traktowane, zarówno w Polsce, jak i w Watykanie, jako ofiary drugiej kategorii.

Według ks. Prusaka błąd polega na tym, że charyzmatycznym księżom daje się wolną rękę, ponieważ gromadzą tłumy. Rzecznik zakonu o. Damian Mazurkiewicz zapewnia w rozmowie z „TP", że jezuici podjęli refleksję nad zapewnieniem bezpieczeństwa w duszpasterstwach: – Rok temu, zanim jeszcze przyszła z Rzymu decyzja w sprawie o. Macieja Sz., prowincjał powołał komisję mającą za zadanie ocenę bezpieczeństwa w naszych dziełach, w których mamy do czynienia z nieletnimi i młodymi dorosłymi.

©℗ MACIEJ MÜLLER

Rozmowa z ks. Jackiem Prusakiem na **powszech.net/jezuici**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POSTULATY

Ruch Polska 2050 w zaktualizowanej wersji dokumentu programowego „Państwo i Kościół na swoje miejsca" postuluje m.in. likwidację Funduszu Kościelnego, zmianę statusu religii w szkole, przejęcie przez państwo cmentarzy katolickich i utworzenie specjalnej grupy prokuratorów zajmujących się pedofilią w Kościele.

DYSCYPLINA

Kontrowersyjny salezjanin ks. Dominik Chmielewski dostosuje swoje nauczanie do krytycznych uwag Komisji Nauki Wiary Konferencji Episkopatu Polski. Zobowiązali się tego dopilnować salezjańscy przełożeni duchownego oraz biskup bydgoski Krzysztof Włodarczyk, członek wspólnoty Wojowników Maryi, założonej przez zakonnika.

WYPALENIE

Mianowany niedawno przez Franciszka biskupem pomocniczym francuskiej archidiecezji Rennes ks. Ivan Brient odmówił przyjęcia sakry biskupiej. W liście do wspólnoty diecezjalnej tłumaczy swój krok wypaleniem zawodowym, z którego zdał sobie sprawę po konsultacjach z lekarzem.

MODLITEWNIK

Po wydaniu „Męskiego modlitewnika" katolicki portal Stacja7.pl wydał „Modlitewnik dla kobiet". Książka zawiera rozważania ponad stu kobiet, wśród których znalazły się menadżerki, aktorki, blogerki, dziennikarki, wykładowczynie akademickie i studentki.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Wątpliwa obrona Wojtyły

ARTUR SPORNIAK

Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski opublikowała „Stanowisko wobec działań Jana Pawła II odnoszących się do przestępstw seksualnych wobec małoletnich". Dokument opisuje historię narastania kryzysu związanego z pedofilią w Kościele oraz reakcję nań Jana Pawła II, ale ogranicza się tylko do wydawanych przez niego dokumentów: od przemówień i listu do amerykańskich biskupów po list apostolski „Sacramentorum sanctitatis tutela", który w 2001 r. wprowadzał nakaz powiadamiania Kongregacji Nauki Wiary o zgłaszanych przypadkach. Stanowisko nie odnosi się do najpoważniejszych zarzutów wobec Jana Pawła II – jego wątpliwych reakcji na konkretne przypadki przestępców seksualnych: np. założyciela Legionistów Chrystusa czy kard. Hansa Hermanna Groëra.

Biskupi nie wyjaśniają też, dlaczego nie ma śladu tego, by Wojtyła z własnej inicjatywy kiedykolwiek spotkał się z którąś z ofiar oraz dlaczego jego najbliżsi współpracownicy teraz programowo o swoim udziale w kryzysie milczą. Za to doskonale rozpoznali motywy, którymi kierują się krytycy Jana Pawła II: „Współczesnym ideologiom propagującym hedonizm, relatywizm i nihilizm moralny" nie odpowiadać ma nauczanie papieża – to „walka z chrześcijańską wizją człowieka" (w domyśle chodzi o „gender"). Dlatego stanowisko Rady Stałej wzywa wszystkich do „uczciwego szukania prawdy i dawania jej świadectwa".

Nasuwa się pytanie, czy ono samo jest uczciwe. ©℗

Watykan: katechetę zatrudnię od zaraz

JAKO KLERYK napisał do papieża o wątpliwościach co do swego powołania. Franciszek oddzwonił i zaprosił go do Domu św. Marty. Był rok 2014. Dwa lata później, tuż przed święceniami kapłańskimi, odszedł z seminarium i uczył religii w małym miasteczku na południu Włoch. 38-letni Brazylijczyk Gleison De Paula, dziś już żonaty i ojciec dwójki dzieci, będzie „numerem dwa" w Dykasterii ds. Świeckich, Rodziny i Życia: w ubiegłym tygodniu został najmłodszym sekretarzem w Kurii Rzymskiej.

To nie pierwsza tak zaskakująca nominacja. Franciszek nie raz przedkładał własną intuicję ponad opinie doradców. Odpowiedzialne funkcje w Watykanie powierzał autorom książek, które go ujęły, czy ewangelizatorowi z YouTube'a. Taka polityka personalna ma różne skutki, ale dowodzi, że papież większym zaufaniem darzy ludzi z zewnątrz – świeckich specjalistów, zakonnice i zakonników (zwłaszcza jezuitów) – niż wieloletnich pracowników kurii, którzy utknęli na tradycyjnej ścieżce kościelnej kariery. Co jest frustrujące dla biskupów i prałatów, ale ożywcze dla instytucji. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

KULTURA W SKRÓCIE

KLAWISZE

Laureatem 12. Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Ignacego Jana Paderewskiego w Bydgoszczy został Mateusz Krzyżowski. Drugie miejsce zajął pochodzący z Hiszpanii Pedro López Salas, a trzecie Ukrainiec Danylo Saienko. Pierwszy Konkurs Paderewskiego odbył się w 1961 r., wyróżniono wówczas Jerzego Maksymiuka.

LITERY

„Brud. Cuchnącą historię higieny" Moniki Utnik-Strugały i Piotra Sochy uznano za najlepszą książkę dla dzieci 2021 r., przyznając jej Nagrodę im. Ferdynanda Wspaniałego. Wyróżnienie wręczono na zakończenie 9. Festiwalu Literatury dla Dzieci w Krakowie.

STYPENDIA

Ukraińska pisarka, filolożka i filozofka Olga Smolnytska została stypendystką trzeciej edycji programu Scholars at Risk (SAR), realizowanego w Krakowie przez Instytut Kultury Willa Decjusza oraz Uniwersytet Jagielloński z myślą o naukowcach-uchodźcach.

NEONY

„Każdy chce jakoś nie żyć" – to tytuł neonu artystycznego, który można oglądać na ścianie budynku przy ul. 6 Sierpnia 21/23 w Łodzi. Słowa są cytatem z dramatu Doroty Masłowskiej „Między nami dobrze jest" – wybrał je kurator projektu „Ulice słów", Mariusz Szczygieł. Cel: tworzenie otwartej galerii sztuki złożonej z różnego typu instalacji artystycznych.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
www.tokfm.pl

JACEK TARAN

„UKOS ŚWIATŁA" w reżyserii Wojciecha Szumowskiego, wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, został uhonorowany Nagrodą Specjalną Fundacji Kamera Dawida podczas 20. Warsaw Jewish Film Festival. To najstarszy i największy tego typu festiwal w Polsce, a także jeden z pierwszych w Europie. Jest przeglądem najnowszego kina międzynarodowego, które porusza szeroko rozumianą tematykę żydowską. Nagrodzony film opowiada o Dariuszu Popieli, olimpijczyku przywracającym pamięć po żydowskich sąsiadach. ©℗ MOCH

Nadmiar czy kryzys?

8 MILIARDÓW przekroczyła liczba ziemian we wszechświecie. Jeszcze w 1950 r. ludzkość liczyła 2,6 mld. Powiększenie o ósmy miliard zajęło zaledwie 11 lat, ale według prognoz ONZ na kolejny poczekamy 15 lat. Za wzrost liczby ludzi odpowiada przede wszystkim wydłużenie życia i spadek śmiertelności dzieci.

O połowę, w porównaniu do lat 50., spadł za to wskaźnik dzietności. W czasopiśmie „Human Reproduction Update" ukazała się zaś analiza podsumowująca badania jakości nasienia ponad 40 tys. mężczyzn z 53 państw świata. Od 1973 r. średnia koncentracja plemników – jeden ze wskaźników męskiej płodności i dobrostanu organizmu – spadła o ponad połowę i wynosi 49 mln na mililitr. Co gorsza, w XXI w. trend spadkowy przybrał na sile, a widmo bezpłodności dotyczy mężczyzn na wszystkich kontynentach.

Publikacja nie wskazuje przyczyn spadku jakości nasienia, ale od lat mówi się o czynnikach środowiskowych, m.in. o ftalanach i bisfenolach, związkach stosowanych do produkcji kosmetyków, farb, plastikowych butelek i opakowań na żywność, które mogą dostać się do organizmu i wpływać na gospodarkę hormonalną. © BARTOSZ KABAŁA

Jesteśmy coraz mniej wyjątkowi

KIEDY SŁYSZYMY MUZYKĘ, to poruszamy się w jej takt; jeśli widzimy coś ciekawego, pokazujemy to innym. Najnowsze badania podważają twierdzenie, że jesteśmy w tym odosobnieni.

Szczury są ruchliwe – może dlatego dotychczas nikt nie zauważył, by spontanicznie kiwały głowami do sonaty Mozarta czy piosenek Queen. Yoshiki Ito z zespołem umieścili na głowach gryzoni aparaturę, która zarejestrowała, jak dopasowywały swoje ruchy do rytmu utworów. Rytm z zakresu od 120 do 140 uderzeń na minutę znajdował odzwierciedlenie w aktywności ich kory słuchowej. To sugeruje, że poczucie rytmu może być związane z dynamiką pracy neuronów – wspólną dla wielu gatunków, w tym ludzi. Mniej prawdopodobna jest natomiast hipoteza, by skłonność do poruszania się w takt muzyki była związana z tempem przemieszczania się.

Z kolei Claudia Wilke przyłapała młodą szympansicę na pokazywaniu matce liścia lub obecnego na nim owada – ruchy córki wskazują, że próbowała umieścić go w polu widzenia rodzicielki. Dotychczas wydawało się, że u zwierząt innych niż ludzie zwracanie czyjejś uwagi musi być motywowane osiągnięciem korzyści, ale w tej sytuacji, biorąc pod uwagę zwyczaje szympansów, nic na to nie wskazuje. Najwyraźniej inne naczelne są skłonne do zachęcania pozostałych, by spojrzeli w tym samym kierunku – chociaż robią to rzadko. © KATARZYNA DZIADOWICZ

TEMAT TYGODNIKA

NIE POZWOLIMY, BY PUTIN WYGRAŁ TĘ WOJNĘ

ROBERT PSZCZEL, ANALITYK, B. DYREKTOR BIURA INFORMACJI NATO W MOSKWIE:

Reakcja na incydent w Przewodowie pokazała, że Polacy potrafią działać ze zrozumieniem dla powagi sytuacji, nie narażając sojuszników. To ważne na przyszłość.

MARCIN ŻYŁA: Tragiczny incydent w Przewodowie, gdzie 15 listopada pocisk ukraińskiej obrony przeciwlotniczej zabił dwie osoby, był testem reakcji dla polskich władz. Czy go zdały?

ROBERT PSZCZEL: W dużym stopniu tak. Podczas sytuacji kryzysowych nie ma uniwersalnego algorytmu działania. Pierwsza zasada brzmi: nie podejmować decyzji za szybko ani nie zaniechać podejmowania innych, niezbędnych – zanim nie ustali się faktów. Oczywiście, niektóre zagrożenia, np. atak cybernetyczny, wymagają reakcji „z automatu". Ale w sytuacji, o której rozmawiamy, najważniejsze były rozwaga oraz wstrzymanie się od pochopnych komunikatów i decyzji.

W Biurze Bezpieczeństwa Narodowego zwołano pilną naradę władz i dowództwa armii. Prezydent rozmawiał z szefem NATO, przywódcami Stanów Zjednoczonych, Ukrainy, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Podniesiono gotowość bojową niektórych jednostek wojska.

Gdybym miał wytknąć błąd, powiedziałbym, że za długo czekano z wydaniem choćby wstępnego komunikatu na temat tego, co się stało. Takiego, który mógłby powstrzymać nerwową reakcję niektórych mediów. Przestrzeń informacyjna nie znosi próżni.

Nad Polską latają samoloty rozpoznania elektronicznego NATO, wzdłuż granicy z Rosją i Białorusią mamy amerykańskie stacje nasłuchowe. Chyba od razu było wiadomo, że pocisku nie wystrzelono z żadnego z tych państw?

Nawet dostępne od razu informacje trzeba sprawdzać. Wiosną 1999 r., podczas operacji w byłej Jugosławii samolot NATO omyłkowo zbombardował szpital. Był to poważny incydent – wyznaczonym celem ataku było lotnisko wojskowe. Pilot wszystko zrobił prawidłowo: uruchomił wyrzutnię nad właściwym celem, ale mechanizm spustowy zaciął się na kilka sekund, nieszczęśliwie od-

DAVID DUMAS / US ARMY

Ćwiczenia „Niedźwiedź 22" z udziałem wojsk NATO z Polski, USA i Wielkiej Bytanii w Nowej Dębie, 22 września 2022 r.

blokowując się, gdy samolot był nad szpitalem. Ale nawet po usłyszeniu relacji pilota i sprawdzeniu danych pokładowych czekano z konkluzją. Podano ją, gdy wszystko było jasne.

Obrona przestrzeni powietrznej jest w NATO systemem zintegrowanym, tzn. informacje spływają z różnych źródeł i są do dyspozycji wszystkich. Trzeba je połączyć w jedno. Po incydencie w Przewodowie kluczowe było sprawdzenie, czy są poszlaki, iż była to rakieta wystrzelona przez Federację Rosyjską, której celem było terytorium Polski. To oznaczałoby atak.

Czy incydent w Przewodowie był obserwowany na żywo?

Jestem o tym przekonany. Ale szczegóły to inna sprawa. Nawet gdybym miał na ten temat dokładną wiedzę, nie podzieliłbym się nią w rozmowie. Natomiast jeśli rozmawiamy o procedurach natowskich, to obrona powietrzna obejmuje różne elementy, w tym 14 samolotów AWACS – jeden z nielicznych systemów wojskowych, który jest wspólną własnością państw NATO, obsługiwaną przez personel z wielu krajów. To w praktyce wyklucza, że tylko jedno państwo – np. Stany Zjednoczone – posiada w takich sytuacjach stosowną wiedzę.

Pierwsze wypowiedzi Polaków i Amerykanów były powściągliwe.

Powtórzę: szkoda, że nieco wcześniej nie wydano pierwszego komunikatu. Ale to mniejszy grzech niż to, co by się zdarzyło, gdyby zaczęto spekulować lub ferować szybkie wyroki. Bo wtedy sojusznicy byliby postawieni przed faktem dokonanym.

Sprzyjał nam przypadek: przywódcy kluczowych państw NATO byli razem na szczycie G20 na Bali. Prezydent Joe Biden szybko zwołał naradę, w świat popłynął komunikat, że nie przesądza się o niczym, ale wyrażona jest pełna solidarność z Polską. Od swoich kontaktów w Brukseli wiem, że w NATO odnotowano polską powściągliwość i spokój jako coś pozytywnego.

To ważne?

Nieco upraszczając: gdybyśmy podnieśli niepotrzebne larum, kolejnym razem – gdyby działo się coś poważniejszego – patrzono by na to bardziej sceptycznie.

Dobrze, że nie uruchomiliśmy procedury zapisanej w art. 4 traktatu waszyngtońskiego?

W przypadku bezpośredniego zagrożenia dla integralności terytorialnej i bezpieczeństwa państwo członkowskie może zażądać zwołania specjalnego posiedzenia Rady Północnoatlantyckiej. Co ciekawe, w czasach zimnej wojny ani razu nie skorzystano z takiej możliwości. Natomiast po 2003 r. artykuł 4 uruchomiono siedmiokrotnie, w tym dwa razy na wspólny wniosek Polski i innych państw – po rosyjskiej aneksji Krymu i inwazji na Ukrainę w lutym 2022 r.

16 listopada, czyli nazajutrz po incydencie w Przewodowie, w Brukseli i tak miało się odbyć cotygodniowe spotkanie ambasadorów państw NATO. Myślę, że oficjalne uruchomienie artykułu 4 przez Polskę byłoby rodzajem politycznej eskalacji. Uznano, że nie byłoby to korzystne. Po naradzie sekretarz generalny Sojuszu ogłosił, że nie ma informacji, iż był to rosyjski atak. I że nie ma sygnałów, aby takowy atak groził teraz NATO.

Dlaczego do polskiego MSZ wezwano ambasadora Rosji?

Tamtego dnia Rosja wystrzeliła na cele ukraińskie prawie sto rakiet, fałszywie potem zapewniając, że celem żadnej z nich nie był rejon graniczący z Polską. Wezwanie ambasadora nie było niczym dziwnym – głównym powodem tragedii w Przewodowie były ataki, którymi zresztą Rosja się chwaliła. Zginęło dwóch obywateli Polski, było jasne, że trzeba żądać wyjaśnień.

Przy okazji: przyspieszony, tchórzowski wyjazd Siergieja Ławrowa, szefa MSZ Rosji, ze szczytu na Bali był zapewne związany z planami nalotów na Ukrainę. Lepiej uciec, niż tłumaczyć się innym.

W Polsce pojawiły się zarzuty, że eksplozja rakiety to dowód na nieskuteczność obrony przeciwpowietrznej NATO.

Nie ma na świecie systemu, który w stu procentach zabezpieczyłby przed każdym atakiem. Ponadto, zintegrowany system obrony powietrznej państw NATO jest „zaprogramowany" na okoliczność konfliktu zbrojnego.

Aby przejść od rozpoznania do działań obronnych, w NATO potrzebne są dwie rzeczy. Po pierwsze, system wykrywa atak, a niekoniecznie niespodziewane incydenty. Po drugie, nie działa automatycznie – do podjęcia decyzji o czynnej odpowiedzi potrzebne są upoważnienia i decyzje zwierzchników cywilnych. W przypadku Przewodowa ten system po prostu nie był w pełni aktywny.

Tuż za granicą NATO toczy się wojna. To okazja do obserwowania, jak największy rywal Sojuszu prowadzi działania. Co widzimy?

Taka obserwacja to proces permanentny. Głównym zadaniem NATO jest zapewnienie „twardego" bezpieczeństwa wszystkim państwom członkowskich. Obserwacja testów nowej broni, przebiegu ćwiczeń jest w tej sytuacji czymś oczywistym.

Przykładem są rosyjskie groźby w zakresie potencjalnego użycia broni nuklearnej. W NATO śledzi się je z ogromną, detaliczną wręcz uwagą. Nawet w Rosji – rządzonej przez człowieka, który, ↦

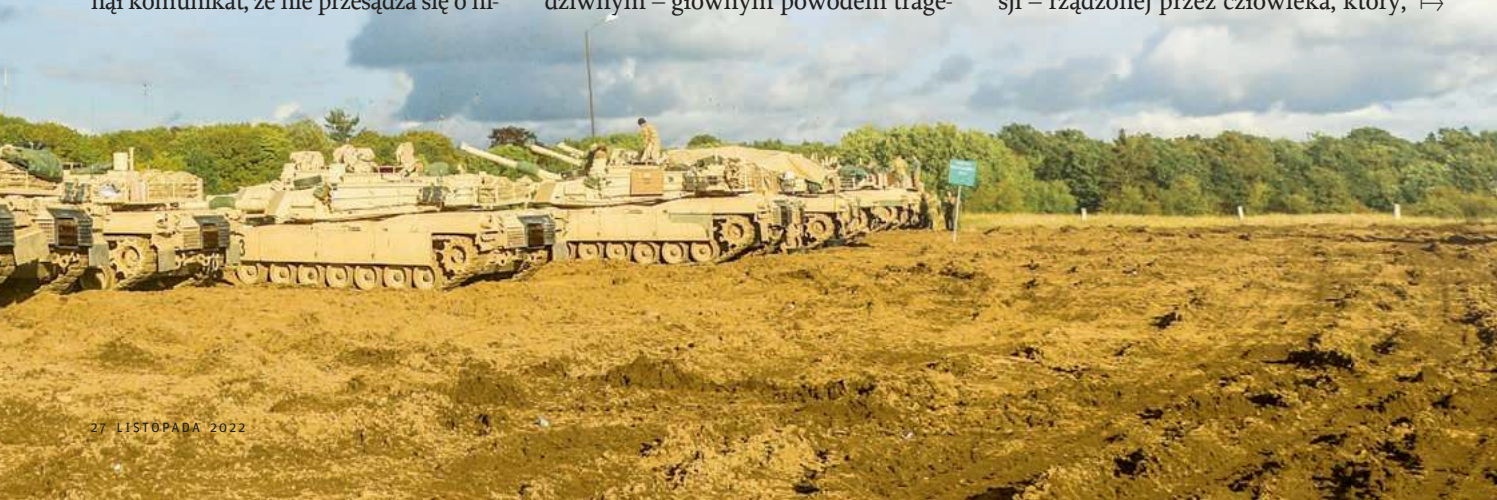

Czy rakiety obronią wszystko

NAWET NAJLEPSZA obrona przeciwlotnicza i antyrakietowa nie zapewni bezpieczeństwa całemu terytorium kraju – przekonywali po incydencie w Przewodowe przedstawiciele rządu. Polska jest bezbronna wobec tego typu zagrożeń – komentowali z kolei niektórzy emerytowani generałowie i członkowie opozycji. Kto miał rację?

NOWOCZESNE systemy obrony przed atakiem z powietrza, które radzą sobie i z samolotami, i z większością rakiet oraz dronów, służą do ochrony obiektów i instalacji o kluczowym znaczeniu dla kraju oraz jego zdolności obronnych. Podobnie działa ukraińska obrona, którą Rosjanie testują podczas tzw. ataków saturacyjnych, wystrzeliwując jednocześnie dziesiątki rakiet i dronów. Systemy obronne nie są w stanie zwalczyć wszystkich i muszą skupić się na niszczeniu celów zagrażających najważniejszym obiektom. Choć nikt nie przyzna tego wprost – nawet za cenę bezpieczeństwa cywilów. Ukraińska obrona, oparta na rosyjskich systemach Buk oraz S-300, należy do najsilniejszych w Europie, ale po 9 miesiącach wojny zaczyna jej powoli brakować rakiet. Dlatego tak ważne są dla Ukraińców dostawy zachodnich wyrzutni i pocisków.

POLSKA nie przekazuje Ukrainie tego typu uzbrojenia – jesteśmy pod tym względem słabsi od toczącego wojnę obronną sąsiada. Nasza armia dopiero buduje nowoczesny system obrony przed atakiem z powietrza, który łącznie kosztować ma ok. 100 mld zł. Złożą się na niego trzy podsystemy, tworzące kolejne „piętra" obrony. „Wisła", czyli ten najwyższy, ma docelowo składać się z ośmiu baterii systemu Patriot. Kolejny, niższy, zwany przez wojskowych „Narew", zapewni ochronę na dystansie kilkunastu, kilkudziesięciu kilometrów od bronionych obiektów. Na najniższy, czyli „Pilicę", składać będą się mobilne wyrzutnie służące głównie do ochrony manewrujących wojsk. Całość zostanie spięta przez jeden z najnowocześniejszych cyfrowych systemów dowodzenia polem walki IBCS.

SŁOWEM: nawet po wydaniu 100 mld zł Polska nie będzie w stanie chronić każdego skrawka swego terytorium. Bez tej inwestycji pozostaniemy jednak bezbronni na całym obszarze. ©℗ MR

↦ delikatnie mówiąc, stracił nieco kontakt z rzeczywistością – wciąż funkcjonują pewne procedury. Broń nuklearna jest bronią masowego rażenia. Oznacza to również, że może być zagrożeniem dla państwa, które nią włada, jeśli niewłaściwie się z nią postępuje.

NATO to wszystko obserwuje i jak na razie właściwie odczytuje płynące z Rosji sygnały. Prezydent Stanów Zjednoczonych i sekretarz generalny NATO kilka razy podkreślali, że nie ma żadnych przesłanek świadczących o tym, że w Rosji rozpoczął się proces przygotowywania operacyjnego do użycia broni atomowej.

Wszystko to przypomina rzeczywistość zimnej wojny.

Prawda? To skomplikowana, nieoczywista rzeczywistość. Podam taki przykład: podczas zimnej wojny, kiedy Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone uznały priorytet tzw. równowagi strategicznej, oba państwa zobowiązały się także do ograniczeń w zakresie rozmieszczenia systemu obrony przeciwpowietrznej. W logice „równowagi strachu" uznano, że jeśli jedna strona pójdzie za daleko w zabezpieczeniu się przed ewentualnym atakiem nuklearnym, to osiągnie przewagę, którą mogłaby wykorzystać w celach ofensywnych.

Od zimnej wojny sporo się zmienia, ale pewne zasady obowiązują nadal. I mówię o tym dlatego, że tutaj szczegóły mają znaczenie. Kluczowe są dokładna obserwacja i coś, co nazywamy „zbiorową mądrością sojuszników". Kiedy byłem szefem Biura Informacji NATO w Moskwie, często walczyłem z rosyjskim mitem, że o wszystkim w Sojuszu decydują amerykańscy generałowie.

A nie decydują?

NATO jest organizacją polityczno-wojskową. Obowiązuje w niej prymat decydentów cywilnych nad wojskowymi. Jeśli sytuacja tego wymaga, generałowie mogą podjąć pewne działania automatycznie, ale muszą zostać do tego upoważnieni. Drugi „zawór bezpieczeństwa" to fakt, że sojuszników jest wielu, decyzje zapadają zaś jednomyślnie. Prawdopodobieństwo, że jeden kraj, choćby największy i dysponujący najlepszymi służbami, dokona błędnej oceny sytuacji, jest zawsze większe niż wtedy, gdy oceny dokonuje się wspólnie.

W Sojuszu docenia się nawet najmniejsze państwa. Np. Islandia nie ma sił zbrojnych ani nawet ministerstwa obrony. Na spotkaniach NATO reprezentuje ją ambasador. Islandczycy mają jednak znakomitych kontrolerów lotów – kiedy NATO prowadziło operację w Afganistanie, zarządzanie ruchem na lotnisku w Kabulu powierzono właśnie im. Z kolei np. Estończycy wyspecjalizowali się w obronie cybernetycznej.

A Polska?

Jest dużym krajem, posiada dostęp do morza, nie może więc pozwolić sobie wyłącznie na specjalizację – musi utrzymywać zdolności w zakresie wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Od czasów Układu Warszawskiego miała duże doświadczenie w operacjach pokojowych ONZ, co potem przydało się w różnych operacjach wojskowych pod dowództwem NATO lub koalicyjnych. Niezależnie od tego, jak oceniamy operację w Iraku, mało państw było tam gotowych przejąć odpowiedzialność za całą strefę.

Jesteśmy też bardzo wiarygodni, jeśli chodzi o deklaracje gotowości przyjścia z pomocą innym. Krótko po tym, gdy Szwecja i Finlandia ogłosiły chęć wstąpienia do NATO, gwarancji bezpieczeństwa udzieliła im Wielka Brytania. Mało kto zauważył, że podobną deklarację złożył premier Morawiecki. W marcu aż 94 proc. Polaków popierało członkostwo w NATO. Stosunkowo dużo wydajemy na siły zbrojne; są też szacunki, że pomoc Ukrainie, w różnych wymiarach, kosztuje nas 1 proc. PKB. To wszystko wzmacnia naszą pozycję.

Przeszliśmy długą drogę od lat 90. XX w. czy pierwszych lat członkostwa w NATO, gdy powątpiewano w nasze zdolności, oskarżano o antyrosyjskość lub

żałowano, że „zmarnowaliśmy okazję, by siedzieć cicho" – jak prezydent Francji Jacques Chirac mówił o udziale w inwazji na Irak w 2003 r.

Reakcja na tragiczny incydent w Przewodowie pokazała, że Polacy potrafią zachować zimną krew, działać ze zrozumieniem dla powagi sytuacji, nie narażając sojuszników. To ważne na przyszłość.

Pamiętam połowę lat 90. w Brukseli i nasze wysiłki, aby przekonać państwa NATO, że Polska będzie do Sojuszu wnosiła znaczący wkład. Początki tej drogi były trudne. Mieliśmy wielu generałów – ale tylko czterech znało angielski. Zaproszenie nas do NATO otrzymaliśmy przede wszystkim dzięki skutecznym wysiłkom dyplomatycznym i konsensusie politycznym w kraju.

Dlaczego prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski i szef MSZ Dmytro Kułeba tak długo zaprzeczali, że na Przewodów spadła ukraińska rakieta?

Uważam, że niektóre wypowiedzi były zbyt emocjonalne. Pamiętajmy jednak o kontekście: w Przewodowe wydarzyła się tragedia, ale na Ukrainie codziennie giną dziesiątki ludzi. W momencie, kiedy padały pytania o rakietę, połowa ludzi w Kijowie siedziała w ciemnościach, w niskiej temperaturze.

Problem zaczął się jednak, kiedy Polska, USA i cały Sojusz powiedziały, że wedle wstępnych analiz nie był to pocisk wystrzelony przez Rosjan, i że z tymi analizami zgadzają się wszystkie państwa NATO. Kwestionowanie tego przez Ukrainę nie wydawało się do końca zrozumiałe.

Tym bardziej dobrze się stało, że w tej sytuacji do Przewodowa dopuszczono ukraińskich ekspertów. Natomiast jeśli strona ukraińska ma dowody, które nie są znane państwom natowskim, to miała wystarczająco czasu, żeby je przedstawić.

Reakcja ukraińska jest dziwna tym bardziej, że margines wyrozumiałości dla zdarzenia w Przewodowie jest z polskiej i natowskiej strony bardzo szeroki.

Wiemy, że ostatecznie odpowiedzialna jest za to Federacja Rosyjska. Nikt tego nie kwestionuje. Powinniśmy się teraz koncentrować na dalszym wspieraniu Ukrainy, przede wszystkim właśnie w zakresie środków pozwalających im po prostu bronić swojego terytorium i przestrzeni powietrznej.

Tymczasem słychać komunikaty, które pokazują rozdźwięk między NATO a Ukrainą, być może najpoważniejszy od początku wojny.

Ukraina zasługuje nie tylko na wsparcie, ale też na szacunek i empatię. Za swój heroizm, za znakomitą organizację, za to, że w wojnie bierze udział cały kraj. Ukraińcy w warunkach wojennych w ciągu paru godzin potrafią przywrócić dostawy prądy czy wody. Ich umiejętności dyplomatyczne i polityka informacyjna, zwłaszcza prezydenta Zełenskiego, są najwyższej klasy.

Ale nie zawsze jest idealnie. Pamiętajmy, że jeszcze dwa dni przed rosyjską inwazją politycy z otoczenia Zełenskiego mówili, że do niej nie dojdzie.

Kontekstem jest też sytuacja gospodarki ukraińskiej, która już teraz jest na finansowej kroplówce z Zachodu.

Dodam jednak ze smutkiem, że choć państwa anglosaskie pomagają Ukrainie bezzwrotnie, większość finansowego wsparcia z Unii ma charakter pożyczek. To jest ważny element, tym bardziej że trwa teraz dyskusja o budżecie na przyszły rok.

Co do sankcji, umknęła nam ciekawa informacja. Niemiecki Siemens ogłosił właśnie, że wycofuje się z porozumień, które miał, jak się okazuje, z różnymi firmami rosyjskimi. Sprawa jest niebagatelna, bo chodzi o obsługę techniczną np. infrastruktury energetycznej na terytorium Rosji. Jeśli tak jest, grozi to paraliżem rosyjskiego systemu przesyłowego.

A co zobaczyła Rosja, obserwując reakcję na incydent w Przewodowie?

W Rosji Putina racjonalność jest limitowana. Ale mimo wszystko jestem przekonany, że elity tego kraju mają coraz większą świadomość, że przegrywają. I że w bezpośrednim starciu z Sojuszem Północnoatlantyckim nie mieliby szans. Straszak nuklearny, którego używa Rosja od czasu do czasu, jest właściwie ostatnim, jaki jej pozostał. Moskwa liczy też na to, że Europejczycy ↦

Zmienia się nasz stosunek do uchodźców

CZY INCYDENT w Przewodowie może wpłynąć na stosunek Polaków do Ukraińców? Na razie nic na to nie wskazuje – 70 proc. pytanych kilka dni temu przez United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF uważa, że taka zmiana nie nastąpi – ale opublikowany kilka tygodni temu raport z badań socjologicznych Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego pokazuje, że nasz stosunek do uchodźców z Ukrainy mocno się już zmienił.

POLACY coraz częściej uważają, że spełnili obowiązek niesienia im pierwszej pomocy, ale teraz powinni już radzić sobie sami. Przedstawicieli klasy średniej i reprezentantów tzw. klas ludowych łączy „silna niechęć spontanicznie wyrażana we wszystkich grupach fokusowych". Różni zaś to, że klasa średnia akceptuje uchodźców, o ile wykonują proste prace za niskie stawki.

W BADANIACH powraca metafora kolejki, do której rzekomo wpychają się roszczeniowi Ukraińcy, ograniczając Polakom dostęp do żłobków, przedszkoli oraz lekarzy. Jednak zdecydowana większość negatywnych poglądów nie bazuje na osobistych doświadczeniach, ale na opiniach.

WNIOSKI z tych analiz korespondują z wynikami wywiadów badawczych, o których na łamach „Tygodnika" mówił w sierpniu Marcin Duma, szef IBRiS. Powtarzającym się motywem było notowanie w pamięci marek aut, jakimi jeżdżą uchodźcy. Wielu Polaków uważa, że Ukraińcy powinni posiadać stare volkswageny, a nie mercedesy, i że nawet ci dobrze wykształceni powinni brać gorsze prace od Polaków.

JEDNOCZEŚNIE wciąż doceniamy walkę Ukrainy. Ukraińców nie spotyka też w Polsce powszechna mowa nienawiści, jak było w przypadku bliskowschodnich migrantów z granicy z Białorusią. Sadura i Sierakowski zaznaczają, że na nasz stosunek do ofiar agresji Rosji przekłada się zmęczenie – pandemią, wojną, inflacją i perspektywą długiego kryzysu. ©℗ KĘS

↦ zmienią zdanie podczas ostrej zimy. Nie zmienią. Będzie ciężko, ale damy radę.

Podczas tzw. drugiego kryzysu berlińskiego do prezydenta Francji de Gaulle'a przyszedł ambasador Związku Sowieckiego z przesłaniem Kremla: przerwijcie wsparcie dla Berlina Zachodniego; pamiętajcie, że mamy broń nuklearną. Na co de Gaulle odpowiedział: „my też mamy broń nuklearną, więc właściwie, co chce mi pan przekazać? Że wszyscy zginiemy? Jeśli tak – tam są drzwi". Rosjanie są dziś w podobnej sytuacji. Nie można bagatelizować straszaka nuklearnego. Ale jeszcze bardziej nie można poddawać się szantażowi.

Po incydencie w Przewodowie do gen. Walerija Gierasimowa, szefa sztabu rosyjskiej armii, bezskutecznie próbował się dodzwonić gen. Mark Milley, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA. Moja hipoteza brzmi: Gierasimow nie odebrał, bo nie miał instrukcji od Putina. Putin, zgodnie ze starą tradycją, w trudnych chwilach znika tak, jak znikali Iwan Groźny czy Stalin. W ostatnich tygodniach nie miał nic ciekawego do przekazania swoim obywatelom i światu.

Jak mogą wyglądać kolejne miesiące wojny?

Przyparty do muru, mając świadomość, że jego reżim jest zagrożony, Putin będzie korzystał z możliwości, którymi dysponuje. Dopóki wystarczy rakiet, będzie je wysyłał na Ukrainę, atakował infrastrukturę cywilną. Być może pojawią się nowe działania o charakterze hybrydowym, np. ataki cybernetyczne.

Jedno jest pewne: na Zachodzie nie musimy już wymyślać nowej polityki. Mimo pewnych zgrzytów związanych np. z postępowaniem Węgier czy Turcji, świat zachodni jest zjednoczony jak nigdy. Natomiast postawa takich państw jak Indie czy niektóre kraje afrykańskie jest moralnie zawstydzająca – nie można siedzieć okrakiem na płocie w sytuacji konfliktu, który jest czarno-biały. Nawet Watykan zachowuje się, delikatnie mówiąc, dwuznacznie.

Generalnie jednak na Zachodzie podjęto w końcu strategiczną decyzję: nie pozwolimy, by Putin wygrał tę wojnę. Teraz dążymy do tego, by ją Ukraina wygrała, a sama Rosja się zmieniła i przestała stanowić zagrożenie.

To przypomina sytuację z II wojny światowej – formowanie się szerokiej koalicji antyhitlerowskiej.

W jakimś sensie tak. Choć gdy patrzę na zdjęcia rosyjskich rekrutów i to, jak się ich traktuje, bardziej kojarzy mi się to z I wojną...

Paradoksem tej sytuacji jest to, że z Rosji uciekło więcej Rosjan niż Ukraińców z Ukrainy. Putin doprowadził do izolacji Rosji w świecie. Prognozy dla jego reżimu są złe, więc trzeba się teraz wykazać strategiczną cierpliwością. Nasza strategia jest dobra, a nasze zdolności daleko przewyższają zdolności rosyjskie.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

Tekst ukończono 21 listopada

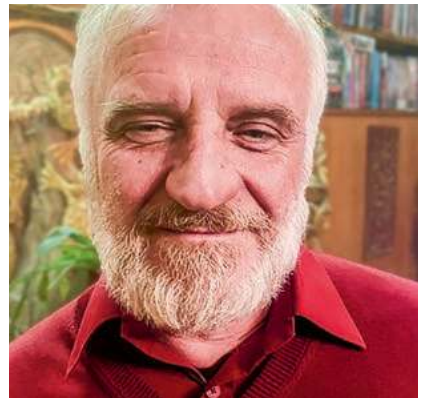

ARCHIWUM PRYWATNE

ROBERT PSZCZEL jest analitykiem, b. szefem Biura Informacji NATO w Moskwie. Od początku lat 90. XX w. pracował w Brukseli: najpierw w ambasadzie RP, potem w przedstawicielstwie Polski przy NATO. Był pierwszym cywilnym urzędnikiem w kwaterze głównej Sojuszu pochodzącym z nowych państw członkowskich; odpowiadał za kontakty z mediami i tzw. dyplomację publiczną. Ekspert Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

REKLAMA

NAGRODA ZNAKU I HESTII IM. KS. JÓZEFA TISCHNERA

Zapraszamy do udziału w Gali
24 listopada o 18:00
Scena Nowohuckiego Centrum Kultury
Al. Jana Pawła II 232

transmisja Gali:
Ks Tischner
Józef Tischner
Tygodnik Powszechny

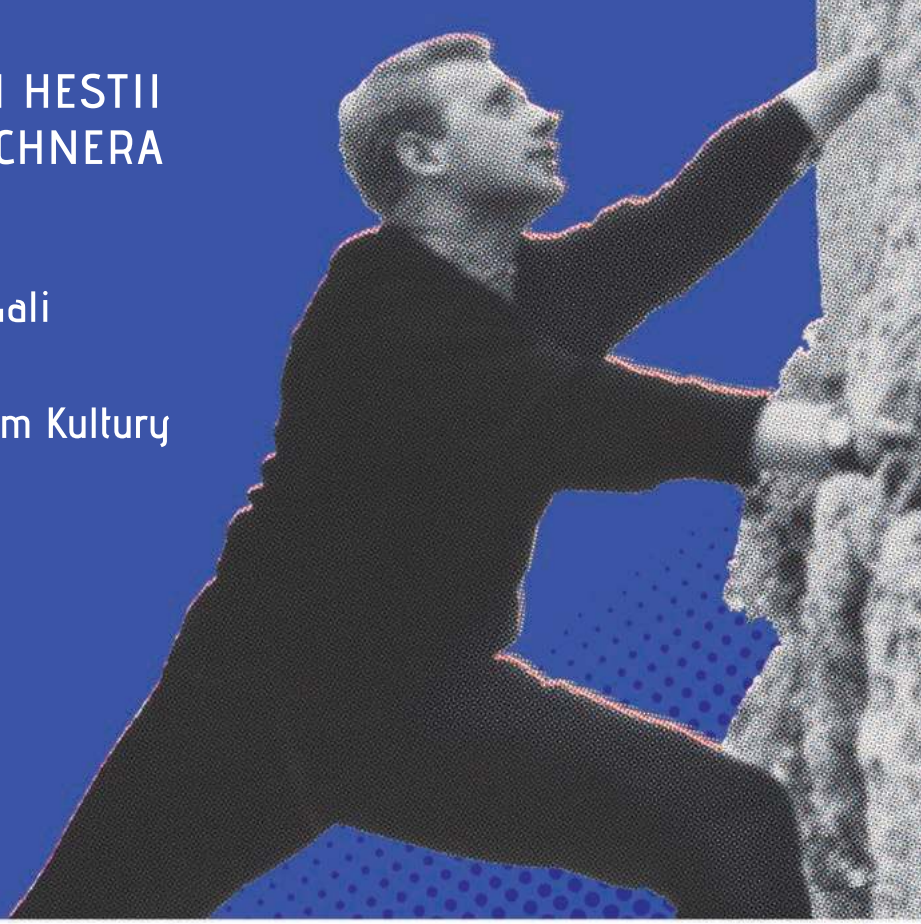

organizatorzy nagrody: ERGO HESTIA, Fundacja Znak, znak
współorganizator gali: nowohuckie centrum kultury
partnerzy: TYGODNIK POWSZECHNY, RMF CLASSIC, onet, lubimyczytać.pl

REKLAMA

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Żona Lota

Obejrzawszy się za siebie w drodze z Hadesu, Orfeusz utracił na zawsze swą ukochaną żonę Eurydykę. Identyczne polecenie, by pod żadnym pozorem nie spoglądać do tyłu, otrzymała – wyprowadzana przez anioły ze skazanej na zagładę Sodomy – rodzina Lota. Jak oznajmia nam Pismo, połowica Abrahamowego bratanka nie usłuchała polecenia: „obejrzała się żona jego zza niego i stała się słupem soli" (Rdz 19, 26). Dlaczego spojrzała za siebie? Midrasz spieszy z wyjaśnieniem, odwołując się do matczynego odruchu. W wyprowadzanej wraz z nią z miasta grupce był Lot i dwie niezamężne córki, kobieta chciała więc sprawdzić, czy idą za nimi także ich pozostałe, zaręczone oraz zamężne już latorośle.

Rabinów najwidoczniej niepokoi to, że Idit – takie imię nadają kobiecie – wprawdzie została ocalona z Sodomy, jednak ostatecznie straciła życie. Idit była rdzenną Sodomitką – tak twierdzą, co wydaje się dość prawdopodobne, skoro do czasu zamieszkania w tym mieście Lot był kawalerem. Przez wzgląd na Abrahama, Lotowego stryja, nad rodziną została roztoczona szczególna Boża ochrona. Jednak co ma wisieć, nie utonie? – zapytacie. Powiem więcej: w tym wypadku również kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Najwidoczniej Idit musiała zasłużyć sobie na swój los. Wyjaśnienie wiąże się z pytaniem: dlaczego sól?

W tradycji żydowskiej winy mieszkańców Sodomy upatruje się w ich skrajnej niegościnności. Podobnie zatem musiało być z Idit. Kiedy pod jej dach zawitali aniołowie – opowiada midrasz – żona podzieliła dom na pół i zażądała, by mąż przyjmował gości w swojej części. Lot chciał, wzorem Abrahama, zaangażować domowników przy obsłudze zdrożonych wędrowców, poprosił więc Idit o przyniesienie im soli. Ta usłuchała, lecz wykorzystała sytuację, by pozbyć się „obcych" z domu. Chodziła po sąsiadkach, by pożyczyć soli. „Co się stało, że ci zbrakło?" – pytały kumy. „To, co jest w domu, dla rodziny wystarczy, ale mamy gości". W ten sposób mieszkańcy Sodomy dowiedzieli się, że u Lota zatrzymali się jacyś przybysze. Co było dalej, wiemy z Biblii: zebrali się pod jego domem i zażądali, by im ich wydał. Wet za wet – Idit zgrzeszyła poprzez sól i dlatego zmieniła się w jej słup.

Sam Józef Flawiusz zaświadczał, że ją widział. Mało tego – po dziś dzień przy południowo-zachodnim wybrzeżu Morza Martwego, na wysokości góry Sedom (tak po hebrajsku nazywa się Sodoma) stoi wysoki na ok. 20 metrów słup soli. Dokładniej: do dwóch trzecich wysokości jest sól, a nad nią skała stanowiąca nadkład i chroniąca dolną część przed rozpuszczeniem przez deszcze. Ludzkie kształty najlepiej widać z północy. Geolodzy twierdzą, że pojawiła się ona nagle ok. 4 tys. lat temu – czyżby właśnie podczas zniszczenia Sodomy i Gomory? ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Wiara to nie kołysanka

Pierwsza połowa adwentu dotyczy „ponownego przyjścia naszego Pana", które zwykle utożsamia się z tzw. końcem świata. Czyli czego? Kuli ziemskiej, Układu Słonecznego, naszej Galaktyki, całego Kosmosu? A może chodzi o coś nam najbliższego, o nas samych?

Perspektywa końca świata przeraża. I dobrze, bo to znaczy, że za nasze poczynania czujemy się odpowiedzialni. W Talmudzie Babilońskim czytamy: „Jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak, jak gdyby zniszczył cały świat. A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat".

O rolę Boga w tych „dniach ostatnich" nie musimy się kłopotać. Autor Księgi Mądrości pisze: „Kochasz wszystko, co istnieje, nie brzydzisz się żadnym swoim dziełem, bo gdybyś miał nienawidzić któreś z nich, to byś go nie stworzył". Dlatego codziennie „ośmielamy się mówić": „Przyjdź królestwo twoje". Ogłaszamy: „Chrystus umarł, Chrystus zmartwychwstał, Chrystus powróci", aby „sądzić żywych i umarłych". Mówimy, że jesteśmy „pełni nadziei", że zgodnie z Ewangelią Jezus przyjdzie jak „oblubieniec do oblubienicy".

Dlatego słowa Jezusa: „bądźcie gotowi, bo w chwili, kiedy się nie spodziewacie, Syn Człowieczy przyjdzie", odbieramy jako przestrogę, ale też zachętę. A tak po prawdzie, to Jezus nie potrzebuje przychodzić, gdyż nigdzie nie odszedł. Od wydarzeń w Betlejem i na Golgocie nic się nie zmieniło, nadal mieszkaniem Boga jest ziemia.

A zatem szkoda czasu na czekanie, każda chwila jest ostatnią i zarazem pierwszą. Nierozsądnie jest mówić, że skoro ja się skończę, to i świat się kończy. Dlaczego niby rozum musi przeczyć sercu, skoro matka potrafi zaśpiewać nad trumną syna kołysankę, jak w przypadku Iwanki Krypiakewycz- Dymyd i jej syna, żołnierza Artema?

Niewątpliwie śmierć jest najostrzejszym kryzysem, ale czy musi wszystko i wszystkich unicestwiać? Niekoniecznie. Znamy przecież ludzi, którzy potrafili przyjąć śmierć, niekoniecznie liczących na „życie wieczne". Skarga Syna Człowieczego, po prostu człowieka, Jezusa: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?", to nie pobożne westchnienie czy cytat, ale wyznanie miłości, czyli wiary.

Paweł Apostoł zachęca: „Poznajcie, że nadszedł już czas sposobny i pora, abyście wstali ze snu. (...) Ubierzcie się w Pana Jezusa Chrystusa". Rozpoczynając adwent, warto pomyśleć, czy nie dzieje się odwrotnie. Jezusa ubieramy w siebie, a potem dziwimy się, że takim Jezusem nikt się nie interesuje. Nie bez powodu papież Franciszek mówi: „wiara nie jest usypiającą kołysanką". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Oczyszczenie kultu

Którzy zmysłami postrzegają coś krzywdzącego – ci doznają krzywdy. Podobnie jest i z umysłem.

HEZYCHIUSZ Z SYNAJU

Każdy lęk i każde cierpienie jest owocem lgnięcia do „ja". Po co więc trzymam się go kurczowo?

ŚANTIDEWA

Wybrał PIOTR SIKORA

„Jezus wszedł do świątyni i zaczął wyrzucać sprzedających w niej. Mówił do nich: Napisane jest: Mój dom będzie domem modlitwy, a wy uczyniliście go jaskinią zbójców" – wydarzenie przywołane niedawno przez liturgię (zob. Łk 19, 45-46). Jezus dokonuje bardzo mocnego gestu i natychmiast go objaśnia przy pomocy Słowa Bożego – zaczerpniętego z dwóch ksiąg prorockich.

Pierwszy cytat pochodzi od Izajasza (zob. Iz 56, 7): „Dom mój będzie nazwany domem modlitwy dla wszystkich narodów". Kluczowe jest tu określenie: „dla wszystkich narodów". 56 rozdział Izajasza jest bowiem wielką obietnicą nie dla Izraela, lecz dla pogan. Jest proroctwem o poganach, którzy będą włączeni w lud Boży i dopuszczeni do świątynnego kultu. Właśnie tak! Wracającym z wygnania babilońskiego i zgromadzonym w odbudowanej świątyni Żydom Bóg zapowiada przez proroka: „Jeszcze mu innych zgromadzę oprócz tych, którzy już zostali zgromadzeni" (Iz 56, 8).

Tymczasem, cały ów „pobożny – przedpaschalny handel" odbywał się w czasach Jezusa w części świątyni zwanej dziedzińcem pogan. Tak więc jedyne miejsce przeznaczone poganom – „otwarte" na ich obecność i modlitwę – zostało zagarnięte na potrzeby izraelskiego kultu. Dziedziniec pogan został zabrany poganom. Myślenie w kategoriach otwartości i misji, wyjścia ku innym i ich zaproszenia zostało wyparte i przejęte przez „fabrykę pobożności". Pobożności – trzeba dodać – również rozchwianej w proporcjach ważności. Cytat Izajaszowy mówi bowiem wyraźnie o pierwszeństwie modlitwy przed ofiarą. W świecie „produkcji ofiar" nie ma czasu na rozmowę z Panem.

Drugi cytat jest z Jeremiasza (zob. Jr 7, 11): „Może jaskinią zbójców stał się w waszych oczach ten dom, nad którym wzywano mojego imienia?". I znów warto poszerzyć kontekst; prorok mówi: „Kraść, zabijać, cudzołożyć, przysięgać fałszywie, palić kadzidło Baalowi, chodzić za obcymi bogami. A potem przychodzicie i stajecie przede Mną w tym domu (...) i mówicie: Jesteśmy bezpieczni (...) Czy może jaskinią zbójców stał się ten dom?".

Cały 7 rozdział Jeremiasza zapowiada wyrzucenie Żydów ze świątyni – Pan odrzuca sprawowany przez nich kult, skoro jest on jedynie zapłatą mającą zakryć ich niemoralne czyny. Został zdegenerowany do roli gwaranta (przecież fałszywego!) poczucia bezpieczeństwa.

Możemy powiedzieć: Jezus oczyszcza świątynię z fałszywego kultu. Jaki kult jest fałszywy? Po pierwsze taki, który unieważnia wrażliwość, myślenie i działanie misyjne. Po drugie taki, który swoimi „ekscesami" ma zagłuszyć wyrzuty sumienia i moc Bożego Słowa słuchanego w osobistej modlitwie. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (27 XI – 4 XII)

1. niedziela Adwentu: Iz 2, 1-5; Ps 122; Rz 13, 11-14; Mt 24, 37-44;
Poniedziałek: Iz 4, 2-6; Ps 122; Mt 8, 5-11;
Wtorek: Iz 11, 1-10; Ps 72; Łk 10, 21-24;
Środa: Iz 49, 1-6 lub Rz 10, 9-18; Ps 19; Mt 4, 18-22;
Czwartek: Iz 26, 1-6; Ps 118; Mt 7, 21. 24-27;
Piątek: Iz 29, 17-24; Ps 27; Mt 9, 27-31;
Sobota: Iz 30, 19-21. 23-26; Ps 147; Mt 9, 35 – 10, 1. 5a. 6-8;
2. niedziela Adwentu: Iz 11, 1-10; Ps 72; Rz 15, 4-9; Mt 3, 1-12.

DZIEDZICTWO AZBESTU

Zakazany 25 lat temu, zabija nadal.
I okazuje się znacznie groźniejszy, niż do tej pory myśleliśmy.
Musimy szybko działać.

KRZYSZTOF STORY

Przez chwilę wydawało nam się, że znaleźliśmy materiał doskonały – uniwersalny, tani, stworzony przez naturę. Choć znany ludzkości od tysięcy lat, dopiero w ubiegłym stuleciu doczekał się sławy. Grupę sześciu minerałów o wyjątkowej strukturze bardzo cienkich włókien ochrzciliśmy mianem azbestu i postanowiliśmy: to będzie budulec XX wieku.

Wiedzieliśmy, że jest szkodliwy. Pierwszy zgon udokumentował brytyjski lekarz Hubert Murray w 1906 r. (rok później powstała pierwsza fabryka eternitu w Polsce). W latach 60. potwierdziliśmy naukowo, że wdychanie unikatowych mikrowłókien powoduje nowotwory opłucnej. Nie przeszkadzało nam to. Wykorzystywaliśmy ich kosmiczne właściwości – odporność na ekstremalne temperatury, rozciąganie, zgniatanie, tarcie, kwasy i sole. Azbest wydawał się niezniszczalny, więc robiliśmy z niego statki, klocki hamulcowe, sprzęgła, kleje, izolacje, uszczelki, ubrania i teatralne kurtyny. Polska między 1970 a 1990 r. importowała (głównie z ZSRR, Włoch i Kanady) średnio 78 tys. ton minerału rocznie.

Nigdzie jednak nie zrobił takiej kariery jak w budownictwie. Do dziś w Polsce leży ponad 4400 km azbestowych rur (mniej więcej tyle dzieli Kraków od bieguna północnego), a rakotwórczy minerał daje nam dach nad głową. Cement zmieszany z azbestem używany do produkcji płyt dachowych nazwaliśmy eternitem, od łacińskiego „aeternitas", czyli „wieczność". Kilkadziesiąt lat później zdaliśmy sobie sprawę, że zamiast wiecznych dachów mamy wieczny problem. Azbest zaczął zabijać na serio.

Polska ustawowo zabroniła stosowania go w 1997 r. Osiem lat później to samo zrobiła cała Unia Europejska. Czy dziś możemy uznać, że najgorsze już za nami? Ten artykuł jest częścią międzynarodowego śledztwa prowadzonego w dziewięciu państwach Europy. Wspólnie z dziennikarzami na całym kontynencie przez ostatnie miesiące dokumentowaliśmy historie ofiar, skalę problemu i strategie państw. Jedno jest pewne: azbest nie jest przeszłością. I okazuje się znacznie groźniejszy, niż myśleliśmy.

Jak z młyna

Eksperci potwierdzają, że właśnie obserwujemy rosnącą falę zachorowań i zgonów na choroby azbestozależne. – W największym stopniu narażone były osoby, które kilkadziesiąt lat temu pracowały z azbestem lub mieszkały w pobliżu takich zakładów. Okres latencji nowotworu płuc czy międzybłoniaka to nawet 30-40 lat – mówi dr hab. Beata Świątkowska, która kieruje programem Amiantus, zapewniającym opiekę byłym pracownikom fabryk korzystających z azbestu.

Wzrost zachorowań widać w statystykach. W roku 2000 na międzybłoniaka opłucnej zmarło w Polsce 70 osób, dekadę później – 190, a w 2019 r. (to ostatnie dane) mieliśmy już 295 zgonów. Podobnie jest w całej Europie.

Gdyby Jesús Ropero Calcerrada z Beasáin w hiszpańskiej części Kraju Basków wiedział, że włókna o średnicy poniżej 3 mikrometrów mogą przedostać się do dolnych dróg oddechowych i po latach wywołać nowotwór, na tamtą pracę by się nie zdecydował. – Chmury pyłu otaczały nas przy każdym uderzeniu młota, ale wtedy nie wiedzieliśmy o azbeście zupełnie nic – wspominał 73-latek.

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

Usuwanie eternitu z dachów zniszczonych przez burzę. Bory Tucholskie, 2012 r.

35 lat temu jego zadaniem było oczyszczanie z azbestu starych wagonów. Ani on, ani inni pracownicy nie mieli żadnej ochrony osobistej.

Jesús należy do najbardziej rozpoznawalnej grupy ofiar azbestu – emerytowanych mężczyzn, którzy przepracowali w pyle pół życia. W Polsce, rozmawiając z byłymi pracownikami fabryk i dekarzami, słyszałem podobne historie. – Wyglądaliśmy nieraz, jakbyśmy wyszli z młyna, tak byliśmy obsypani tym pyłem – powiedział mi jeden z emerytowanych dekarzy.

Sam Jesús rok przed wywiadem usłyszał diagnozę: nowotwór. Później podłączono go do aparatu tlenowego, a ból uśmierzano morfiną. – Mam żonę, zobacz, jaka jest piękna, i siedmioro wnuków. Może chociaż dostaną jakieś odszkodowanie – mówił, próbując wtedy skłonić byłego pracodawcę do wypłaty rekompensaty.

Zmarł 5 listopada, dwa tygodnie po rozmowie do tego tekstu.

600 ofiar dziennie

W 2004 r. Światowa Organizacja Zdrowia oszacowała, że z powodu kontaktu z azbestem w pracy co roku umiera na świecie 107 tys. osób. Obecne szacunki operują już liczbami ponad dwa razy większymi.

Międzybłoniak opłucnej to agresywny (tylko 40 proc. pacjentów przeżywa pierwszy rok) rak atakujący błony otaczające najważniejsze organy: serce, jamę brzuszną i płuca. W odróżnieniu od innych nowotworów przyczyną międzybłoniaka prawie zawsze jest azbest, dlatego naukowcy wykorzystują go jako najbardziej miarodajne źródło statystyk. Bez eternitu ta choroba by nie istniała.

W 2012 r. grupa badaczy wyliczyła, że w przypadku narażenia na chryzotyl, czyli najpopularniejszy typ azbestu, na każdego międzybłoniaka przypada 6,1 nowotworu płuc (to może oznaczać, że jeśli azbest wywołał 100 śmiertelnych międzybłoniaków, w tym samym czasie mógł spowodować do 610 nowotworów płuc). Te ustalenia potwierdziła m.in. praca „Global Asbestos Disaster” ↦

↦ („Światowa katastrofa azbestowa"). Jednym z jej współautorów jest dr Jukka Takala z Finlandii, były prezes Międzynarodowej Komisji Zdrowia w Pracy: – Prawie wszyscy eksperci na świecie są dziś zgodni: azbest zabija około ćwierć miliona ludzi każdego roku.

Potwierdzamy te liczby w kilku źródłach. Jednym z nich jest baza danych Instytutu Metryki i Oceny Zdrowia w Szkole Medycznej Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Wynik jest przerażający: prawie 240 tys. ofiar azbestu tylko w 2019 r., z czego aż 90 730 z Unii i Wielkiej Brytanii.

Nawet tradycyjnie ostrożna WHO uaktualniła swoje szacunki. Wynik: 209 481 zgonów na całym świecie w 2016 r. Prawie 600 dziennie.

Program

W waszyngtońskiej bazie szukam danych dla Polski. Według amerykańskich naukowców przez azbest zmarły u nas w 2019 r. 4043 osoby. To oczywiście szacunki, ale oparte na latach niezależnych badań. Zasada jest prosta: jeśli mamy 295 zgonów na międzybłoniaka, za które na pewno odpowiada azbest, to znaczy, że gdzieś są też wywołane przez rakotwórczy minerał nowotwory tchawicy, płuc i oskrzeli. Problem w tym, że nikt nie jest w stanie tych liczb ani potwierdzić, ani im zaprzeczyć – nie bada się historii narażeń sprzed 40 lat. Nowotwór płuc często jest przypisywany wyłącznie papierosom, tymczasem badania potwierdzają, że ryzyko dramatycznie rośnie (nawet 50-krotnie), jeśli palacz oprócz substancji smolistych wdychał także azbestowe włókna.

Wertuję polski rejestr chorób zawodowych, ale nie można go uznać za miarodajną statystykę. W Polsce chorobę zawodową stwierdza się na wniosek samego pracownika, lekarza lub pracodawcy. Wielu ludzi lata po narażeniu na azbest nie kojarzy jednak choroby ze swoją dawną pracą, a część po prostu nigdy nie przejdzie wyboistej urzędniczej ścieżki. Dość powiedzieć, że w 2019 r. jako chorobę zawodową zakwalifikowano jedynie 23 przypadki międzybłoniaka (na 337 zdiagnozowanych). Widać jednak pewne prawidłowości: 69 proc. wszystkich nowotworów zakwalifikowanych jako choroba zawodowa spowodował azbest. W innych latach ta proporcja jest nawet wyższa. Do tego dochodzi 31 przypadków innych „azbestowych" chorób opłucnej i osierdzia oraz 114 przypadków pylicy.

Próbuję jeszcze analiz w mniejszej skali: państwo polskie zamykając 28 zakładów azbestowych, zaopiekowało się ich pracownikami. Od ponad 20 lat Instytut Medycyny Pracy w Łodzi koordynuje poświęcony im program Amiantus. – Przebadaliśmy ponad osiem tysięcy osób, w większości mężczyzn – mówi Beata Świątkowska, koordynatorka programu. – U co czwartej osoby zdiagnozowaliśmy chorobę spowodowaną przez azbest.

Większość byłych pracowników choruje na pylicę azbestową, ale prawie 200 zachorowało na złośliwe nowotwory. Zmiany w płucach ma 65 proc. pacjentów programu Amiantus.

Przyjadą, jak przyjadą

Kolejny problem to my – klienci dawnych fabryk eternitowych. Jak bardzo jesteśmy narażeni? W 2009 r. ruszył Program Oczyszczania Kraju z Azbestu na lata 2009-2032. Najpierw chciano zinwentaryzować cały azbest w kraju, potem zachęcić ludzi do wymiany eternitowych dachów, rur i izolacji, a następnie za darmo truciznę od nich odebrać, zawieźć na składowiska i zakopać. Całość pracy wykonują samorządy (głównie gminy) dofinansowane przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii oraz Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, wspierane przez Państwową Inspekcję Pracy i prywatne firmy.

Cel był jasny: pozbyć się całego azbestu do 2032 r. Byliśmy pierwszym krajem w Europie, który tak ambitnie podszedł do sprawy. I jak dotąd jedynym, bo strategię usuwania azbestu ma oprócz nas tylko Flandria, jeden z regionów Belgii. W 2013 r. chwalił nas za to nawet Parlament Europejski i apelował do innych

Jak się tego pozbyć?

Wielu z nas ma azbest w domach. Najwięcej informacji dotyczących jego inwentaryzacji, usuwania i możliwości dofinansowania, wraz z listą prowadzonych przez samorządy programów, znajduje się na stronach portalu **www.bazaazbestowa.gov.pl**

ZDEJMIJ

Pierwszy krok to inwentaryzacja. Informację przesyłamy do urzędu gminy (osoby fizyczne) lub marszałkowskiego (osoby prawne). Większość gmin prowadzi też własne inwentaryzacje.
Tydzień przed rozpoczęciem prac musimy powiadomić nadzór budowlany, inspekcję sanitarną i pracy. Praca z azbestem powinna odbywać się w maskach, „na mokro" i wyłącznie za pomocą narzędzi ręcznych i wolnoobrotowych. Niezależnie, kto jest wykonawcą, przypilnujmy podstawowych zasad BHP; możemy uratować komuś życie.

ZAKOP

Zdemontowany azbest należy szczelnie owinąć grubą folią. Wywozem zajmie się wyspecjalizowana firma wynajęta przez naszą gminę. Rakotwórcze rury i płyty dachowe trafią na specjalne składowiska, gdzie zakopuje się je w dołach zwanych mogilnikami. W Bazie Azbestowej znajduje się 59 takich składowisk, ale tylko 34 są czynne – pozostałe już się wypełniły, a dwa są dopiero w planach.

KRZYSZTOF STORY

ZAPOMNIJ?

Czy istnieją inne opcje niż zakopywanie azbestu?
W 2012 r. naukowcy z AGH w Krakowie pod kierunkiem prof. Macieja Pawlikowskiego opatentowali technologię niszczenia azbestu. Minerał miesza się z odpadami, np. z hałd górniczych, i podgrzewa do wysokiej temperatury. Otrzymana w ten sposób cegła nie zawiera rakotwórczych włókien, ma formę granulatu i można ją ponownie wykorzystać, choćby jako dodatek do betonu.
Polskie prawo zabrania przetwarzania azbestu, uznając to za zbyt niebezpieczne, więc technologia z Krakowa po udanych testach nigdy nie weszła w życie. Jak dotąd żaden kraj nie zdecydował się na unieszkodliwianie azbestu na większą skalę. ©℗ KS

KATHARINE QUARMBY / MATERIAŁ PRASOWY

Helen Bone, pielęgniarka z Wielkiej Brytanii. Rok temu zdiagnozowano u niej międzybłoniaka opłucnej.

krajów, by szły śladem Polski. Po ponad 12 latach działania programu wiadomo, że się nie uda: usunęliśmy ledwie 17 proc. zinwentaryzowanego azbestu, a zinwentaryzowaliśmy niewiele ponad połowę całości. Eksperci szacują ilość wyrobów azbestowych w Polsce na około 15 mln ton. Przy obecnym tempie pozbędziemy się wszystkiego za 121 lat. – Nie byłabym taką optymistką – mówi prof. Daniela Szymańska z Katedry Studiów Miejskich i Rozwoju Regionalnego UMK w Toruniu. – Patrząc na różnice w postępach poszczególnych gmin, to 120 lat może nam nie wystarczyć.

Dlaczego idzie nam tak wolno? Realizacja programu była pod lupą NIK w 2016 i 2022 r. Wnioski były podobne: brakuje mocy prawnej i pieniędzy. Program usuwania azbestu nigdy nie doczekał się rangi ustawy, jest jedynie uchwałą Rady Ministrów, więc wiele samorządów realizuje go po łebkach. Na 31 skontrolowanych w tym roku samorządów aż 16 nie robiło obowiązkowej inwentaryzacji azbestu nawet we własnych budynkach. Przez ostatnie pięć lat żaden burmistrz, wójt czy prezydent nie zdecydował się też na zgłoszenie naruszeń związanych z azbestem.

Sam program też ma swoje absurdy – jego sercem jest Baza Azbestowa. To tu wprowadza się wyniki inwentaryzacji i rejestruje usunięcie kolejnych kilogramów azbestu. Tylko że od 12 lat nadal są problemy z jej używaniem – interfejs jest toporny, przez co łatwo o błąd. Według NIK błędne dane w bazie miało 18 z 23 gmin.

By zobaczyć, jak usuwanie działa w praktyce, nie trzeba daleko szukać – rakotwórczy minerał jest na polskiej wsi wszechobecny. Drogą krajową nr 94 wyjeżdżam z Krakowa w stronę Olkusza. Dziwię się, bo po raz pierwszy widzę to, co oczy zawsze bezwiednie omijały. Na chodnikach, podjazdach i podwórkach co chwilę dostrzegam stosy płyt eternitowych. W dwóch wsiach, Jerzmanowicach i Białym Kościele, mijam 10 takich przydrożnych stert – jedna co kilometr.

Rozmawiam z właścicielami. Zrobili remont dachu, stary azbest zgodnie z zasadami ułożyli na palecie, owinęli folią, zgłosili do gminy i czekają. Jeden trzy miesiące, drugi pół roku, trzeci półtora. Gminy ustalają harmonogramy według własnej woli, nie obowiązują ich żadne terminy. Przyjadą, jak przyjadą, najczęściej kiedy zbierze się więcej „zamówień". Do tego czasu płyty eternitowe, często połamane, stoją sobie na chodniku. Folią z czasem zajmie się deszcz i wiatr. Naprawdę dobrze zabezpieczona była tylko jedna paleta.

Zatrzymuję się przy innej – czeka na utylizację już ponad rok. Metrowego stosu falistego eternitu nie zabezpiecza nic, resztki folii walają się na ziemi. Właściciela nie ma, wyjechał do Niemiec, dom wynajmuje rodzinie z Ukrainy. Z lokatorami kontaktuje się jego szwagier, ale ze mną o porzuconym azbeście rozmawiać nie chce. Do małżeństwa z Ukrainy tylko się lekko uśmiecham i delikatnie sugeruję, żeby kupili rolkę streczu i owinęli te płyty. Obiecują, że jutro.

Do ponownej oceny

Nie ma powodu, by całą winę za takie sterty przerzucać na mieszkańców – to dzięki nim mamy jakiekolwiek, choć mizerne, postępy w usuwaniu niebezpieczeństwa. To, że gmina odbierze od nich azbest za darmo, jest niewielką pomocą, bo utylizacja toksycznych płyt to maksymalnie 10 proc. kosztów nowego dachu.

Brak finansowania to największa luka narodowej strategii. Poza funkcjonującym w zaledwie dwóch małopolskich gminach (Krzeszowice, Andrychów) Szwajcarsko-Polskim Programie Współpracy i niektórymi propozycjami dla rolników nikt nie oferuje wsparcia w remoncie dachów czy wymianie azbestowej izolacji. Efekt jest oczywisty: ludzie odnawiają tylko to, na co mają pieniądze i na czym im zależy. Jeśli parę azbestowych płyt przy okazji wyląduje na składowisku odpadów, jest to zazwyczaj skutek uboczny. Gospodarze, z którymi rozmawiałem, cieszyli się z nowych dachów w domach, ale równocześnie machali ręką na połamany eternit w stojącej obok szopie, składziku czy garażu. – Na to przyjdzie czas – mówili.

A czas jest kluczowy. Azbestowy dach jest w pełni bezpieczny... dopóki jest w dobrym stanie. Kiedy zaczyna pękać i kruszyć się, należy go jak najszybciej wymienić. Teoretycznie podczas azbestowych inwentaryzacji każdemu materiałowi przypisuje się jeden z trzech stopni „pilności". Tylko że te normy w 2010 r. rozluźniono tak, że uszkodzony dach Starostwa Powiatowego w Brzezinach, który na początku kwalifikował się do natychmiastowej wymiany, po aktualizacji programu nagle wymagał jedynie „ponownej oceny za 5 lat". A po drugie: przepis jest od początku martwy, bo nie ma żadnego instrumentu, który nakłoni właściciela, by własne pieniądze przeznaczył na remont szopy na narzędzia zamiast domu.

Nie tylko starsi panowie

Pomimo wszystkich błędów i porażek Polska i tak jest jednym z europejskich liderów w walce z azbestem. Wiele krajów, ↦

↦ jak Słowenia, Chorwacja i Hiszpania, nie ma pojęcia, gdzie i ile azbestu mają, albo opierają się na danych organizacji pozarządowych. Rząd Holandii chciał nakazać wymianę wszystkich eternitowych dachów do 2024 r., ale Senat odrzucił ten pomysł.

Włosi szacują, że usuwanie azbestu zajmie im od 60 do 100 lat. Ezio Bonanni, prezes Narodowego Obserwatorium Azbestowego, twierdzi, że w kraju zostało jeszcze 40 mln ton, a narażonych jest 350 tys. uczniów z 2400 szkół. W Wielkiej Brytanii 90 proc. publicznych szpitali i 81 proc. szkół zawiera azbest, a kraj nadal nie uzgodnił żadnej strategii. Wiele z tych krajów właśnie teraz debatuje nad bardziej zdecydowanymi działaniami.

Jedynym wyjątkiem poza Polską jest wspomniana belgijska Flandria. Na utylizację czeka tam 2,3 mln ton azbestu. W życie właśnie wszedł przepis, który nie pozwala właścicielowi sprzedać domu zbudowanego przed 2001 r., jeśli nie posiada certyfikatu „wolny od azbestu". Za 10 lat dokument będzie obowiązkowy dla wszystkich właścicieli starych domów.

Wszystkie te działania są podejmowane, bo coraz więcej danych wskazuje, że punktowe zagrożenie dla dawnych pracowników zakładów przerodziło się w szerszy problem. Jego symbolem jest historia Helen Bone, 40-letniej byłej pielęgniarki z Middlesbrough w Anglii. Rok temu wykryto u niej międzybłoniaka. Bone nigdy nie pracowała z azbestem, nie wdychała chmur pyłu. Po prostu spędziła w azbestowych budynkach większość życia, jako uczennica, pacjentka, pielęgniarka. – Myślałam, że to choroba starszych panów. Teraz na grupach wsparcia widzę, że choruje coraz więcej kobiet – mówi.

W Szwecji, która zakazała azbestu już w 1982 r., zachorowalność na międzybłoniaka nadal rośnie. W Polsce w 2019 r. ten nowotwór zdiagnozowano u 104 kobiet, najmłodsza nie miała nawet 35 lat.

BHP się nie przyjęło

Z azbestem będziemy zmagać się przez dekady. Błędów przeszłości nie naprawimy, ale w trakcie śledztwa sprawdziliśmy, jak możemy uniknąć kolejnych. Musimy się przygotować na to, że usuwanie azbestu na wielką skalę wydarzy się niezależnie od tego, czy kraje UE opracują podobne do polskiej strategie czy nie. Przyczyną będą zmiany klimatu.

Obserwujemy rosnącą falę zachorowań i zgonów na choroby azbestozależne. Najbardziej narażeni są ludzie, którzy lata temu pracowali z azbestem lub mieszkali w pobliżu takich zakładów.

Jednym z filarów „Polityki energetycznej Polski do 2040 r." jest efektywność energetyczna. Do 2030 r. mamy zredukować zużycie prądu i paliw o 23 proc. Dalej idące plany wpisała Unia do Zielonego Ładu. A to oznacza wielki remont, termomodernizacje, przerabianie domów na pasywne. W myśl unijnej strategii Renovation Wave nawet 35 mln budynków będzie wymagało odnowienia lub wyburzenia. Wiele będzie zawierać azbest. Dodatkowe miliony metrów kwadratowych eternitowych dachów po prostu się rozpadną. O bezpieczeństwo tych, którzy będą je utylizować, trzeba zadbać już teraz.

Jak to się często odbywa według obecnych standardów, opowiada mi Rafał. Mieszka w Sąspowie pod Krakowem. Azbestowy dach wymieniali 12 lat temu, ale z rozmów z okolicznymi mieszkańcami wie, że gdzie indziej niewiele się zmieniło. – Ten dom pamięta jeszcze komunę, więc cały eternit był przybity gwoździami, a zamiast podkładek były stare monety jednozłotowe – mówi Rafał. – Dawniej się ich używało, bo były miękkie i tańsze niż zwykłe podkładki. Tylko ciężko było je podważyć. Wiesz, co zrobiła ekipa budowlana? Wzięli szlifierkę i zaczęli je odcinać od płyt azbestowych. Widziałeś kiedyś, co się dzieje, jak szlifierką dotkniesz azbestu?

Widziałem raz. Nic innego nie kurzy się tak bardzo jak azbest. Dlatego według przepisów wszystkie prace przy nim trzeba robić w kombinezonach i na mokro, bo pył nie unosi się w wilgotnym powietrzu. Rafał: – Było ciepło, oni robili ten dach rozebrani do pasa. Z góry zrzucali na ziemię płyty, łamało się wszystko. Pytam, czy nie zwariowali. Odpowiedzieli, że już dziesięć lat to robią.

Eternit rok czekał na podwórku. Rafał mieszka na skraju wsi, więc nigdy nie było po drodze. – Po roku zadzwonili, że przyjadą go zabrać. Wyobrażałem sobie gości w białych kombinezonach. A znów zobaczyłem gołych do pasa dwudziestoparolatków. Powiedzieli „dzień dobry" i zaczęli z rozmachem wrzucać te płyty na ciężarówkę.

Ten smutny obraz potwierdzają statystyki Państwowej Inspekcji Pracy. W 2021 r. inspektorzy przeprowadzili 188 kontroli w firmach zajmujących się usuwaniem azbestu. Trudno znaleźć taką, która skończyłaby się dobrze. 48 proc. firm źle magazynowało azbest, 42 proc. źle organizowało stanowiska pracy, 38 proc. nie zapewniało dobrych środków ochrony osobistej.

W Polsce trwają prace nad ustawą azbestową z prawdziwego zdarzenia, projekt mamy poznać w przyszłym roku. Regulacją usuwania go po raz pierwszy zajmuje się też Unia Europejska, która zaraz będzie wypłacać miliardy euro na inwestycje w efektywność energetyczną i ograniczanie emisji (sam tylko KPO jest warty 724 mld euro), a politycy potraktowali poważnie szacunki naukowców o 90 tys. śmiertelnych ofiar azbestu rocznie w Europie.

Parlament Europejski przeważającą większością głosów poparł projekt inwentaryzacji azbestu w całej UE, odszkodowań dla ofiar i stukrotne zmniejszenie dopuszczalnego poziomu narażenia pracowników na azbest. Komisja Europejska proponuje jednak dużo mniej restrykcyjne rozwiązania.

W tym samym czasie brytyjska pielęgniarka Helen Bone mówi: – Tęsknię za swoją pracą i dawnym życiem. To jest niesprawiedliwe, by pisać testament w wieku 40 lat. ©℗ KRZYSZTOF STORY

Międzynarodowe śledztwo dziennikarskie „Azbest: zabójcze dziedzictwo" jest efektem współpracy dziennikarzy z Investigative Reporting Denmark w Danii, „Knack" w Belgii, „Oštro" w Chorwacji i Słowenii, IRPI we Włoszech, „De Groene Amsterdammer" w Holandii, Grupo Merca2 w Hiszpanii, „Al Jazeera English" w Wielkiej Brytanii oraz Fundacji Reporterów i „Tygodnika Powszechnego" w Polsce. Projekt powstał dzięki wsparciu Journalismfund.eu

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pracownicy Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie domagają się podwyżek. Lublin, 23 czerwca 2022 r.

Daleko nam do Japonii

PIOTR WÓJCIK

Niskie płace są jedną z naszych największych bolączek oraz powodem emigracji młodych i aktywnych Polaków. Słowa szefa partii rządzącej o dogonieniu światowych potęg to nic innego jak zaklinanie rzeczywistości.

Każdy z kolejnych rządów obiecywał zasypanie płacowej przepaści z Zachodem i każdemu udało się to średnio. Wyjeżdżając do pracy we Francji czy w Niemczech, Polacy dostrzegali wciąż ogromne różnice. Aż nadszedł 13 listopada, gdy prezes PiS nieoczekiwanie poinformował, iż misja doganiania rozwiniętego świata została zakończona.

„Polska przestała być krajem niskich płac. Dziś w rankingu OECD jesteśmy – państwo w to pewnie nie uwierzą – zaraz za Japonią, zaraz to może nie, bo tam jest pewna przerwa, ale między nami a Japonią żadnego innego kraju nie ma. Przypomnę tutaj pewnego polityka, którego my oceniamy surowo, że Polska będzie drugą Japonią. No to jesteśmy blisko" – stwierdził Jarosław Kaczyński w Bielsku-Białej.

Gdyby były premier miał rację, byłoby oczywiście wspaniale. Problem w tym, że powiedział nieprawdę.

Tania siła robocza Europy

– Możemy wyróżnić dwa sposoby porównywania płac w poszczególnych państwach – tłumaczy dr Maciej Grodzicki, ekonomista z Uniwersytetu Jagiellońskiego i z Polskiej Sieci Ekonomii. – Pierwsza perspektywa jest istotna głównie z punktu widzenia konkurencji międzynarodowej. W tym ujęciu interesująca jest przeciętna płaca godzinowa w całym kraju lub w poszczególnych branżach, wyrażona w którejś z walut międzynarodowych. Czyli na przykład w euro.

Pod tym względem niestety wciąż jesteśmy państwem bardzo niskich płac. Według Eurostatu średni godzinowy koszt pracy (z wszystkimi zobowiązaniami pracodawcy) w Polsce w ubiegłym roku wyniósł 11,5 euro. Średnia unijna to nieco ponad 29 euro. Osiągnęliśmy więc dopiero poziom niecałych 40 proc. całej UE. Do Niemiec, których dogonienie jest naszym marzeniem, tracimy jeszcze więcej, gdyż za Odrą średni koszt pracy na godzinę to aż 37 euro. Wyprzedzamy jedynie sześć innych państw UE, przy czym Litwę, Chorwację i Łotwę minimalnie, a Węgry, Rumunię i Bułgarię już wyraźniej.

Niskie koszty pracy wyrażone w euro to zresztą specyfika całego regionu. W tym aspekcie w Unii istnieje prawdziwa „ściana wschodnia" – niestety wciąż zdecydowanie odróżniamy się od państw, które weszły do UE znacznie wcześniej. W żadnym z krajów naszego regionu średni koszt pracy nie przekracza 16 euro (najbliżej jest do tego Czechom – 15,3 euro). To efekt przyjętego dekady temu modelu rozwoju, który opierał się na przyciągnięciu inwestycji zagranicznych, m.in. dzięki perspektywie niskich płac dla przyszłych pracowników.

– Niski koszt pracy liczony w euro jest kluczowym wskaźnikiem dla inwestorów, którzy szukają okazji do obniżenia kosztów produkcji. Biznes międzynarodowy może w bardzo łatwy sposób przenosić technologie między państwami, a pracownicy w naszym regionie, o ile da się im te same narzędzia, potrafią pracować nawet wydajniej od swoich odpowiedników na Zachodzie, gdyż są bardziej zdyscyplinowani i często pracują intensywniej – wskazuje dr Grodzicki.

Dzięki utrzymywaniu luki w płacach, która dzieli nas od Europy Zachodniej, państwa naszego regionu mogły uzyskiwać stały wzrost gospodarczy napędzany napływem kapitału z państw zamożnych oraz rosnącym eksportem tanio produkowanych towarów. Ma to jednak swoją ciemną stronę. Gdy tylko wyjedziemy za granicę, momentalnie odczuwamy w swoich portfelach, iż wciąż jesteśmy tanią siłą roboczą Starego Kontynentu. Poza tym stosunkowo drogie są dla nas produkty importowane z państw wysoko rozwiniętych, m.in. elektronika czy samochody. No i wreszcie, tak wyraźne ↦

↦ różnice w płacach są istotną zachętą do czasowej emigracji zarobkowej. Wciąż warto wyjechać za granicę przynajmniej na kilka miesięcy, by zgromadzić prawdziwe oszczędności na życie. To jednak drenuje i dezorganizuje nasz rynek pracy.

Pracoholicy znad Wisły

– Drugie ujęcie porównywania płac bierze pod uwagę koszty utrzymania w danym kraju, które przekładają się na jakość życia. W tym ujęciu wynagrodzeń nie określamy tylko według kosztów pracy liczonych w euro, ale też według poziomu cen w danym kraju, czyli parytetu siły nabywczej. On się mocno różni między państwami, a w Polsce jest dużo wyższy niż w innych. Jest u nas relatywnie tanio i za tysiąc euro można kupić znacznie więcej dóbr i usług niż w Niemczech – tłumaczy Maciej Grodzicki.

Pomimo podwyższonej inflacji wciąż jesteśmy jednym z najtańszych krajów Europy. Według Eurostatu w zeszłym roku przeciętne ceny w Polsce wynosiły 60 proc. średniej unijnej. Tylko w Rumunii i Bułgarii było taniej niż nad Wisłą. Dla porównania, ceny w Czechach to 80 proc. średniej UE, a na Węgrzech dwie trzecie. W państwach zamożnych są one zwykle nawet wyższe niż unijna przeciętna – na przykład w Niemczech wynoszą 108 proc., a w Holandii 116 proc. Biorąc pod uwagę te różnice, 11,5 euro za godzinę pracy w Polsce realnie dla mieszkańca naszego kraju jest warte ponad 19 euro. W tym ujęciu polskie płace osiągnęły więc poziom 66 proc. średnich pensji w UE, co mniej więcej oddaje nasz rzeczywisty poziom rozwoju. Realnie zarabiamy też przeciętnie przeszło połowę tego, co Niemcy. Z tej więc perspektywy wygląda to już lepiej, ale nasze straty wciąż są bardzo wyraźne.

– Trzeba jeszcze zwrócić uwagę, że mówimy o średniej dla całego kraju – zaznacza dr Grodzicki. – Tymczasem w Polsce mamy terytorialne zróżnicowanie płac. Z drugiej strony koszty utrzymania w dużych miastach, o ile ktoś nie ma własnej nieruchomości, są bardzo wysokie. Do tego w Polsce dochodzi konieczność częstszego ponoszenia kosztów dostępu do prywatnej ochrony zdrowia.

Skąd więc prezes PiS powziął informację o dogonieniu Japonii pod względem płac? Kaczyński posłużył się danymi OECD, które pokazują wynagrodzenia nie tylko z uwzględnieniem parytetu siły nabywczej, ale też w ujęciu rocznym – nie godzinowym, jak podaje Eurostat. W takim ujęciu zarobki w Polsce są niesprawiedliwie zawyżone, gdyż przeciętny pracownik znad Wisły przepracowuje rocznie aż 1830 godzin. Średnia dla OECD jest ponad sto godzin mniejsza. Czesi pracują tylko przez 1753 godziny, a Węgrzy niecałe 1700.

Płace spadają w całej Europie. **Polska z trzyprocentową obniżką nie wypada wcale najgorzej.** W Grecji w pierwszym półroczu pensje obniżyły się realnie o jedną dziesiątą.

Według OECD przeciętne roczne wynagrodzenie w Polsce w ubiegłym roku miało wartość 33,5 tys. dolarów. Zaraz nad nami nie jest jednak Japonia, lecz Hiszpania. Nawet w tym korzystnym dla Polski ujęciu na Półwyspie Iberyjskim zarabia się wciąż wyraźnie więcej – dokładnie 39 tys. dolarów. W Japonii średnie wynagrodzenie roczne to prawie 40 tys. dolarów.

Bardzo dobrze wypadamy za to w porównaniu do naszych sąsiadów. W Czechach średnie wynagrodzenie to 32 tys. dol. rocznie, a w Słowacji ledwie 25 tys. Jest to też efektem wysokich słowackich cen, które obecnie są nawet wyższe niż w Czechach. Warto jednak pamiętać, że te godziwe zarobki osiągamy za cenę długiego czasu w miejscu pracy, a nie zmiany modelu rozwoju, który wciąż opiera się u nas na niskich kosztach. Spośród państw UE należących do OECD tylko w Chorwacji, Rumunii, Grecji i na Malcie pracuje się dłużej niż w Polsce.

Kryzys kosztów życia

W 2022 r. na sytuację naszych pracowników wpływa przede wszystkim inflacja. Płace przez długi czas się przed nią broniły, gdyż średnie wynagrodzenie rosło szybciej niż ceny. Tak było mniej więcej do maja, gdy inflacja przebiła wzrost płac i od tamtej pory realnie biedniejemy. We wrześniu średnie wynagrodzenie rok do roku wzrosło o 14,5 proc., ale inflacja wyniosła w tym czasie 17,2 proc. Realnie więc pensja przeciętnego pracownika w Polsce spadła o niemal 3 proc. Sytuacja wygląda jednak odmiennie w poszczególnych grupach zawodowych. Niektóre z nich wciąż mają się nieźle, w innych sytuacja jest dramatyczna.

– Dynamika płac jest bardzo zróżnicowana. Pensje szybko rosną w finansach i ubezpieczeniach, ale też w transporcie i logistyce, gdzie brakuje kierowców, poza tym na początku roku regulacje unijne, tak zwany Pakiet Mobilności, wymogły dodatkowe podwyżki. Na drugim końcu jest sektor publiczny, czyli edukacja, zdrowie i nauka, w których płace zupełnie nie nadążają za inflacją – twierdzi dr Grodzicki.

Według GUS we wrześniu tylko w trzech grupach zawodowych pensje rosły szybciej niż ceny. Obok transportu i logistyki to górnictwo oraz wytwórcy energii, którzy w czasach obecnego kryzysu jako jedni z nielicznych przeżywają hossę. We wszystkich tych zawodach pensje nominalne wzrosły o prawie jedną czwartą. Równocześnie jednak w gastronomii i hotelarstwie zarobki realnie spadły o 8,5 proc. Pracownicy wykonujący pozostałą działalność usługową – czyli na przykład osoby sprzątające – zbiednieli o jedną dziesiątą. W handlu i przemyśle pensje spadły o przeszło 4 proc.

W najbliższej przyszłości o solidne podwyżki może być trudno. Przytłoczone rosnącymi kosztami kryzysu energetycznego przedsiębiorstwa nie zamierzają zwiększać zatrudnienia, planują za to daleko idące oszczędności. Redukcję etatów rozpoczęła chociażby Grupa VELUX, czyli duński producent okien mający fabrykę w Gnieźnie. Na szczęście, według listopadowego badania Grant Thornton, zwolnienia i redukcje wynagrodzeń będą ostatecznością i firmy postawią na inne cięcia.

Płace realne spadają w całej Europie, a Polska z trzyprocentowym zjazdem na jej tle nie wypada wcale najgorzej. W Grecji w pierwszym półroczu pensje realnie obniżyły się o jedną dziesiątą, w Hiszpanii i Holandii o 8 proc., a we Włoszech o 5 proc. Dramatycznie jest w państwach bałtyckich – w Estonii i Łotwie wynagrodzenia rosną o 12-14 punktów proc. wolniej niż inflacja. Może więc się okazać, że w nadchodzących latach faktycznie nadgonimy straty do niektórych państw Europy Zachodniej. Ale nie dlatego, że się wzbogacimy, lecz dlatego, że one zbiednieją bardziej. © PIOTR WÓJCIK

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Konferencja prasowa i podpisanie umowy sponsorskiej pomiędzy PZPN a firmą bukmacherską STS. Warszawa, 29 lipca 2014 r.

Zastaw się, a postaw

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pojedynek bukmacherów z przeciwnikami sportowego hazardu to mecz do jednej bramki nie tylko w czasie mundialu: duże pieniądze i sportowi celebryci kontra garstka poobijanych nierówną walką graczy i dramaty uzależnionych.

NA POCZĄTEK POSTAWIŁEM SOBIE TRUDNY cel: zapytać Zbigniewa Bońka, czy zmienił zdanie w ważnej sprawie. Zadanie dlatego trudne, że w zgodnej opinii osób dobrze poinformowanych „Zibi" pierwszą publiczną ekspiację ma dopiero przed sobą.

„Silne uzależnienie od bukmacherki to mit" – powiedział w grudniu 2014 r., a więc dwa mundiale temu, ówczesny prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej". Doczekał się krytyki części środowiska – w tym napisanego przez publicystę tego samego dziennika Rafała Steca felietonu „Boniek twarzą świata myślącego mamoną".

Zadzwoniłem więc do „Zibiego", by zapytać, czy może chce się z tego zdania wycofać. W końcu dwa mundiale to sporo – także w sprawie bukmacherki wiele się od wtedy zmieniło.

Mundial, czyli premia

Również – tak powiedzieliby legaliści – na lepsze. Jeszcze w roku 2014 firma Roland Berger podawała, że z tortu wartego rok wcześniej 4,9 mld zł 90 proc. pożerały nielegalne, bo działające online i zarejestrowane za granicą firmy bukmacherskie. W kolejnych latach – m.in. za sprawą utrudniającej życie nielegalnym zakładom nowelizacji ustawy hazardowej z 2017 r. – proporcje się zmieniały, by w 2020 r. ulec niemal odwróceniu. Tak przynajmniej twierdzi Ministerstwo Finansów, bo przedstawiciele legalnych bukmacherów uważają, że proporcja sił to dziś ok. 50-50.

Jedno jest pewne: w 2021 r. sami legalni bukmacherzy obrócili ponad 10 mld zł. A impreza typu mundial czy Euro, jak przyznaje szef trzeciego gracza na rynku, czyli Superbet Polska, daje branży premię. – Zwykle 20-30 proc. obrotu więcej niż w najlepszym miesiącu z roku bez mistrzostw – precyzuje Adam Lamentowicz.

Zmianą numer jeden wydaje się być coś innego niż – jak to lubi przedstawiać branża – zwycięstwo dobra legalizmu nad złem szarej strefy. Otóż na bukmacherskich pieniądzach stoi dziś niemal cały polski sport, na czele ze stanowiącą około 80 proc. tego biznesu piłką nożną. To dla legalnych bukmacherów dogodna okoliczność: o ile tradycyjna reklama sportowego hazardu natrafia na obostrzenia (np. promocja w prasie młodzieżowej jest zakazana), tę związaną ze sponsoringiem puszczono wolno. Dzięki temu loga największych firm z tej branży, choćby STS czy Fortuny, zobaczymy na koszulkach większości piłkarzy polskich lig czy na stadionowych banerach. Z pieniędzy od bukmacherów korzystają zresztą całe ligi (Fortuna I liga, eWinner II liga), a także ↦

↦ drużyny reprezentacyjne – STS jest dziś ważnym sponsorem mającej już za sobą mecz z Meksykiem kadry.

– Moje stanowisko w tej sprawie jeszcze się zaostrzyło – mówi Rafał Stec, gdy pytam o ewolucję jego poglądu na reklamowanie sportowego hazardu. – A główną przyczyną, poza społeczną szkodliwością, jest fakt, że reklamy bukmacherów nas zalewają. Coś, co kiedyś było marginesem, stało się częścią mainstreamu.

Także w środowisku piłkarskim. O ile w latach, gdy sam Zbigniew Boniek tłumaczył się z promowania firmy bukmacherskiej, proceder ten kojarzył się z rozpoznawalnymi twarzami, teraz objął też te dla większości odbiorców anonimowe.

Skrzydłowy, bramkarz i łącznik

Michał Trela, ceniony w środowisku, ale niecieszący się sławą celebryty dziennikarz sportowy Canal Plus, zastrzega: mimo że ma za sobą współpracę z firmą bukmacherską, nie chce uchodzić za obrońcę tej branży. – Jestem z pokolenia, dla którego alians sportu z bukmacherką jest czymś naturalnym: gdy wchodziłem do zawodu, wielu dziennikarzy reklamowało już zakłady. A mimo tego towarzyszyły mi dylematy. Zadawałem sobie pytanie, czy uczestnicząc w tym, robię komuś krzywdę, ale zwyciężył argument, że jest to jednak wolny wybór dorosłego człowieka – mówi Trela.

Dziennikarz, w ramach zakończonej już współpracy z jedną z firm, publikował m.in. na Twitterze swoje typy meczów Bundesligi, podając też link do strony bukmachera.

Zastrzegając, że nie odnosi się do firm, w których pracował, ale do środowiskowej wiedzy, Trela zwraca uwagę na kontekst współpracy dziennikarzy z bukmacherami: – Redakcje nie płacą dużo, wolą przymykać oko na tę współpracę, niż podwyższyć pensje.

Jednak sam szczyt marketingowej piramidy biznesu to inwestycje w pozyskiwanie celebrytów. Np. założony w 2019 r. internetowy „Kanał Sportowy", skupiony w rękach czterech publicystów – Mateusza Borka, Krzysztofa Stanowskiego, Michała Pola i Tomasza Smokowskiego – jest sponsorowany przez Superbet. Wśród jego licznych „ambasadorów" (właśnie tego słowa używają z lubością bukmacherzy) są, poza wymienionym Smokowskim, m.in. skrzydłowy Sławomir Peszko i eksbramkarz Jerzy Dudek. I właśnie ta trójka współtworzy od jakiegoś czasu program publicystyczny „Skrzydłowy, Bramkarz i Łącznik" (nawiązanie do słów ze słynnej piosenki „Trzej przyjaciele z boiska") w kooperacji z bukmacherem. Znamienne, powiedzieliby krytycy panoszącego się wszędzie bukmacherskiego marketingu, że właśnie za symbolicznych łączników między hazardowym biznesem a kibicami robią dziś dziennikarze...

– Zaangażowanie na tym polu ludzi będących często idolami młodych uważam za wielki cios, nie tylko dla polskiego dziennikarstwa sportowego. Ci dziennikarze, mam na myśli głównie celebrytów niemających przecież problemów finansowych, są używani do ugłaskiwania ewidentnego zła – mówi jeden z nielicznych już w środowisku jawnych krytyków tego zjawiska, Mirosław Żukowski z „Rzeczpospolitej".

A Rafał Stec dodaje: – Do niedawna byliśmy pod tym względem wyjątkiem: w innych krajach nie widziałem dziennikarzy reklamujących bukmacherkę. Ostatnio zauważyłem jednak, że nawet znany brytyjski publicysta sportowy Jonathan Wilson zamieszcza płatne teksty na portalu bukmacherskim. Czytam też jednak trochę po hiszpańsku oraz niemiecku, i takiej aktywności reklamowej jak u nas w tych krajach nie widzę.

Stec wpisuje to polskie zjawisko w szerszy kontekst: zacierania się reguł w dziennikarstwie jako takim, z upadkiem telewizji publicznej na czele. I traktuje jako kolejny czynnik wywołujący głębokie podziały w środowisku: – Pewien bardzo znany dziennikarz sportowy reklamujący bukmacherów napisał do mnie prywatną wiadomość po jednej z moich krytycznych wypowiedzi. Zapytał, czy czuję się od niego lepszy, a następnie stwierdził, że moja postawa to hipokryzja.

Podobnie argumentował w 2019 r. w piśmie „Press" Mateusz Borek. „Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć, skąd są pieniądze w profesjonalnym sporcie. Bez bukmacherów nie byłoby na takim poziomie Premier League [najwyższa klasa rozgrywkowa w Anglii – red.] i innych lig europejskich" – grzmiał znany komentator dodając, że reklamy bukmacherów mogą się też pojawiać na portalach należących do gazet, do których piszą przeciwnicy tego zjawiska.

– Nikogo publicznie nie krytykuję ani nie oceniam. Ja po prostu gdzie indziej stawiam granice tego, co dla mnie dopuszczalne, a co nie – mówi krótko Stec.

– Mam nadzieję, że nie dożyję czasów, gdy mój tekst pojawi się w sąsiedztwie takiej reklamy – dodaje Żukowski. – Ale nawet gdyby, to pozostanę przy stanowisku, że czym innym jest zaangażowanie w taki proceder firmy, klubu, nawet sportowca, a czym innym dziennikarza.

Czy reklama zakładów zwiększa pulę uzależnionych? Psycholożka dr Bernadeta Lelonek-Kuleta z KUL i pedagożka dr Małgorzata Piasecka z UJ, współpracujące z Krajowym Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom badaczki hazardu, przytaczają dane świadczące o tym, że tak właśnie jest. W badaniach prowadzonych w Australii na dzieciach w wieku 8-16 lat stwierdzono, że reklamy zwiększały w oczach młodzieży atrakcyjność grania. – A współpracujący z nami badacze francuscy przyglądali się młodzieży w wieku 13-16, mającej za sobą doświadczenie grania – relacjonuje dr Lelonek-Kuleta. – Wśród tych, którzy zetknęli się z reklamami, uzależnionych od hazardu było już 23 proc., z kolei w gronie osób, które reklam nie widziały, wskaźnik sięgał 13 proc.

Przed południem, w nocy, w Europie i Azji

Ostatnie lata – to kolejna zmiana – przyniosły wygraną bukmacherów w ważnej wojnie. Wojnie na narracje.

Opowieść przegraną można streścić tak: zakłady sportowe, owszem, służą też do zabawy i rozrywki, ale ich istota to usidlanie podatnych na uzależnienia ludzi. Zwycięska narracja jest przeciwstawna: owszem, zdarzają się patologie w postaci nałogu grania, ale to margines – obstawianie zakładów to przede wszystkim rozrywka i przedłużenie rytuału kibicowskiej wspólnoty.

O tym, że przekonywanie do prawdziwości tej drugiej opowieści jest celem bukmacherów, mówią oni sami. – W ostatnich latach wiele zrobiliśmy, żeby oswoić zakłady – mówi Adam Lamentowicz. – By kojarzyły się nie z hazardem, a z rozrywką. Choć nadal nie jest tak, jak w innych krajach, gdzie obstawianie wpisane jest w kulturę kibicowania.

„Oswajanie zakładów" to także rewolucja w bukmacherskiej infrastrukturze. O ile dekadę temu, by zagrać, trzeba było

odwiedzić stacjonarny punkt, dziś 90 proc. biznesu to internet. Można więc grać nie wychodząc z domu, i to o dowolnej porze.

Gdy piszę ten tekst, wybieram losowy moment, by zajrzeć na stronę jednego z największych polskich bukmacherów. Jest akurat poniedziałkowe wczesne popołudnie, czyli pora wybitnie niemeczowa. Tyle że doba bukmacherska jest jak dzień polarny na biegunie – trwa 24 godziny. Widzę więc np., że jest 88. minuta towarzyskiego meczu kobiet Grecja-Cypr, w którym gospodynie prowadzą 1-0, a ja mogę dostać ponad trzy złote za złotówkę postawioną na zakład, że w meczu tym padnie jeszcze bramka. Toczą się trzy spotkania paragwajskiej ligi rezerw, jest ponad dwadzieścia pojedynków tenisowych. Nie inaczej będzie w nocy – nawet jeśli zaśnie Europa, na boiska, hale i korty wybiegnie przecież Azja.

Tymczasem droga do pierwszego w życiu obstawienia, które może skończyć się nałogiem, jest niewiele dłuższa niż ta po piwo – do lodówki i z powrotem. Szybka rejestracja (nagradzana przez firmy bukmacherskie bonusami „na powitanie"), szybki przelew i złożenie zakładu.

A później gra, daleka od pojedynku toczonego na równym prawach. Choćby ze względu na marżę, która w zakładach wynosi dwadzieścia kilka procent (np. za postawioną na zwycięstwo drużyny siatkarskiej A złotówkę w meczu z równorzędnym przeciwnikiem nie dostaniemy dwóch złotych, tylko nieco mniej niż 1,8).

– Można was ograć? – pytam Adama Lamentowicza, zaznaczając, że nie chodzi mi o pojedyncze wygrane, tylko dodatni bilans np. w skali roku.

– Można.

– Ile jest takich osób?

– Mamy dane, ale wolałbym ich nie podawać. Mogę powiedzieć, że jednorazowo klient może wygrać do 600 tys. zł na jednym zakładzie – mówi Lamentowicz, zaraz jednak dodaje, że bukmacher zastrzega sobie prawo do nieprzyjęcia zakładu lub obniżenia kursu, jeśli dostrzega przekroczenie limitu ryzyka po stronie firmy.

Rafał Stec poznał ludzi, którym udawało się wykiwać bukmacherów. – Ich analitycy nie są w stanie wszystkiego rzetelnie oszacować, więc jak ktoś się wysili i przeanalizuje np. szanse zawodniczek z drugiej i dziewiątej setki tenisowego rankingu, dogrzebując się do wiadomości, że ta teoretycznie silniejsza miała niedawno

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Internetowy Kanał Sportowy, należący m.in. do Mateusza Borka, jest sponsorowany przez Superbet. Wśród jego licznych ambasadorów jest też Sławomir Peszko.

kontuzję, to jest w stanie przechytrzyć system – mówi publicysta. – Ale jeśli zrobi to dziewiąty i dziesiąty raz, to bukmacher pozwoli mu stawiać maksymalnie kilka złotych na jeden zakład, przez co ewentualna wygrana da niewielki zysk.

Jak przegrać kawalerkę

– Trochę to porównanie przestrasza, ale je wypowiem. Bukmacherzy przypominają kartele – mówi Bożena Maciek-Haściło, psychoterapeutka uzależnień z warszawskiego Laboratorium Psychoedukacji.

– Działają w granicach prawa – zauważam.

– Nie podważam tego. Ani tego, że sponsorują sport. Tylko że ja na ten fenomen patrzę z punktu widzenia człowieka zgłaszającego się do mojego gabinetu. A on jest mamiony jak narkoman. Zaczyna łudzony darmowym kuponem, wmawia mu się, że to niewinna rozrywka. A gdy jest na granicy uzależnienia, nikt się jego losem już nie interesuje. Wie pan, że nałogowy hazardzista jest znacznie bardziej narażony na ryzyko samobójstwa niż alkoholik albo narkoman? I to bez względu na to, czy gra w kasynie, czy obstawia wyniki.

Oto ostatnia – choć zdecydowanie najważniejsza – zmiana: podczas gdy dekadę temu do gabinetów trafiali głównie amatorzy tradycyjnego hazardu, np. ruletki w kasynach, teraz odwiedzają je także ci obstawiający online wyniki meczów.

– Trafiają, gdy nie da się już utrzymać w tajemnicy finansowej katastrofy – mówi Bożena Maciek-Haściło.

I opowiada jedną z zapamiętanych historii (zmieniając niektóre jej szczegóły): – Młoda kobieta, tuż po trzydziestce, mężatka. Miała ok. 200 tys. długu stworzonego na zakładach sportowych. Miała też za sobą pierwszą pożyczkę od rodziców, dzięki której spłaciła część wcześniejszych należności. Ale grała dalej. Do tego izolowała się od rodziców wiedząc, że zawiodła, ale bojąc się im o tym powiedzieć.

Podobny przypadek pamięta dr Lelonek-Kuleta: – Pewien pan w ciągu jednego wieczoru przegrał na zakładach bukmacherskich kredyt konsolidacyjny w wysokości 70 tysięcy, przeznaczony na spłatę zaciągniętych wcześniej na poczet przegranych długów.

W podobnych historiach przewija się jeden motyw: choć nałogowy hazard kojarzy się z utratą kontroli, w zaburzonym umyśle nałogowca służy do jej odzyskiwania. – Kobieta, o której opowiadam, miała dzieciństwo pełne alkoholu i przemocy, a jej teraźniejszość upływała pod znakiem kontroli ze strony męża – opowiada Bożena Maciek-Haściło. – Grając, odzyskiwała wolność oraz iluzję sprawczości.

Psychoterapeutka dodaje, że uzależnienia to też substytut utraconych już w dzieciństwie więzi: – W zasadzie wszyscy moi pacjenci czuli się kiedyś bądź czują opuszczeni, porzuceni. Procesy biochemiczne, jakie zachodzą w ich mózgach podczas grania, są zbliżone do tych, które zachodzą w głębokich, bezpiecznych więziach. W tym przypadku jednak nie z człowiekiem.

Dr Lelonek-Kuleta: – Pacjenci hazardowi mówią o wielkiej sile: „Piłem, brałem narkotyki, ale hazard był najgorszy".

Co na to bukmacherzy? – Dysponujemy badaniami, które pokazują, że moc uzależnienia jest silnie skorelowana z czasem, jaki upływa od momentu obstawienia do chwili rozstrzygnięcia zakładu. O ile w kasynie to np. kilka sekund, w przypadku sportu na wynik czekamy kilkanaście minut, kilka godzin, a nawet dni – mówi Adam Lamentowicz, twierdząc, że bukmacherka nie budzi tak gwałtownych emocji jak kasyno.

Ale to tylko półprawda, zwłaszcza odkąd bukmacherzy wprowadzili możliwość obstawiania na żywo: tu możemy założyć się np. o to, że w ciągu najbliższych minut dowolnego meczu drużyna A strzeli bramkę, a zawodnik z B obejrzy czerwoną kartkę. ↦

Ponadto, jak zauważa dr Małgorzata Piasecka, potencjał uzależniający opiera się na większej liczbie czynników niż tylko czas oczekiwania na rozstrzygnięcie: – Chodzi np. o dostępność, częstotliwość wygranych, ich wysokości – wymienia badaczka.

Bukmacherzy, choć nie podważają faktu ryzyka związanego z graniem, eksponują jednak mechanizmy tzw. bezpiecznego grania, do których zobowiązuje ich ustawodawca.

– Fakt, że działamy legalnie, przekłada się też na bezpieczeństwo klientów – zapewnia Adam Lamentowicz. I mówi o czasowych limitach gry.

– Jaki jest ten dzienny? – dopytuję.

– Osiemnaście godzin, ale to obejmuje też działanie aplikacji w tle i oglądanie dostępnych na portalu streamingów – mówi szef Superbet.

– Czyli zostaje sześć godzin na sen.

– Ale sam klient może sobie ten limit dowolnie zmniejszyć.

– A limit finansowy?

– Transakcja powyżej 2 tys. euro musi być rejestrowana, a dzienny limit to 10 tys. zł.

– Czyli w ciągu miesiąca mogę u was przegrać równowartość kawalerki.

– Nie może pan, bo jeśli zobaczymy, że przegrywa pan te 10 tysięcy codziennie, to skontaktujemy się z pytaniem, czy jest pan świadom ryzyka, i z prośbą o weryfikację źródła pochodzenia środków na grę – mówi Lamentowicz.

Ale w praktyce, biorąc pod uwagę liczbę funkcjonujących bukmacherów, limity nie stanowią większej przeszkody dla kogoś, kto „postanowi" przegrać dorobek życia w ciągu nawet tygodnia.

Pewien pan w ciągu wieczoru przegrał na zakładach kredyt konsolidacyjny w wysokości 70 tysięcy, przeznaczony na spłatę zaciągniętych wcześniej na poczet przegranych długów.

Rozmowa prywatna

– O bukmacherce napisałem masę tekstów, a tylko raz wywołałem kogoś z nazwiska – nawiązuje do felietonu sprzed lat Rafał Stec. – Nie mam żadnego powodu, by oceniać kolegów czy moralizować, zwłaszcza że wiele osób reklamujących tę branżę zwyczajnie szanuję. Co nie zmienia faktu, że uważam to zjawisko za szkodliwe, a udział w procederze ówczesnego prezesa PZPN za skrajnie niedopuszczalny.

Gdy dzwonię do Zbigniewa Bońka, informuje mnie na wstępie, że nie współpracuje już z żadnym bukmacherem – umowa, którą podpisał przed początkiem kadencji szefa polskiej piłki, wygasła w trakcie jej trwania. Ale skonfrontowany z własnymi słowami sprzed ośmiu lat zasłania się niepamięcią. Gdy już po rozłączeniu wysyłam SMS z zacytowanym zdaniem, Boniek odpowiada, że to sentencja wycięta z kontekstu.

Służę więc i kontekstem. Na uwagę Jakuba Ciastonia i Radosława Leniarskiego, że „jeden Kowalski zagra za 10 zł, drugi za 1000 zł i przegra", Boniek mówi: „Widocznie może sobie na to pozwolić. Silne uzależnienie od bukmacherki to mit. Polski rząd stworzył specjalną pulę na walkę z uzależnieniami, ale nawet jej nie wykorzystał, bo nie było potrzeby". Na ten cytat przypomniany eksprezesowi PZPN dostaję już tylko wiadomość, że rozmawiał ze mną prywatnie, więc nie udzieli mi autoryzowanej wypowiedzi.

– Były piłkarz, nawet ten niereklamujący bukmacherów, krytykując ów proceder musiałby skrytykować wielu swoich kolegów – mówi Rafał Stec. A gdy pytam go, czy do pomyślenia jest taki głos w przyszłości, odpowiada: – Raczej nie, bo polscy piłkarze i ekspiłkarze są kilka dekad za swoimi kolegami z Zachodu, jeśli idzie o odważne wypowiedzi na kontrowersyjne tematy społeczne. Czy do pomyślenia jest u nas coś, co w Niemczech uchodzi za normalne, czyli np. ujęcie się piłkarza za osobami LGBT+? W sprawie bukmacherki jestem jednak optymistą. Wierzę, że tak jak świat sportu przestał reklamować alkohol, tak przestanie promować granie. Ale nie szybko.

Wygląda więc na to, że zanim Zbigniew Boniek przyzna się do jakiegoś potknięcia, a polski sport choć częściowo oczyści się z bukmacherskiej kasy, odbędzie się jeszcze niejeden mundial.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **RZESZÓW,** poniedziałek 28 listopada, spotkanie z Tomaszem Terlikowskim, „Kościół, polityka, dialog" / stacjonarne /
- **WROCŁAW,** środa 30 listopada, dyskusja wokół tekstu Pawła Marczewskiego: „Jak uniknąć wojny pokoleń", Kawiarenka Wrocławska / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA,** czwartek 1 grudnia, spotkanie z Łukaszem Grajewskim, 5-lecie Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Bielsku-Białej / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA,** piątek 2 grudnia, pokaz filmu „Ukos światła" z udziałem reżysera, 5-lecie Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Bielsku-Białej / stacjonarne /
- **BIELSKO-BIAŁA,** sobota 3 grudnia, śniadanie w Klubie „TP" z gośćmi z Kongresu KiK oraz Stowarzyszenia im. Jerzego Turowicza, 5-lecie Klubu „Tygodnika Powszechnego" w Bielsku-Białej / stacjonarne /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

TOMASZ

Stawiszyński:
Historia pewnej mistyfikacji

Bez wątpienia zasadna fala krytyki spadła na Jarosława Kaczyńskiego po niesławnej wypowiedzi o młodych kobietach, które ponoć dlatego nie chcą rodzić dzieci (co się odzwierciedla w słabych pod tym względem statystykach), że z upodobaniem „dają w szyję". Nie pomogły żadne mniej lub bardziej osobliwe egzegezy autorstwa zwolenników prezesa, nie pomogły interpretacyjne akrobacje, w myśl których słowa, które niewątpliwie padły, tak naprawdę nie padły, ponieważ ich sens był zupełnie inny, niż był. Nie pomogły do tego stopnia, że sam autor tej diagnozy po jakimś czasie za nią przeprosił, choć były to przeprosiny specyficzne, nie dotyczyły bowiem meritum sprawy, lecz co najwyżej sposobu, w jaki została sformułowana.

A czym jest wobec tego meritum? Powiedziałbym najpierw, że mamy tu do czynienia ze specyficzną mistyfikacją, która – pod różnymi postaciami – obecna jest w polskim dyskursie publicznym od wielu lat i w tym sensie nie stanowi żadnej rewelacji. Z powodzeniem dokonywali i co jakiś czas dokonują tej mistyfikacji przedstawiciele każdego bez mała stronnictwa, obozu i partii. Dokonywali i co jakiś czas dokonują jej także, w wywiadach i wystąpieniach publicznych, różni intelektualiści i celebryci – z prawa, lewa oraz środka. A może raczej należałoby powiedzieć: dokonywaliśmy i co jakiś czas dokonujemy jej wszyscy, np. podczas rodzinnych sprzeczek albo mniej lub bardziej drastycznych kłótni w mediach społecznościowych (nawiasem mówiąc, stają się one ostatnio coraz drastyczniejsze, nie macie takiego wrażenia?).

Mistyfikacja polega mianowicie na tym, że źródeł jakichś problemów trapiących wspólnotę nie upatruje się, dajmy na to, w kompetencjach władzy, jakości instytucji państwowych, poczuciu bezpieczeństwa czy poziomie zaufania do państwa, słowem: nie upatruje się ich w złożonym splocie czynników tworzących system społeczny, lecz w jakiejś konkretnej, wskazywanej palcem grupie obywateli. Ściśle wedle tej właśnie receptury skonstruowane jest rozumowanie Kaczyńskiego: nie dlatego w Polsce rodzi się mało dzieci, że np. ludzie obawiają się zakładać rodziny z powodu braku poczucia stabilności i przewidywalności, lecz dlatego, że osoby, nie da się ukryć, obdarzone w zakresie rodzenia wydatną sprawczością, zamiast rodzić – „dają w szyję".

Jak nietrudno zauważyć, wytwarza się tu charakterystyczna spirala. Nawet bowiem gdyby faktycznie tak było, to znaczy, gdyby pierwszą i bezpośrednią przyczyną niskiej dzietności w Polsce był kobiecy alkoholizm, racjonalnym i odpowiedzialnym politycznie posunięciem byłoby zadanie sobie pytania, skąd się to zjawisko bierze, a następnie aktywne poszukiwanie narzędzi mogących pomóc w zmniejszeniu jego natężenia. Jarosław Kaczyński jednak takiego pytania nie zadaje, zamiast tego natomiast umiejętnie a dyskretnie – choć mimo wszystko zauważalnie – wykorzystuje powszechne nie tylko w polskim społeczeństwie skojarzenie alkoholizmu z moralnymi deficytami. W efekcie dostajemy komunikat zarazem prosty, jak i emocjonalnie intensywny, bo oparty na tym niewyszukanym schemacie: owszem, mamy w Polsce jakiś problem (niska dzietność), nie władza jednak za ten problem odpowiada, lecz określona grupa społeczna (młode kobiety), która zamiast wypełniać przeznaczone sobie zadania w tym najlepszym ze światów, jaki dlań stworzyliśmy, efektywnie swoją rolę sabotuje („daje w szyję").

Tak jak powiedziałem, mistyfikacja ta występuje w polskiej debacie publicznej z wyjątkową obfitością i Kaczyński bynajmniej nie jest jej pomysłodawcą, choć trzeba przyznać, że posługuje się nią chętnie i często. Ale czy innym jej wcieleniem – pod wieloma względami podobnym, choć nieidentycznym – nie było np. kategoryczne przestrzeganie przed rzekomo drastycznymi skutkami wprowadzenia przez PiS programu 500 plus? Także i tutaj sięgano przecież po fantom pijaństwa, mającego rzekomo rozkwitnąć za sprawą tego skromnego, elementarnego instrumentu polityki społecznej, którego z jakichś zupełnie niewiadomych powodów nie chciały wcześniej wprowadzić inne ekipy. Albo czy innym jej wcieleniem nie jest to nieustanne, rytualne tłumaczenie wysokiego poparcia, jakim cieszy się PiS, rozmaitymi strasznymi cechami pisowskiego elektoratu – łącznie z „za dużym albo za małym ciałkiem migdałowatym w mózgu", jak to swego czasu *expressis verbis* sformułowała pewna związana z opozycją, skądinąd bardzo subtelna intelektualistka?

Cóż, gołym okiem widać przecież, że – co przyzna każdy, kiedy tylko uspokoi emocje wyzwalane przez coraz bardziej radykalny polityczny spór – tego typu diagnozy są zarówno nieprawdziwe, bo urągające elementarnej wiedzy o społeczeństwie, jak i fatalne w skutkach, bo prowadzące do zaostrzania konfliktów, intensyfikowania agresji oraz rozprzestrzeniania się irracjonalizmu. Zarazem – konserwują one wszystkie te problemy, które miały jakoby objaśniać. Gdzie bowiem trwa nieustanne piętnowanie konkretnych grup społecznych i obciążanie ich winą za wszelkie deficyty, tam nie odbywa się – bo nie ma ku temu ani społecznej potrzeby, ani presji – realne rozwiązywanie problemów systemowych. Zgodzicie się chyba ze mną, że jest to typowo polski *casus*, nieprawdaż? ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Kielcach toczy się postępowanie w sprawie VIII Ns 745/22 o stwierdzenie nabycia spadku po Jadwidze Wróbel, posiadającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Mójczy, zmarłej w dniu 13 lipca 2022 roku. W skład spadku po zmarłej wchodzi nieruchomość stanowiąca działkę ewidencyjną nr 232 położona w Gojcowie, gmina Opatów.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA

RACHUNEK I SUMIENIA

Co stoi na przeszkodzie, aby chęć przystąpienia do pierwszej spowiedzi deklarowali sami młodzi ludzie? Bez presji społecznej i w momencie, który sami uznają za odpowiedni?

TEKST: DAWID GOSPODAREK

ILUSTRACJE: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Marek ma 27 lat. Jest prawnikiem. – Do pierwszej spowiedzi przygotowywano mnie jako ośmiolatka. Oczywiście były formułki do wykucia na pamięć, a katechetka wyjaśniała skuteczność spowiedzi paląc na lekcji kartki z nazwami różnych grzechów. Była próba generalna klękania przy konfesjonale, dostaliśmy też rachunki sumienia, żeby zrobić listę grzechów przed pierwszym wyznaniem ich księdzu – wspomina.

Wypisując dziecięce przewinienia, Marek utknął przy szóstym przykazaniu.

– Nie miałem pojęcia, o co chodzi z nieczystymi myślami i nieskromnymi czynami. Zapytałem starszego brata, który po prostu pokazał mi pornografię i wyjaśnił, na czym polega masturbacja. Powiedział też, że to najstraszniejsze grzechy. Klęcząc potem przy konfesjonale i wyznając te grzechy, przyznałem, że widziałem filmy i zdjęcia na komputerze brata i że się dotykałem. Ksiądz zaczął dopytywać, jakby mi nie wierzył, że zdarzyło mi się to tylko raz, i to zaledwie parę dni wcześniej. Kazał mi przychodzić do spowiedzi za każdym razem, jak będę się dotykał czy coś sobie wyobrażał. Odszedłem od konfesjonału z ulgą, że to już za mną, ale nie czułem się dobrze. Dzień przed pierwszą komunią już wymiotowałem ze stresu – ciągnie Marek.

Warunek komunii?

W 2013 r. w Polsce przyszło na świat ponad 369 tys. dzieci. Wiosną przyszłego roku duża ich część, śladem poprzednich roczników, zacznie przygotowania do pierwszej komunii, których nieodłącznym elementem jest także pierwsza spowiedź. Przynajmniej w Polsce. W Europie Zachodniej, w której od lat widoczny jest trend odchodzenia od praktyk religijnych, Kościoły lokalne szukają różnych rozwiązań. Ks. Andrzej Stefański, francuskojęzyczny duszpasterz z Belgii, wyjaśnia, że w tamtejszym programie przygotowania do pierwszej komunii nie ma tematu spowiedzi.

– Wychodzi się z założenia, że, po pierwsze, dzieci w wieku komunijnym nie są w stanie świadomie i dobrowolnie zgrzeszyć. Po drugie, idzie to w duchu logiki sakramentów inicjacji chrześcijańskiej: najpierw mówimy o przymierzu z Bogiem, a nie o łamaniu tego przymierza, jakim jest grzech. Temat sakramentu pojednania wchodzi dopiero przy przygotowaniu do bierzmowania, czyli w szóstej klasie – mówi ks. Stefański.

Część hierarchów i duchownych obawia się, że dopuszczenie małych dzieci do komunii bez jednoczesnej spowiedzi, która niejako dołącza w kolejnych latach, nie wyrobi w młodych praktyki sakramentalnej. Duszpasterskie doświadczenia w Kościołach obrządków wschodnich i np. te belgijskie dowodzą jednak, że to lęk raczej nieuzasadniony. Wszystko zależy od wysiłku włożonego w katechezę.

Karetka raz na miesiąc

Dominikanin Marcin Mogielski, zaangażowany w ochronę ofiar wykorzystania seksualnego w Kościele, proponuje powrót do intuicji starożytnych: – Wtedy spowiedź nie była rytualnym oczyszczeniem z grzechów powszednich, ale dotyczyła grzechów najpoważniejszych, wykluczających ze wspólnoty. Człowiek musiał się skruszyć i odpokutować, żeby móc wrócić. Dopiero w VII-VIII w. zaczęto traktować spowiedź bardziej jako oczyszczenie, co mogło być powodowane lękiem przed niegodnym przyjęciem Eucharystii. Zrobiono z komunii świętej bardziej nagrodę niż lekarstwo dla chorych i pokarm dla słabych.

↦

TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

Historia spowiadania dzieci

POKUTA ZA GRZECHY popełnione po chrzcie była od późnej starożytności praktykowana publicznie. Forma znana w Kościele dziś – dyskretne wyznawanie grzechów przed spowiednikiem i otrzymanie od niego rozgrzeszenia – powszechniej przyjęła się dopiero w XIII w. i ma źródło w praktykach klasztornych.

OBOWIĄZEK SPOWIEDZI i komunii wielkanocnej wiernych wprowadził Sobór Laterański IV w 1215 r. Wskazano, że dotyczy on wiernych po osiągnięciu wieku rozeznania. Komentatorzy nauczali, że chodzi tu o wiek, kiedy jest się zdolnym rozeznać dobro i zło (a więc też grzeszyć), i wskazywali zazwyczaj na siódmy rok życia. W tym wieku też dopiero można było np. ważnie zawrzeć zaręczyny. Mimo to lokalne synody podwyższały granicę wieku, a Katechizm Rzymski decyzję pozostawiał ojcu dziecka i spowiednikowi.

KODEKS PRAWA KANONICZNEGO z 1917 r. podtrzymał obowiązek spowiedzi od wieku rozeznania. Pojawiały się jednak postulaty, by ten wiek odsunąć – do dwunastego czy nawet czternastego roku życia. Posoborowy Kodeks Prawa Kanonicznego z 1983 r. podtrzymał jednak tradycję: „Małoletni, przed ukończeniem siódmego roku życia, nazywa się dzieckiem i uważany jest za nieposiadającego używania rozumu. Po skończonym siódmym roku życia domniemywa się, że posiada używanie rozumu" (KPK 97 §2) i jako taki ma obowiązek przynajmniej corocznej spowiedzi z grzechów ciężkich (KPK 989). Na praktykę częstszej spowiedzi wpłynęło m.in. popularyzowanie nabożeństwa pierwszych piątków miesiąca, w ramach którego zalecało się spowiedź i komunię.
© DG

↦ Dominikanin zauważa, że prawo kanoniczne mówi o wyznawaniu grzechów ciężkich. – Zakładamy, że wszystkie dzieci przed pierwszą komunią są w grzechu ciężkim, śmiertelnym – mówi. – Nie widzę ku temu podstaw. Prawo kanonicze nie przewiduje, że dzieci mogą zaciągać kary, np. ekskomunikę. Nie róbmy więc ze spowiedzi regularnego, rytualnego oczyszczania, tak jakby tylko czystym serduszkiem można było godnie uczcić Pana Jezusa w Eucharystii. Eucharystia jest lekarstwem, a nie nagrodą – podkreśla o. Mogielski.

Zauważa również, że dziecko nawet podczas wizyty u lekarza albo gdy jest np. przesłuchiwane jako świadek w prokuraturze, znajduje się pod opieką rodzica. Tymczasem w trakcie spowiedzi ksiądz ma absolutną władzę nad młodym i bezbronnym penitentem.

– Dlatego odszedłbym od myślenia o spowiedzi regularnej. Zrobiliśmy z niej obowiązek, a przecież nie ma obowiązku przystępowania do niej, jeśli człowiek nie popełnił grzechu śmiertelnego. Odpowiadając na pytanie, od jakiego wieku przystępować do spowiedzi, daję przykład karetki. Wzywamy ją, kiedy jest potrzeba, a nie z chwilą ukończenia 16 lat albo regularnie co miesiąc. Jeśli miałbym zaproponować jakąś granicę wieku, wskazałbym na pełnoletność – mówi o. Mogielski.

Godność dziecka

Inne podejście ma ks. Damian Wyżkiewicz, duszpasterz młodzieży i katecheta: – Nie zgadzam się z negowaniem prawa dzieci do spowiedzi. Traktuje się je, jakby były osobami amoralnymi. Tymczasem dzieci w bardzo wczesnym wieku przeżywają swoje, na własnym poziomie, dylematy moralne. Wielu rodziców, którzy w pełni byli zaangażowani w przygotowanie dziecka do pierwszej spowiedzi i komunii, było wzruszonych i dumnych z ich rozwoju duchowego. Dziecko, które jest dobrze przygotowane do spowiedzi, nie jest straszone spowiedzią. Pokazany jest mu ten sakrament jako miejsce miłości i przebaczenia Pana Boga. Zaczyna świadomie dbać o swoje sumienie.

Mówiąc o odpowiednim wieku, ks. Wyżkiewicz wskazuje również na odpowiedzialność rodziców: – Powinni upewnić się, czy dziecko jest gotowe do pierwszej spowiedzi, co o niej mówi, jak przeżywa przygotowanie. Dziecku należy po prostu wyjaśnić, czym jest spowiedź.

Zwolennicy spowiadania dzieci wskazują przede wszystkim, że nie można wykluczać ich z łask, jakie niesie ten sakrament. Bo przecież spowiedź to dla wierzących przestrzeń spotkania z Chrystusem, doświadczenia Bożego miłosierdzia i tego, że Bóg zawsze jest gotów przebaczyć. Poza tym sakrament pojednania stanowi też pomoc w formowaniu sumienia i może sprzyjać dojrzewaniu religijności. Nie bez powodu nawet dorosłym zaleca się częstą spowiedź, nie tylko wtedy, gdy popełnią grzech ciężki.

Spotkanie z Jezusem

– Aspekt psychologiczny spowiedzi jest bardzo trudny, choćby dlatego, że wielu spowiedników w ogóle nie powinno mieć kontaktu z penitentem, zwłaszcza tak małym i delikatnym. Niemniej nie czekałabym ze spowiedzią do bardzo późnego wieku – przekonuje Maria Kędzierska z Krakowa, matka 9-, 7- i 5-latka. – Doświadczenie jednoczesnego przygotowania dzieci przekonało mnie, że młody wiek nie jest przeszkodą, a wręcz ułatwieniem.

Kędzierska uważa, że im późniejsze przygotowanie do komunii, tym trudniej o naturalny zachwyt płynący ze spotkania z Chrystusem. – Starsze dziecko zdolne jest do kalkulacji, młodszemu takie autentyczne spotkanie przychodzi z większą naturalnością i prostotą – dowodzi. – Bliższe jest mi spojrzenie, że spotkanie z Jezusem nie jest nagrodą za dobre sprawowanie, ale potrzebą każdego z nas. Dlatego nie obawiam się przyprowadzać tych najmłodszych i podążać za nimi, w oczekiwaniu na moment, kiedy ta gotowość się zrodzi.

Spowiedź – uważa Kędzierska – to przede wszystkim spotkanie z miłosiernym Ojcem i budowanie z Nim relacji, a nie odbycie nabożnej praktyki. – Wierzę, że warto wprowadzać w nią małe dzieci – podkreśla. W przygotowywaniu synów korzystała z tzw. Katechezy Dobrego Pasterza – programu formacyjnego dla rodziców do wprowadzania w świat wiary dzieci na różnym etapie rozwoju.

Karteczki z grzechami

A co z przypadkami takimi jak prawnik Marek? Na kwestię nadużyć i przemocy przy spowiedzi zwraca uwagę inicjatywa Zranieni w Kościele. W rekomendacjach opublikowanych po pierwszym roku działalności jej działacze napisali: „Dzwoniący do nas opowiadają o tym, że kiedy byli dziećmi, zdarzyło im się, że spowiednicy bardzo szczegółowo wypytywali ich o masturbację, o wczesne doświadczenia seksualne, często sugerując odpowiedzi albo używając nieodpowiedniego języka. Pytają w związku z tym dyżurujących terapeutów, czy to, co ich spotkało, można nazwać molestowaniem. Mają poczucie, że takie natarczywe dopytywanie niekorzystnie wpłynęło na ich rozwój, kształtowanie się dojrzałej duchowości i dojrzałej seksualności”.

PRZYKAZANIE 1
Czy opuszczałem z lenistwa modlitwy codzienne? Czy podczas modlitwy myślałem specjalnie o innych sprawach?
Czy nie uczyłem się religii?

PRZYKAZANIE 2
Czy wymawiałem imiona święte w żartach lub w złości? Czy mówiłem brzydkie słowa? Czy przysięgałem niepotrzebnie lub fałszywie?

PRZYKAZANIE 3
Czy w dniu świętym opuściłem z lenistwa mszę świętą?
Czy spóźniłem się na mszę świętą?
Czy w kościele zachowywałem się źle?
Czy pracowałem w dniu świątecznym?

PRZYKAZANIE 4
Czy byłem nieposłuszny rodzicom lub przełożonym? Czy zasmucałem ich lub źle im życzyłem? Czy naśmiewałem się z ludzi starszych lub kalekich?

PRZYKAZANIE 5
Czy biłem kogoś? Czy przezywałem?
Czy źle komuś życzyłem?
Czy namawiałem bliźniego do grzechu? Czy dręczyłem zwierzęta?

PRZYKAZANIE 6 I 9
Czy myślałem chętnie o sprawach nieczystych? Czy przysłuchiwałem się brzydkiej mowie? Czy patrzyłem na nieskromne rzeczy? Czy mówiłem lub myślałem nieskromnie?
Czy robiłem coś bezwstydnego sam..., z kimś? Czy pragnąłem coś nieskromnego widzieć..., słyszeć..., czynić?

PRZYKAZANIE 7 I 10
Czy kradłem: komu i co?
Czy zatrzymałem rzeczy pożyczone lub znalezione? Czy psułem rzeczy cudze? Czy oszukiwałem: kogo i w czym? Czy chciałem kraść: komu i co?

PRZYKAZANIE 8
Czy kłamałem? Czy oczerniałem bliźniego? Czy obmawiałem?
Czy posądzałem?

Rachunek sumienia dziecka ze strony internetowej parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Pierwoszynie.

Doświadczenie dopytywania w dzieciństwie przez spowiednika o kwestie związane z seksualnością nie jest rzadkie, podobnie jak szkodliwe podejście księdza do młodzieńczej masturbacji czy zainteresowań seksualnością.

O. Mogielski wspomina: – Rozmawiałem ostatnio z moimi współbraćmi w klasztorze i każdy z nas ma osobistą historię, gdy został skrzywdzony, zraniony, źle potraktowany – także wulgarnie czy chamsko – przez spowiednika. Ja, jako mały chłopiec, usłyszałem w konfesjonale, że ze mnie w życiu już nic nie będzie. Absurdalna jest spowiedź, która człowieka przekreśla i potępia.

Córka Anety i Tomasza do spowiedzi i komunii przygotowywała się na lekcjach religii. Wspominała, że dzieci musiały wyuczyć się różnych formułek, a do konfesjonału miały przyjść z wypisanymi na kartkach grzechami, bo pouczono je, że niewypowiedzenie któregoś z przewinień to grzech śmiertelny. Były tym bardzo zestresowane.

– Konfesjonał był niewygodny, nie mogły ani normalnie klęczeć, ani stać, ale nie zrezygnowano z niego, mimo że wcześniej katechetka zrobiła z dziećmi próbę w kościele i widziała, jakie to niepraktyczne – opowiadają rodzice dziewczyny.

Dla ich córki spowiedź była doświadczeniem na tyle stresującym, że do tej pory nie jest w stanie się na nią zdecydować, nawet mimo rozmów z zaprzyjaźnionym księdzem.

Paweł, obecnie student, wspomina, że dużym problemem była dla niego kwestia nakazu posłuszeństwa rodzicom i okazywania im czci: – W moim domu był alkohol, przemoc i wszystko, co z tym związane. Za ojca się wstydziłem, gdy chodził pijany po mieście. Bałem się go, jak wracał do domu, bo miał wybuchy agresji. Nie rozumiałem, jak mam mu okazywać cześć, i nie chciałem być mu zawsze posłuszny, bo czułem, że nie zawsze jest to dobre dla mnie czy rodzeństwa. Katechetka powiedziała, że aby spowiedź była ważna, trzeba żałować za grzechy i mieć mocne postanowienie poprawy, czyli nie chcieć nigdy do nich wracać. Ksiądz wysłuchał, że nie byłem zawsze posłuszny rodzicom. Powiedział, że mam ich kochać, szanować i być posłusznym. W ramach pokuty kazał mi przeprosić rodziców oraz pocałować ojca i matkę w ręce. Już nigdy więcej nie poszedłem do spowiedzi. ↦

Spowiednik spowiednikowi nierówny

Nie ulega wątpliwości, że największa odpowiedzialność spoczywa na spowiednikach. Powinni być profesjonalnie przygotowani. Ks. Wyżkiewicz podkreśla m.in. potrzebę posiadania wiedzy o psychologii rozwojowej, seksualności, a także odpowiedniego podejścia pedagogicznego.

O to, czy seminarium duchowne dobrze przygotowuje do spowiadania dzieci, zapytałem dwudziestu siedmiu księży wyświęconych w różnych latach. Tylko ośmiu stwierdziło, że tak. – Nie mogę powiedzieć, że wyszedłem z seminarium gotowy do spowiadania dzieci. Mam nadzieję, że nikogo w konfesjonale nigdy nie skrzywdziłem. Sam czułem się o tyle swobodnie, że moje rodzeństwo miało akurat dzieci, których rozwój obserwowałem. Dopiero po latach, m.in. po skończeniu studiów psychologicznych, czuję się w konfesjonale swobodniej – mówi ks. Maciej z Podkarpacia.

Podkreśla jednak, że braki w kształceniu seminaryjnym nie mogą stanowić usprawiedliwienia dla niekompetencji księży: – Każdy powinien wiedzieć, że jest odpowiedzialny za swoją formację.

Inny ksiądz opowiada, że w seminarium był np. kurs z psychologii rozwojowej. – Ale gdybyś przeegzaminował z jej zakresu opuszczających seminaryjne mury, raczej mało kto dostałby zaliczenie. Większą wagę przykłada się do przedmiotów filozoficznych i teologicznych.

Aktualny zarys seminaryjnego programu formacyjnego „Droga formacji prezbiterów w Polsce", przyjęty przez Konferencję Episkopatu Polski w 2021 r., wydaje się dawać przyszłym spowiednikom niezłe podstawy. W dokumencie czytamy, że podejmując pracę z dziećmi, „seminarzyści muszą posiadać nie tylko dobre intencje i prawe sumienie, ale też odpowiednie kompetencje i umiejętności społeczne, by realnie, skutecznie i bezpiecznie dbać o integralny rozwój każdego spotkanego człowieka, szczególnie osób małoletnich lub bezradnych".

Klerycy powinni mieć zajęcia m.in. z psychologii ogólnej, rozwojowej i wychowawczej, z pedagogiki. Zaleca się także fakultety z oligofrenopedagogiki (pracy z dziećmi z niepełnosprawnością intelektualną) i duszpasterstwa młodzieży. Do tego dochodzą wykłady ze spowiednictwa, kierownictwa duchowego, teologii moralnej, teologii pastoralnej i duszpasterstwa rodzin.

Ponadto księża mają obowiązek permanentnego poszerzania kompetencji (tzw. formacja stała). W kwestii spowiedzi mogą to robić np. w kapucyńskiej Szkole dla Spowiedników. Odpowiednie kursy powinny organizować również diecezje.

O. Mogielski postuluje wprowadzenie dla spowiedników superwizji: – Ona jest oczywista dla psychoterapeutów, powinna być też dla spowiedników. W Kościele tymczasem każdy ksiądz robi w konfesjonale, co chce, obowiązuje tajemnica spowiedzi, a to oznacza ryzyko niekompetencji i nadużyć.

Prawo kanoniczne przewiduje weryfikację spowiedników np. egzaminem (KPK 970). Czasowe odnawianie jurysdykcji poprzedzone właśnie odpowiednim egzaminem mogłoby sprzyjać poszerzaniu ich kompetencji.

Skończyć z masowym duszpasterstwem

Wartościowe przygotowanie 9-letniego dziecka do spowiedzi jest możliwe. Popularne są np. „Baranki" – bazujący na metodzie Montessori program formacyjny dla rodziców i dzieci, realizowany już w ponad pięćdziesięciu miejscach w Polsce. Inną propozycją jest wspomniana Katecheza Dobrego Pasterza. Porządne przygotowanie dziecka wymaga jednak odpowiednich warunków w domu rodzinnym oraz współpracy z kompetentnym duszpasterzem.

W sytuacji masowego podejścia duszpasterskiego nie jest to możliwe w każdym przypadku – nie każde dziecko ma przywilej dobrych relacji z rodzicami, nie każde jest na tym samym etapie rozwoju, nie wszyscy rodzice są praktykującymi katolikami i wreszcie: nie wszyscy księża mają odpowiednie kwalifikacje do pracy z dziećmi.

Może przyszedł czas, by oddzielić przygotowanie do sakramentów od programu realizowanego w szkole i uczynić je bardziej indywidualnym? Co stoi na przeszkodzie, by chęć przystąpienia do spowiedzi deklarowali sami młodzi ludzie, za zgodą rodziców, ale nie pod presją społeczną, i w momencie, który uznają za odpowiedni?

© DAWID GOSPODAREK

Ksiądz słucha inaczej

RYSZARD IZDEBSKI, PSYCHOLOG KLINICZNY:

Ksiądz formuje dziecko, w pewnym zakresie je wychowuje, ale nikt tego nie kontroluje. Groźny freestyle.

ANNA GOC: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" – zaczyna spowiedź dziewięcioletnie dziecko, a potem: „Obraziłem Pana Boga następującymi grzechami".

RYSZARD IZDEBSKI: Dziecko, które skończyło drugą klasę podstawówki, ma pewną przewagę nad nastolatkiem. Teksty religijne, których zwykle uczy się na pamięć, może potraktować jako oderwane od swojej codzienności. „Bądź wola Twoja" – nawet słowa modlitwy, pełne anachronicznych słów, trudno wziąć na serio.

Podobnie jest z formułą spowiedzi, która dla małego dziecka może być kolejnym rytuałem. Raz idzie z rodzicami na wycieczkę, innym razem – do kościoła.

W kościele dowiaduje się jednak, że „Pan Jezus umarł za nasze grzechy". Słyszy, jak ludzie śpiewają: „To nie gwoździe cię przybiły, lecz mój grzech".

Dopiero dziesięciolatek rozumie śmierć jako coś, co nas wszystkich dotknie. Już sam temat śmierci jest więc dla młodszego dziecka trudny. Jeśli ksiądz rozmawia z nim o przykazaniu „nie zabijaj" czy o śmierci Jezusa, warto, żeby przyjął jego perspektywę. Dziecko o zabijaniu dowiaduje się rozwojowo. Życie jest dla niego bardziej kategorią ruchu niż filozoficzną. Gdy rower się rusza, jest żywy, stoi – jest nie-

żywy. Woda w rzece jest żywa, w miednicy – nieżywa. Dzieci mają różną inteligencję, różny poziom abstrahowania od realności.

Jeśli dziecko dowie się, że jego złe uczynki są jak gwoździe, którymi przybito kogoś do krzyża, a potem ten ktoś umarł, to może sobie z tym nie poradzić. Rodzice czasem mówią: „wpędzasz mnie do grobu" albo „serce mi przez ciebie pęknie", nie zdając sobie sprawy, że dziecko może potraktować takie słowa na poważnie. Zacząć myśleć o sobie, że jest złym człowiekiem, i że nie zasługuje na miłość i szacunek.

I co wtedy?

Gdy jest już starsze, zaczyna rozumieć, że to były tylko zaklęcia. Nikomu przecież z jego powodu, choćby nie wiadomo co zrobił, serce nie pękło. Jednak małe dziecko może taką historię wziąć dosłownie. Zawsze się obawiam próby samobójczej u młodego nastolatka. Dziecko, które podejmuje taką decyzję, zwykle o niej nie mówi. Starszy nastolatek zwierzy się ze swoich myśli samobójczych koledze, koleżance, swoją śmierć ogłosi na profilu społecznościowym, wtedy jest szansa, żeby go uratować. Do decyzji małego dziecka zwykle nie mamy dostępu.

„Czy szkodziłem sobie lub innym na zdrowiu?", „Czy przysięgałem niepotrzebnie lub fałszywie?", „Czy byłem nieposłuszny rodzicom lub przełożonym?", „Czy źle komuś życzyłem?", „Czy oczerniałem bliźniego?" – to przykładowy rachunek sumienia dla dziecka.

Gdyby brać wszystkie te słowa poważnie, mogą być dla dziecka porażające. Ma dźwigać taką wielką odpowiedzialność, że jakiś jego grzeszek wbija się w ciało Chrystusa jak pocisk.

Na szczęście, sprawy związane ze spowiedzią małe dzieci biorą sobie tak troszkę lekce. Żeby rozładować stres, stoją w kolejce do spowiedzi i zwierzają się sobie nawzajem z grzechów. Porównują, kto ile ich ma. Wspierają się. Ustalają kilka grzechów, uczą się ich na pamięć, a potem klepią w konfesjonale.

Pamiętam, że z kolegami zbieraliśmy grzechy, a potem się nimi wymienialiśmy: „Ile masz grzechów, sześć? A ja cztery", „A to powiedz, jakie". Takie trochę zawody. Były niby jakieś reguły, ale w co dokładnie gramy – nikt nie wiedział.

GRAŻYNA MAKARA

RYSZARD IZDEBSKI jest psychologiem klinicznym i pedagogiem, zajmuje się psychoterapią dzieci, młodzieży oraz terapią rodzin.

Ale Pan Bóg – jak mówią księża – i tak wszystko widzi.

Jeśli Pan Bóg jest wszędzie i wszystko widzi, to czy w łazience też jest? – może myśleć dziecko. Tym bardziej że już wie, iż wcale nie jest to tylko dobrotliwe przyglądanie się temu, co robi. Bóg jest wszechmocny, a jego gniew, to wie z lekcji religii, potrafi być groźny.

I znowu: małe dziecko musi wykonać jakiś manewr psychiczny, żeby się tym wszystkowidzącym Panem Bogiem za bardzo nie przejmować. Gorzej, jeśli weźmie jego obecność w domu na poważnie. Skoro jestem ciągle obserwowany i jest ktoś, kto wie, że zjadłem więcej cukierków, niż mama mi pozwoliła, albo wypaliłem po kryjomu papierosa – to jest kłopot. Od przekonania, że jakaś istota towarzyszy nam cały czas, łatwo przejść do krainy natręctw i zachowań obsesyjno-kompulsywnych.

Dzisiejsze małe dzieci mają jednak świat bardziej zdywersyfikowany i skomplikowany. Są w dużym stopniu mądrzejsze od rodziców, bo umieją pożytkować wiedzę całego świata w swoim małym telefonie. Pstryk i mają dostęp do czego chcą.

„Czy ty kochasz Boga ponad wszystko?" – jeszcze jeden przykład z rachunku sumienia.

Na takie pytanie dziecko odpowiada formalnie. Jeżeli kogoś kocha, to raczej swoją mamę, tatę, może kotka. A Pan Bóg to jest postać formalna, dziecko nie musi czuć sprzeczności w tym, że mówi o miłości do Boga, choć wcale o nim nie myśli albo traktuje jako coś abstrakcyjnego.

Mamy tu archaiczne myślenie o dziecku jako o zmniejszonym dorosłym. Tak jakby skompresować dorosłego i powstaje taki mały dorosły, z dorosłym rozumem. Bez zrozumienia skoków rozwojowych, procesu dojrzewania. Psychologowie wiedzą, że z ośmioletnim dzieckiem warto rozmawiać w jakiś sposób, a z dwunastoletnim w inny. Ksiądz, do którego przychodzą dzieci w różnym wieku, musiałby być ekspertem od każdego rodzaju dziecięcości.

Dziewięcioletnie dziecko, które idzie do pierwszej spowiedzi, musi samodzielnie odpowiedzieć na pytanie, czy zrobiło coś złego. Potrafi to zrobić?

Jean Piaget, psycholog rozwojowy, dowodził, że rozwój uczuć moralnych zaczyna się około dwunastego roku życia. Dziewięcioletnie dziecko może na potrzeby spowiedzi przygotować raczej ranking grzechów, niż ocenić swoje zachowanie jako dobre czy złe.

Pamiętam z własnego dzieciństwa, że szukaliśmy rzeczy, o których moglibyśmy powiedzieć księdzu. Wymyśliłem, że wyskakiwanie w biegu z tramwajów jest grzechem. Jednocześnie byliśmy w Nowej Hucie specami od wskakiwania i wyskakiwania z tramwajów. Jak ktoś tego nie umiał, to był po prostu cienki. W tej sprawie musiało się grzeszyć. Podobnie jest z paleniem papierosów. Dzieci zaczynają palić, bo chcą przynależeć do grupy. Spowiadają się z tego w jakimś sensie nieszczerze.

A co jeśli dziecko myśli: „jestem fajny, nie zrobiłem nic złego"? Albo: „zrobiłem coś nie za miłego, ale potrafię to sobie sam wybaczyć"?

W rzeczywistości kościelnej, do której wchodzi, jest założenie, że nikt nie jest bez grzechu, nawet dziecko. Możliwe, że omówiony z rodzicami rachunek sumienia okaże się dla niego rozwojowy, bo przybliży do krainy dobra i zła. Pozwoli zobaczyć jakiś „grzech" jako coś, co się już nieodwracalnie stało, „wydarzył się grzech", i już nie zniknie. Można go tylko wybaczyć. Byłoby jednak dobrze, żeby dziecko miało własną ścieżkę dostępu do słów takich jak „wybaczenie". Nie było w tym zależne od ↦

↦ kogoś z zewnątrz, na przykład księdza. Poza tym grzech jest też czymś, co się we współczesnym świecie stało trochę anachroniczne.

Pracuję z dziećmi zawsze z ochotą, bo są niezakłamane. Szukają porozumienia, dobrego wyjścia. Dziecko zwykle nie ma intencji, żeby mnie oszukać. Przychodzi na psychoterapię w jakimś swoim biznesie. I dość szybko wie, że jeśli wyposaży mnie w złą wiedzę o sobie, to ja mogę być głupim terapeutą.

Do tej pory dziecko miało rodziców albo rodzeństwo, babcię czy dziadka, którym mogło zaufać i przyjść do nich ze swoją sprawą. Teraz dowiaduje się, że ma opowiedzieć o niej obcemu mężczyźnie. Jak to zmienia relacje w rodzinie?

Rodzic jest kimś, do kogo dziecko biegnie użalić się nad sobą, w lęku czy wstydzie. Nagle zostaje przekierowane do kogoś innego, obcego, kto ma mieć od teraz dostęp do jego sekretów. I to tych sekretów niedobrych, podlegających ocenie.

Można powiedzieć, że ksiądz staje się ważniejszy od rodzica, bo otrzymuje od dziecka informacje i nie ma obowiązku ani nawet nie może wrócić z nimi do rodziców dziecka. Bardzo duża władza przechodzi w obce ręce.

Księża są do tego przygotowani?

Niektórzy księża chcą być psychoterapeutami – idą na studia, robią kursy, zdobywają certyfikaty. Jeśli ksiądz jest u nas na stażu, a z zespołem leczenia domowego jedziemy do wybranej rodziny, nie pozwalam, by uczestniczył w tej sesji terapeutycznej.

Dlaczego?

Bo on słucha inaczej – w odbiorze jest w pierwszej kolejności księdzem, a dopiero potem psychoterapeutą. Osoby, z którymi rozmawiamy na miejscu, zaczynają mówić inaczej, gdy obok siedzi ksiądz.

Jest jeszcze jedno zagrożenie: dziecko może uwierzyć, że jeśli ono będzie grzeczne, to Pan Bóg mu pomoże i tata nie będzie bił już mamy. Decyduje się powiedzieć o tym księdzu w czasie spowiedzi i widzi, że mimo wyjawienia domowego sekretu nic się w tej sprawie nie zmieniło. Zaczyna się frustrować. Jeżeli powie o tym, co się dzieje w domu, psychologowi w szkole czy nauczycielowi, to oni mogą wezwać pomoc, kogoś powiadomić. Zostanie uruchomiona jakaś procedura. Rozmowa w konfesjonale zostaje w konfesjonale. Tam nie ma procedur, co z tym, co zostało wypowiedziane, zrobić dalej.

Tajemnica spowiedzi jest większa niż tajemnica lekarska czy psychoterapeutyczna. Nawet w sądzie ksiądz nie jest z niej zwolniony. Małe dziecko o tym nie wie, ale nastolatek już tak. Ksiądz może stać się powiernikiem na maksa. Zrobiłem coś złego, strasznie się martwię, pomóż mi człowieku się z tego wykaraskać – może myśleć nastolatek.

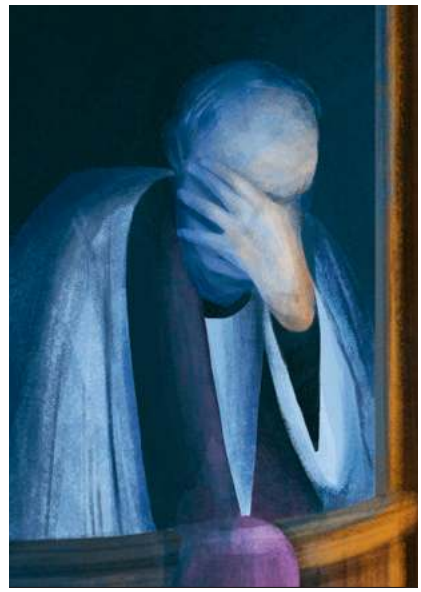

Małe dziecko musi wykonać jakiś manewr psychiczny, żeby się tym wszystkowidzącym Panem Bogiem za bardzo nie przejmować. **Gorzej, jeśli weźmie jego obecność w domu na poważnie.**

I dla dziecka, i dla nastolatka wyznanie grzechu może być formułą ratunkową. Pokuta jest rytuałem, który uspokaja. Odmówię litanię, przeczytam nabożeństwo z książeczki, zrobię kilka dobrych uczynków i znów jestem na powierzchni.

W ramach pokuty dziecko musi czasem przeprosić mamę albo tatę. A przecież ksiądz nie wie, co dokładnie dzieje się w jego domu – na przykład czy nie krzyczało na ojca, bo próbowało stanąć w obronie mamy.

W konfesjonale padają pytania, „dlaczego to zrobiłeś?", „ile razy?", „czy żałujesz?". To są pytania oskarżające. Rzeczywistość rodzinna czy szkolna jest złożona i nasze zachowanie bywa wypadkową różnych rzeczy. Czasem coś słabego odpala lont.

Dzieci na ogół bardzo kochają swoich rodziców i za wszelką cenę, nawet wbrew swojemu interesowi, chcą ich mieć przy sobie. Liczą na to, że rodzic się zmieni na lepsze. Rodzic może traktować dziecko w sposób okrutny. Mimo to ono wciąż widzi jeszcze w nim jakiś „zasób", a zło, które je dotyka, traktuje jako zewnętrzne w stosunku do tej relacji. Na przykład dziecko rzadko wprost oskarża rodzica o nędzę socjalną czy brak wsparcia.

Nie jest łatwo kochać kogoś, kto się zachowuje tak, że trzeba się go bać. Jakiś procent populacji to ludzie, którzy traktują swoje dzieci bardzo źle – nawet wykorzystują seksualnie. Trzeba być bardzo ostrożnym i tę miłość względem rodziców przepuścić przez filtr realności.

Wielu lekarzy czy psychoterapeutów mówi: „pracuję tylko z dorosłymi, bo na dzieciach się nie znam". Do księdza trafia co roku kilkanaścioro, a może i więcej dzieci z różnych domów. Spowiednik zwykle nie zna ich otoczenia, musi jednak dokonać interwencji. I to takiej paradoksalnej: bo musi trochę dziecko zrugać, trochę zniechęcić do robienia czegoś złego, a zarazem nie przerazić. To bardzo trudne.

I pytanie bardzo poważne: na ile księża sami mają przez swoich superwizorów uporządkowaną własną problematykę psychologiczną. Tego nie wiem.

Przygotowując się do spowiedzi, dziecko zastanawia się, czy jest wystarczająco wdzięczne rodzicom, także za miłość, albo czy swoim zachowaniem nie sprawia im przykrości. Jak takie pytania czyta dziecko?

W dialogu to wydaje się rozsądne, żeby dziecku pokazać, jak ważne jest dla rodziców i jak bardzo może wpływać na ich życie, w każdym kierunku.

Jeśli dziecko ciągle choruje, to może w ten sposób chcieć zatrzymać mamę w domu, mieć ją dla siebie. Jego zachowanie jest okazją do rozmowy psychologicznej. Można zapytać: „czy chciałbyś przestać chorować?" albo „co musiałoby się stać, żebyś przestał chorować?". Choroba dziecka albo inne próby zwracania uwagi na siebie nie są kategorią grzechu, tylko kategorią ludzkich potrzeb. Choroba może być też demaskatorem czegoś bardzo złego, co się dzieje w rodzinie. To są trudne i wymagające rozmowy.

Z reguły wprost nie rozmawiamy na te tematy, które są poruszane podczas spowiedzi, nawet między sobą. I nagle dzieje się to w konfesjonale, trochę na widoku wszystkich, bo konfesjonał bywa transparentny. Ksiądz zastukał (co jest niesłusznie uznawane za dowód rozgrzeszenia – red.) czy nie zastukał. Ktoś był długo, ktoś krótko. To wszystko są bardzo czytelne sygnały dla reszty.

Jak na to reagują dzieci?

Zastanawiają się, jak opowiedzieć swój grzech, żeby nie zasłużyć na najwyższy wymiar kary. Dzieci wiedzą, że są też grzechy śmiertelne, choć pewnie nie rozumieją, na czym one polegają. Czy jeśli jestem najstarszym bratem i życzę śmierci młodszemu, który zgarnął zainteresowanie całej rodziny, to popełniam grzech śmiertelny? Psychologowie wiedzą, że dzieci fantazjują czasami o czyjejś śmierci albo życzą źle rodzicowi. I że można zrozumieć, skąd to płynie, i uspokoić dziecko, żeby nie żyło z poczuciem winy za swój czyn, za swoją myśl, za życzenie pod adresem brata. Co się dzieje w spowiedzi z takim zdaniem: „Chciałem, żeby mój brat umarł"– nie mam pojęcia.

W rachunku sumienia, także dla małych dzieci, są pytania o ich intymność. A z relacji dzieci wynika, że księża dopytują o szczegóły.

Może pomyśleć, że to jest trochę dziwne. Skoro Pan Bóg wie wszystko, bo wszystko widzi, to po co jeszcze mam o tym kłapać dziobem? Historycznie w formule spowiedzi jest coś głębokiego i potrzebnego księdzu, a nie Panu Bogu – żeby wiedzieć o pewnych rzeczach i mieć władzę nad osobą, która do niego przychodzi.

Dziecko znów musi wytworzyć sobie mechanizm obronny, bo idąc do spowiedzi, wcale nie musi mieć takich doświadczeń, a bywa z nich przepytywane. Nie dotykało się nie dlatego, że opresyjny rodzic mówił: „łapki na kołdrze", ale dlatego, że jest na takim etapie rozwoju. Skoro jednak ciągle się je pyta o to, czy nie dotykało się w jakieś miejsca, to rodzi się pytanie, co w tych miejscach jest takiego.

Jeśli dziecko dowie się, że jego złe uczynki są jak gwoździe, którymi przybito kogoś do krzyża, a potem ten ktoś umarł, **to może sobie z tym nie poradzić.**

Jest jeszcze ryzyko – jeśli dziecko mówi o kompulsywnych zachowaniach seksualnych, może być to sygnał czegoś bardzo złego, co dzieje się w rodzinie. I co teraz, jeśli ksiądz zostaje powiernikiem takiej historii? Mądry ksiądz to jest ten, który w takiej sytuacji kieruje rodzinę do psychoterapeuty. Nie rozpatruje tego, co mówi dziecko, w kategoriach dobra i zła, tylko w kategoriach rozwojowych.

Dzieci mówią na psychoterapii o tym, czego doświadczają w czasie spowiedzi?

Zdarza się, że ktoś opowiadał o spowiedniku, który nadużywał swojej pozycji, przekraczał granice. Dużo dzieci też w czasie spowiedzi tak bardzo się poraniło, że odeszło od niej w ogóle. A czasami też od Kościoła.

Są pacjenci w oddziale młodzieżowym, którzy dokonali dramatycznych samouszkodzeń, a wiemy, że mogły one mieć podłoże religijne. Mamy pacjentów, którzy obcinają sobie genitalia, bo nagle w psychozie poczuli obrzydzenie do swojego członka czy do swojego ciała i chcą się go pozbyć jako grzesznego narzędzia.

Dialog w konfesjonale jest dialogiem niekontrolowanym z zewnątrz. Jeśli dziecko nie ma śmiałości, by opowiedzieć rodzicom, o co dopytywał je ksiądz, może to być groźna sytuacja. Ksiądz formuje dziecko, w pewnym zakresie je wychowuje, ale nikt tego nie kontroluje. Groźny freestyle.

Myślę, że spowiadanie dzieci jest bardzo trudne. Ksiądz nie ma tego, co mam ja jako psychoterapeuta pracujący z dzieckiem – nie widzi progresu, ustępowania objawów. W zasadzie dziwię się, że ktoś ma odwagę, żeby spowiadać dzieci.

Co się zmienia, gdy ksiądz spowiada nastolatka, a nie dziewięciolatka?

Jesteśmy w bardzo dynamicznym procesie, obserwujemy, jak zmienia się stosunek do Kościoła. Dzieci, i to dużo młodsze niż dwunastoletnie, podważają autorytety na różne sposoby. Dwunastolatek potrafi zweryfikować każde wypowiedziane przez księdza słowo, w każdym języku, przy użyciu swojego telefonu.

Widzę to u swoich pacjentów, którzy są często bardziej wykształceni w sprawach, które ich dotyczą. Dlatego to ich używam jako ekspertów, żeby mi powiedzieli o tym, jak pewne sprawy wyglądają z ich perspektywy. Nie wiem, czy dzieci, które idą do spowiedzi, są pytane o to, jak rozumieją grzech. Po co przyszły do spowiedzi, co by je uspokoiło, z czym chciałyby wyjść z konfesjonału. Chyba za mało jest ciekawości człowieka, a za dużo ciekawości jego defektów.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Sztuka czekania

PIOTR SIKORA

Adwent ujawnia paradoks życia: tylko akceptacja rzeczywistości umożliwia prawdziwą jej zmianę.

Przysłowia nie zawsze mówią prawdę. W tym roku okazało się, że nie zawsze do trzech razy sztuka. Trzeci raz zbliżamy się do końca roku ze sfrustrowanym pragnieniem – by znowu było normalnie, jak jeszcze całkiem niedawno, parę lat temu. Owszem, narzekaliśmy także i wtedy. Dzisiaj jednak widzimy: było wówczas może i niedoskonale, ale przecież nie najgorzej. Niech wróci.

Przez dwa poprzednie lata z utrudnionym przez maseczkę oddechem, ze smutkiem, żalem albo i ze złością stawialiśmy sobie pytania: kiedy (i czy w ogóle) będzie można jak dawniej, bez ograniczeń i obaw, podróżować, spotykać się, prowadzić biznesy?

Gdy zaś zaczęło wydawać się, że – dzięki szczepionkom i coraz łagodniejszym mutacjom wirusa – nadzieja na powrót do normalności ma szansę za niedługo się ziścić, tuż za naszą wschodnią granicą wybuchła wojna – Rosja najechała Ukrainę. Za wojną nadszedł jeszcze gorszy kryzys gospodarczy niż ten, który spowodował przybyły z Chin wirus. Więc znów wraca myśl, że nie jest jak dawniej, znowu lęk, tym razem przed bombą wystrzeloną przez socjopatycznych szaleńców, znowu troska: o ratę kredytu i cenę masła, znowu zmęczona tęsknota do względnej stabilizacji.

Różne słowa Pisma

Nie uniknie człowiek bólu – ze snu złudzeń przebudził się książę Siddharta i został Buddą. Zrozumiał, że ból rodzi się z pragnień – z tego, że czegoś nie mamy, a bardzo byśmy chcieli; lub z tego, że mamy coś, czego bardzo nie chcemy mieć. Gdy pragnąc oczekujemy, że – za moment, za czas niedługi, lub choćby na koniec – nasze pragnienie się spełni, do bólu braku dołącza się cierpienie frustracji. Uniwersalną prawdziwość odkrycia księcia Siddharty potwierdza Kohelet powtarzając jak refren: wszystko pod słońcem to marność, a dążenie do spełnienia ludzkich pragnień jest jak pogoń za wiatrem.

Skoro jednak oczekiwanie rodzi cierpienie, to jaki jest sens Adwentu – czyż jego sensem nie jest przypominanie, że każdy człowiek jest bytem oczekującym? Subtelna to kwestia i potrzeba wnikliwej uwagi i zdolności rozróżniania, o czym poucza nas także Nowy Testament: czekanie czekaniu nierówne.

Zwróćmy uwagę na fragment opowiadający o kryzysie, który spotkał Jana Chrzciciela. Bezkompromisowy prorok, który ochrzcił Jezusa w Jordanie i rozpoznał w nim Tego-Który-Miał-Przyjść, zaczyna wątpić w trafność swojego rozeznania znad rzeki: „przywołał do siebie dwóch spośród swoich uczniów i posłał ich do Pana z zapytaniem: »Czy Ty jesteś Tym, który ma przyjść, czy też innego mamy oczekiwać (*prosdokomen*)?«” (Łk 7, 18-19; Mt 11, 3).

Różni ewangeliści umieszczają tę scenę w różnym kontekście. Wedle Łukasza następuje ona po uzdrowieniu przez Jezusa sługi rzymskiego setnika. Oficer sił okupanta wykazał się taką wiarą, o jakiej Jezus powiedział: „nie znalazłem podobnej u nikogo w Izraelu” (Łk 7, 9). Mateusz rozdziela poselstwo Chrzciciela od uzdrowienia sługi setnika najpierw przykładami wielu innych uzdrowień dokonanych przez Jezusa, a potem ustanowieniem przez Nazarejczyka kręgu Dwunastu i wysłaniem ich na misję głoszenia królestwa – rozesłanie, które Jezus poprzedza ostrzeżeniem przed nieuchronnymi prześladowaniami (por. Mt 8-10).

Jaki by nie był bezpośredni kontekst wysłania przez Jana do Jezusa dziwnego poselstwa, bez wątpienia było to jakieś wydarzenie, które nie zgadzało się z obrazem mesjasza, jaki Jan miał w głowie. Było to zapewne wyobrażenie boskiego pomazańca, który przybywając z mocą,

SŁAWOMIR OLZACKI / FORUM

Na Podlasiu przetrwała wielowiekowa tradycja adwentowej gry na ligawkach. Trojanówka, grudzień 2015 r.

da zwycięstwo Izraelowi nad rzymskim okupantem. Do tego wyobrażenia nie bardzo pasował ktoś, kto publicznie przyznawał, że Rzymianin może mieć większą wiarę niż pobożni Żydzi, ani ktoś, kto nie mógł uchronić swoich uczniów przed prześladowaniami. Dlatego właśnie Jan kazał swoim uczniom spytać, czy trzeba oczekiwać nadal, kogoś innego.

Warto zwrócić uwagę na słowo, którego używają tutaj ewangeliści (zarówno Mateusz, jak i Łukasz): *prosdokao*. Jak podają słowniki, znaczy ono: oczekiwać, spodziewać się; ale również: przypuszczać, sądzić, oceniać. Pochodzi ono z połączenia przedimka *pros* z terminem *dokeuo*. Znaczenie tego ostatniego związane jest mocno z posiadaniem własnych mniemań, poglądów, zamierzeń, postanowień, decyzji.

Ewangelie przedstawiają jednak bohaterów, którzy czekają na mesjasza inaczej. Spotykamy ich przy narodzinach, jak i przy śmierci Jezusa. Przy narodzinach obecny jest pewien starzec: „A żył w Jerozolimie człowiek imieniem Symeon. Był to człowiek prawy i pobożny, wyczekiwał (*prosdechomenos*) pociechy Izraela, a Duch Święty spoczywał na nim" (Łk 2, 25). Przy śmierci – Józef z Arymatei, o którym czytamy: „Pod wieczór już, ponieważ było Przygotowanie, czyli dzień przed szabatem, przyszedł Józef z Arymatei, poważny członek Rady, również wyczekujący (*prosdechomenos*) królestwa Bożego. Śmiało udał się do Piłata i poprosił o ciało Jezusa" (Mk 15, 42-43).

Czekanie tych dwóch opisane jest innym słowem niż to, które pojawia się w pytaniu Jana Chrzciciela. Obaj określeni są imiesłowem *prosdechomenos*. Pochodzi on od czasownika *prosdechomai*, który – choć może się wydać podobny do *prosdokao* – ma jednak inne znaczenie. Owszem, wśród jego dopuszczalnych przekładów na język polski znajdziemy także terminy „oczekiwać", „spodziewać się czegoś". Ale, że jest to inne oczekiwanie niż to, o które pyta Jan Chrzciciel, wskazuje także fakt, że *prosdechomai* można tłumaczyć również słowami: przyjąć gościnnie, życzliwie, uznać argument, dopuścić, być zdolnym, a nawet – zawrzeć przymierze. Podobne sensy zawiera w sobie *dechomai* (od którego *prosdechomai* pochodzi). Tu pojawiają się nawet możliwości: pochwalić, zaaprobować, a nawet – przebaczyć. Owszem, w niektórych kontekstach można go użyć na oznaczenie stawiania oporu. Ale nawet ta ostatnia możliwość przekładu wskazuje raczej na postawę wytrwałości niż jakiejś gwałtownej reakcji.

Dwa czekania

Czekać zatem można na co najmniej dwa sposoby. Pierwszy z nich kierowany jest oczekiwaniami – mniej lub bardziej określoną wizją, jak to, na co czekamy, ma wyglądać. Stawiamy wówczas nadchodzącej przyszłości pewne wymagania, nasze pragnienia domagają się od niej tego, a nie czegoś innego – a my im na to pozwalamy, idziemy za nimi.

Ten sposób czekania tylko pozornie skupiony jest na przyszłości. Wszelkie bowiem koncepcje, które mamy – zatem także wszelkie pomysły na temat przyszłej rzeczywistości, jaka ma być – zbudowane są na bazie dotychczasowych doświadczeń. Nasze poglądy są rezultatem procesów poznawczych, w których korzystaliśmy z danych należących już do przeszłości.

Podobnie jest z naszymi pragnieniami. Wiele z nich jest ściśle związanych z nawykami wyuczonymi poprzez dotychczasowe działania aktywujące mózgowy układ nagrody. Lubimy to, co nauczyliśmy się lubić...

Owszem, posiadamy również pragnienia, które nie są ściśle indywidualne, lecz uwarunkowane kulturowo lub biologicznie – mamy je, bo jesteśmy ludźmi żyjącymi w określonej wspólnocie. Lecz przecież źródłem tych pragnień i oczekiwań jest przeszłość jeszcze bardziej miniona niż nasze dotychczasowe życie. Kultura to doświadczenia zdobyte nie przez lata, lecz dziesięciolecia i wieki. Biologia naszego gatunku i w niej zakorzenione pragnienia zostały ukształtowane przez trwający przez niezliczone pokolenia ewolucyjny proces, a większość z nich lepiej pasuje do warunków życia w jaskini niż w bloku na miejskim osiedlu. Można powiedzieć: dzisiejsze moje oczekiwania są lustrem przeszłości – indywidualnej, społecznej i gatunkowej.

Jeśli mamy się zwrócić naprawdę ku przyszłości, potrzebny jest inny rodzaj czekania – bez oczekiwań, takie jakie było udziałem Symeona czy Józefa z Arymatei. Czekania z umysłem dziecka – jak określa to Jezus, albo początkującego – wedle mistrzów Zen. Jak mawiał jeden z tych drugich – Shunryū Suzuki – „w umyśle początkującego jest wiele możliwości, w umyśle eksperta – kilka". Dlatego trafnie zauważa Ewangelia Tomasza: „człowiek u kresu swych dni nie zawaha się pytać siedmiodniowego dziecka o miejsce życia – i będzie żył" (EwT 4).

Autorowi tego ostatniego zbioru powiedzeń Jezusa chodziło zawsze o życie wewnętrzne – również i w tym fragmencie. I starzec, i niemowlę są elementami symboliki, która wskazuje na zachodzące w nas duchowe procesy: jest w nas część doświadczona, starcza; jest także wewnętrzne dziecko. By znaleźć miejsce życia, trzeba, by ta pierwsza część „pytała" tej drugiej, tj. byśmy byli gotowi zostawić dotychczasową wiedzę, poglądy, koncepcje i popatrzeć na rzeczywistość świeżym spojrzeniem.

Taki właśnie był Symeon u kresu swych dni. Był w stanie zapomnieć o krążących w pobożnych jerozolimskich ↦

↦ kręgach wizjach mesjasza i rozpoznać przychodzącego w dziecku biedaków z galilejskim akcentem. Był też w stanie dostrzec, że los rozpoznanego jako „światło na oświecenie pogan i blask ludu Izraela" (Łk 2, 32) nie będzie wiódł przez społeczny sukces i militarne zwycięstwa, lecz ścieżką cierpienia (którego świadkiem będzie matka, przynosząca dziś niemowlaka do Świątyni).

Taki również był Józef z Arymatei – zdolny do wyzwolenia się od dominujących w faryzejskich kręgach przekonań, że „przeklęty jest każdy, którego powieszono na drzewie" (Ga 3, 13, por. Pwt 21, 23), i w konsekwencji gotowy wykupić od Piłata ciało ukrzyżowanego Jezusa i z czcią go pochować.

Przyjęcie ciemnej strony

Warto tu zauważyć, iż ten sposób czekania na przychodzące panowanie Boga obejmuje w sobie nie tylko elastyczność poznawczą dziecięcego umysłu, ale również otwartość na aspekty rzeczywistości, które są dla nas trudne, gdyż frustrujące żywione przez nas pragnienia, a nawet niepozwalające na realizację jakichś naszych fundamentalnych potrzeb. Innymi słowy – czekanie bez oczekiwań na panowanie Boga obejmuje umiejętność, która w dialektyczno-behawioralnym treningu umiejętności dla osób emocjonalnie wysokowrażliwych nazywa się radykalną akceptacją. Choć stopniem emocjonalnej wrażliwości różnimy się, to – jak sugerują ewangeliczne teksty – umiejętność radykalnej akceptacji potrzebna jest z duchowych przyczyn: jest warunkiem otwarcia na Boże królowanie.

Akceptacja (słowo pochodzące z łaciny) oznacza przyjęcie. Jak *prodechomai*: przyjąć (z życzliwością), uznać i dopuścić; pozwolić, by było. *Radix* zaś to po łacinie korzeń. Radykalna – znaczy sięgająca do korzeni: korzeni naszej tożsamości i korzeni

> Jeśli mamy się naprawdę zwrócić ku przyszłości, **potrzebny jest rodzaj czekania bez oczekiwań** – z umysłem dziecka. Takie, jakie było udziałem Symeona czy Józefa z Arymatei.

świata. Nie zawsze akceptujemy w taki – radykalny – sposób. Bywa, że przyjmujemy otaczającą nas rzeczywistość – ale nie do końca, niecałą. Z aktu przyjęcia wyłączamy niektóre jej aspekty, wymiary, elementy. Czasami robimy to jawnie, czasami zaś dokonujemy manipulacji: koncentrujemy uwagę (swoją i innych) na tej części rzeczywistości, którą – naprawdę – akceptujemy. Jednocześnie odwracamy świadomość od tego, co niechciane i odrzucane – jakby udając (także przed sobą), że niechcianego nie ma.

Bywa też, że w akceptacji nie sięgamy do korzeni samych siebie: przyjmujemy, co przychodzi, mówimy: niech będzie, ale gdzieś pod spodem tli się w nas niezgoda, napięcie, konflikt, nieuświadomiona chęć zmiany.

Gdy spotykamy się z rzeczywistością niosącą cierpienie, radykalna akceptacja nie jest łatwa. Rzadko kiedy stać nas na nią od razu. Jest raczej rezultatem dłuższego procesu. Jego pierwszym etapem jest uznanie faktu, że nasze otwarcie na rzeczywistość jest filtrowane i zawężane przez oczekiwania, które mamy. A zatem, że potrzebny jest świadomy wysiłek uważności – na to, co dzieje się w nas, i na to, co wokół nas się staje.

Świadomy wysiłek uważności pozwala dostrzec – to jest moment kluczowy – gdzie nasze oczekiwania i świat wokół nas nie pasują do siebie, gdzie powstaje napięcie, w jakich sytuacjach rodzi się w nas frustracja, żal, smutek, rozczarowanie. W kolejnym kroku możemy zobaczyć, że bardzo często tamte reakcje przykrywamy agresją, gniewem – kierując go na świat i – nierzadko – także na siebie. Robimy tak nie przypadkiem, choć nieświadomie. Z gniewem bowiem zasadniczo łatwiej nam sobie radzić, dodaje nam energii, gniewne reakcje dają poczucie sprawstwa. Podłożem gniewu są też najczęściej osądy – a źródłem tych: zawiedzione oczekiwania.

Radykalna akceptacja – właśnie przez swoją radykalną całościowość – nie wyklucza także i naszych reakcji, które zwykle klasyfikujemy jako negatywne: smutku, lęku czy gniewu. Przyjmuje wszystko, lecz nie jest zimną beznamiętnością. Nie jest jej wszystko jedno. Gdy tracimy – uznaje stratę. Pozwala nam na w pełni świadome przejście procesu żałoby. Nie tłumi płaczu, choć nie daje się zagarnąć rozpaczy. Patrzy z czułością na fale bólu i żalu. Nie walczy z nimi i nie próbuje ich wzburzyć. Pozwala, by się uspokoiły we właściwym dla nich czasie.

Radykalna akceptacja dostrzega także to, co nas cieszy. Przyjaźnie przyjmuje naszą przyjemność – tak dotyku, jak ducha, tak dziko gwałtowną radość, jak zrównoważone zadowolenie.

Nie wyklucza także naszych koncepcji i oczekiwań, które w procesie akceptowania zdają się być przeszkodą. Przyjmuje wszystko, nie sądzi niczego – także rodzących się w nas osądów. Idzie za radą Jezusa: „nie sądźcie, a nie będziecie sądzeni" (Łk 6, 37). A więc nie sądzi, przyjmuje, próbuje zrozumieć – odnaleźć *Logos* ukryty w osnowie stworzenia.

Nie jest także biernością – zawiera przymierze z potrzebą działania, a także z samym działaniem. Wszak widzi niedoskonałość świata. Oraz ukryte w niej ziarna rozwoju. Można powiedzieć: jest przenikliwą diagnozą, warunkiem koniecznym skutecznej zmiany. Będąc czekaniem na panowanie Dobra, które i już, i dopiero nadchodzi, nie niknie, kiedy działamy. Jest nie tylko diagnozą, lecz także czuwaniem przy łóżku chorego, zażyciem lekarstwa, obserwacją, czy działa. Tak działał Józef z Arymatei: przyjął śmierć Jezusa, wykupił ciało, złożył do grobu. Poranek trzeciego dnia stał się możliwy.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 154/22 toczy się z wniosku PGE DYSTRYBUCJA SA z/s w Lublinie postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszku Antonim Gibczyńskim, s. Kazimierza i Krystyny, urodzonym 14 maja 1939 r. w Zarszynie, zmarłym w dniu 23 lipca 2020 r. w Sanoku.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w sprawie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik: *Świąt waszych nie cierpię*

Wlokę się ku adwentowi z niechęcią. Choć tak zwykle lubię to radosne oczekiwanie, dziecięcą ekscytację, nie choinką i prezentami, tylko kontemplowaniem Wcielenia. Lubię czytać zadanych w lekcjonarzu proroków i myśleć, jakiej zmiany oni wtedy łaknęli, jakiej pragnęli ci, w których czasach przyszedł na świat. Lubię spędzać te dni kontemplując kobiece sceny tej historii: zwiastowanie i wizytę Marii u Elżbiety, zapatrzeć się w ich nadzieję, pewność, wyśpiewaną prorocką intuicję. Wielkie teolożki, których wiara znalazła słowa opisu Boga wchodzącego radykalnie w świat. Boga Izraela, od zawsze wdzierającego się w historię i w życie.

Skoro od zawsze wchodzi w historię, skoro się wciela, to może się tego wszystkiego nie brzydzi aż tak? Bo w Kościele trzęsącym się w posadach prawda o wcieleniu jest taka, że Kościół też wciela się we wszystko, co ludzkie, w cały syf. I dlatego teraz dumam, jak przeżyć adwent we wspólnocie, w której niezłomnie wierzący dotąd przyjaciele szepczą nieśmiało: „Odejdę chyba, jeszcze nie wiem kiedy, jeszcze może nie teraz, ale po co w tym być? A ty?”.

A ty? Nie lubię, gdy pytają. Zaparkowałaś się z boku trochę, jakbyś była gapiem. I czasem cię to wszystko obchodzi bardzo, ale częściej wcale nie dziwi. Jeszcze cały czas boli. Najbardziej obchodzi bycie razem z tymi, co też się miotają, szukają nowych dróg, żeby odnaleźć to, co znajdowali w tej wspólnocie kiedyś. Nowe drogi też brzmią jakoś adwentowo, prawda? Czegoś innego szukamy, na coś czekamy. Serce się wyrywa, tylko dokąd – nie jest wciąż jasne, do jakiej nowej rzeczywistości. Innej w każdym razie. Czy możliwej?

A potem wsiadam w pociąg, biegnę na wydział teologii w sąsiednim mieście, by na wieczornym seminarium rozprawiać o synodalności i reformie, przyglądać się krytycznie, teoretycznie. Uparta wierność własnym wyborom. Wracanie jak do stajni. Postkolonialna teologia, kontekstualna, rozeznawanie w synodalności, analizowanie procesów synodalnych w różnych diecezjach... Wchodząc w wielkie drzwi wydziału zmęczona dniem pracy, nie wiem, po co to robię. Raz już uciekłam z rozczarowania instytucją w uczenie się teologii, więc może znów to zadziała? Siedzimy tam, międzykontynentalni tacy, od Australii, przez Filipiny i Indie, po Flandrię. No i Afrykę, rzecz jasna. Wierzymy, że Kościół się może zmienić, chcemy innego? Pewnie jest różnie. Dwoje młodych studentów z Antwerpii słucha z lekkim przerażeniem o synodalności Kościoła, Hiszpanie na mój entuzjazm wobec wywrotowych teorii profesorki zareagowali wróżbą spalenia na stosie. Ot, katolicyzm. Radość różnorodności.

Wracając do adwentu – może należy mi się adwent w stylu hygge? Hygge już co prawda wyszło z mody, ale jeszcze w czasach, gdy poradniki o świeczkach i kocach były na liście bestsellerów, „The Guardian” puścił zjadliwy tekst o tym, że druga, brzydsza strona tej filozofii to niechęć do naruszania twojego spokoju przez obcych. Był bodaj 2015 r. i taka postawa, choć otulona w ciepłe i puchate, mogła być czytana jako złowrogi izolacjonizm. Ale może właśnie należy mi się hygge adwent, świeczki, wieniec, dekorowanie ciasteczek. Okopanie się w prywatnych rytuałach, by przyniosły jakieś ukojenie. Odizolowanie od złych wieści, które naruszają spokój. Tylko że poranne czytanie proroka nie bardzo pasuje do tej milusiej wizji grudnia. Nie przygotuje mnie to na prawdziwe wcielenie. Wcielenie również w syf świata. W końcu w żłobie się urodził.

A zatem może jednak surowy adwent, grudzień, w którym serce wyrywa się do lepszego świata, bo widzisz, jaki jest ten? Podchodzisz do jego różnych ran, dotykasz, są prawdziwe. Nie goją się łatwo. Bierzesz Księgę Izajasza, którą zaczyna skarga Boga na swój lud, jakże adekwatna w tych okolicznościach: „Świąt waszych na wskroś już nie cierpię, stały mi się ciężarem, już nie mogę ich znieść. Gdy wyciągnięcie do mnie swe ręce, zasłonię przed wami moje oczy, choćbyście mnożyli modły, ja ich nie wysłucham. Ręce wasze są pełne krwi! Obmyjcie się! Oczyśćcie! Usuńcie sprzed mojego oblicza zło waszych niecnych czynów. Przestańcie czynić źle! Uczcie się czynić dobrze! Szukajcie tego, co prawe! Poskramiajcie ciemiężcę, brońcie prawa sieroty, stawajcie w obronie wdowy!” (Iz 1, 14-17). Grozi czy błaga? Czy w grudniowych ciemnościach odważysz się marzyć śmiało, że wszystko może być inaczej? Potykam się o pytanie, czy w Kościele też. Nie wiem. ©

Znamy nominowanych do Nagrody POLIN

30 listopada po raz ósmy zostanie wręczona Nagroda POLIN przyznawana przez Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN osobom lub instytucjom aktywnie działającym na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów. Spośród 117 aplikacji z całej Polski kapituła konkursu wyłoniła 6 finalistów. Są to: Katarzyna Łaziuk, Izabela Sekulska, Magdalena Smoczyńska, Michał Szaflarski oraz Sądecki Sztetl i Zespół Szkół w Krzepicach.

Ogłoszenie laureatki lub laureata Nagrody POLIN 2022 nastąpi podczas uroczystej ceremonii w Muzeum, która będzie transmitowana w mediach społecznościowych instytucji.

„Tygodnik Powszechny”, od lat działający na rzecz pojednania międzyreligijnego (sprawdź powszech.net/zydowska), jest partnerem tego wydarzenia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZNOWU W DOMU

Osiem miesięcy rosyjskiej okupacji było trudnym, a dla niektórych wręcz strasznym przeżyciem. Dlatego w Chersoniu radość z wyzwolenia miesza się z przerażającymi wspomnieniami.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z CHERSONIA (UKRAINA)

Szeroka i potężna rzeka Dniepr rozdziela dwie wojujące armie, które rażą się wzajemnie pociskami i rakietami. Na prawym brzegu pozycje zajęło ukraińskie wojsko, które niedawno odwojowało miasto Chersoń i znaczną część obwodu chersońskiego. Na brzegu lewym – znajdujący się w defensywie Rosjanie.

To właśnie szum wody Dniepru słyszał Roman, gdy w trakcie rosyjskiej okupacji leżał przywiązany, z workiem na głowie i rozebrany do naga. Roman wyrósł w Chersoniu i nie pomyliłby tego odgłosu z żadnym innym. Ale tym razem to nie był beztroski wypad nad rzekę. Ludzie w mundurach zabrali go z aresztu, założyli worek na głowę i wywieźli. Gdy leżał potem nagi, jeden z nich zapytał: „Co tobie, kurwa, odciąć? Jaja czy fiuta?". „Nic nie odcinajcie, błagam!" – wyjąkał Roman. „Co, kurwa, odciąć? Mów szybko!".

Ewakuacja chorych z zagrożonego ostrzałem i pozbawionego wody oraz prądu szpitala w Chersoniu, 14 listopada 2022 r.

Postraszyli go jeszcze przez jakiś czas, a potem odwieźli z powrotem do aresztu, miejsca jego kaźni.

Tak zapamiętał tę scenę Roman – mężczyzna w okolicach trzydziestki i ze zmienionym w tym tekście imieniem. W głowie kotłują mu się straszne przeżycia, jeszcze świeże, przemieszane przez rutynę i przemoc, które próbuje stłumić alkoholem.

Ile czasu spędził w areszcie? Roman zupełnie pogubił się w czasie. Zatrzymywali go w sumie siedem razy. Z różnych powodów. Za każdym razem jednak – jak twierdzi – znęcali się. Mówi, że bili tak, że do dzisiaj ma odbite nerki, a prądem razili tak, że całe jego ciało podrywało się w konwulsjach. Roman, choć często wpadał w tarapaty, czegoś takiego się nie spodziewał.

W Chersoniu, gdzie do rosyjskiej inwazji mieszkało niemal 300 tys. ludzi, ukraińskie władze dotychczas odkryły dwie rosyjskie katownie i są przekonane, że na tym się nie skończy.

Dlatego wybuch radości, która ogarnęła miasto po zakończeniu ponad ośmiomiesięcznej okupacji, spowodowany jest nie tylko przywiązaniem do swojego kraju, ale także świadomością, że zakończyło się życie w strachu.

Na swoje ryzyko

Gdy rozpoczęła się inwazja, rosyjskie wojska w mgnieniu oka przedarły się z okupowanego Krymu do obwodu chersońskiego. Jak to się stało, że ten teoretycznie łatwy do obrony odcinek frontu – łatwy, gdyż Rosjanie musieli przejść przez wąski przesmyk, łączący Krym z kontynentalną Ukrainą; gdyby był np. zaminowany, byłoby to trudne – od razu padł pod naporem nacierających wojsk? Jest to jedna z największych zagadek tej wojny. Po Ukrainie krążą różne hipotezy na ten temat.

Faktem jest, że wtedy, na początku marca, Rosjanie szybko zmierzali w stronę Chersonia.

Tamtego dnia, gdy Kreml rozpoczął swoją „operację specjalną", 36-letnia Maryna – wieloletnia pracownica oddziału Służby Migracyjnej Ukrainy w obwodzie chersońskim – od szóstej rano była w swoim biurze wraz z innymi pracownikami. Wiedzieli, że mają mało czasu, by wynieść newralgiczne dokumenty, w tym paszporty, a także bazy danych.

Maryna nie chce zdradzić miejsca, w którym to wszystko ukryli. Ale zapewnia, że ocalało. W kolejnych tygodniach zabrali też chyłkiem komputery, meble i w ogóle wszystko, co mogło mieć jakąś wartość.

– Robiliśmy to na własne ryzyko, ale zależało nam, bo wiedzieliśmy, że nasi chłopcy w końcu nas uratują, a wtedy będziemy musieli mieć na czym pracować – wspomina Maryna.

Po tym, jak pracownicy Służby Migracyjnej zabezpieczyli newralgiczne dane, urzędniczka rzuciła się w wir pomocy. Choć bała się bardzo, bo ciągle wyły syreny alarmowe, zwiastujące naloty, a nacierająca rosyjska armia szybko zbliżała się do Chersonia.

Niedługo po rozpoczęciu inwazji do szpitali zaczęli trafiać pierwsi żołnierze – tak ukraińscy, jak i rosyjscy. Placówki medyczne nie były do tego przygotowane. Brakowało bandaży, ubrań, pościeli, jedzenia. To wszystko starali się zapewnić ludzie tacy jak Maryna. Jak mówi, pomagali każdemu – nie patrząc, po której stronie frontu walczył.

Rosjanie zajęli Chersoń na początku marca. Jak w rozmowie przyznaje pracownica jednego ze szpitali, która prosi o anonimowość, zanim to się stało, pielęgniarki poprzebierały ukraińskich żołnierzy w ubrania cywilne i zabrały ich do swoich domów, aby nie wpadli w ręce władz okupacyjnych. Potem pomagały im się wydostać z miasta. Nie wszystkim się udało.

Na celowniku okupanta znaleźli się także ci członkowie miejscowej ukraińskiej obrony terytorialnej, którym nie udało się opuścić zawczasu miasta. Gdy Rosjanie je zajęli, wielu jej członków przepadło bez śladu.

– Nie możemy ich znaleźć do dzisiaj. Mam nadzieję, że wszystko z nimi dobrze – mówi Maryna. I powtarza: – Mam nadzieję.

Bezsilni

Gdy Rosjanie pojawili się w mieście, Maryna ani jej rodzina niemal nie wychodzili z domu. Nie wiedzieli, czego się spodziewać.

Wprawdzie początkowo w Chersoniu ludzie przez wiele tygodni wychodzili na ↦

Z lewej: życie wraca do miasta. Z prawej: korytarz aresztu, w którym Rosjanie przetrzymywali więźniów. Chersoń, 14 listopada 2022 r.

↦ proukraińskie demonstracje, ale w końcu zostały one zduszone przez okupacyjne władze.

Mieszkańcy mieli poczucie, że są zdani na siebie. Nie byli przygotowani, by mierzyć się z uzbrojonym przeciwnikiem. Nie mogli stawić im innego oporu niż tylko skandując hasła, trzymając namalowane własnoręcznie transparenty i machając ukraińskimi flagami.

Marynę dobijało, że chaos ogarniał jej miasto i kraj, a ona nie mogła z tym nic zrobić. Odgrażała się rodzicom, że gdyby miała karabin, poszłaby bronić miasta. Oni odpowiadali śmiechem na jej bojowe deklaracje.

– Byliśmy bezsilni – stwierdza Maryna.

Wojna na Ukrainie trwa od 2014 r. Wówczas Rosja anektowała Półwysep Krymski i przyczyniła się do powstania dwóch nieuznawanych przez świat republik w Donbasie, w obwodach donieckim i ługańskim. Na skutek tego trwającego niemal osiem lat konfliktu od wiosny 2014 r. do 24 lutego 2022 r. zginęło przynajmniej 13 tys. ludzi.

Dziś Maryna mówi, że dopiero wtedy, gdy Rosjanie zajęli jej Chersoń, zaczęła rozumieć dolę swoich rodaków z Krymu oraz ze wschodu kraju.

– Co my robiliśmy przez te osiem lat? Nic, bawiliśmy się. Aby na koniec samemu znaleźć się w podobnej sytuacji... – przyznaje.

Przez ponad osiem miesięcy okupacji, jak mówi, żyła w dziwnym stanie – choć była w swoim rodzinnym mieście, to miała wrażenie, jakby stało się obce. Opuszczała cztery ściany i wszystko niby wyglądało tak samo, ale czuła, że miasto już nie należy do niej. Po ulicach chodzili ludzie w obcych mundurach. Czuło się wszechobecny strach, bo nie wiadomo, na kogo mogło paść podejrzenie. Natomiast w sklepach sprzedawano rzeczy, które smakowały inaczej, zazwyczaj gorzej. Nawet jej kot nie chciał jeść sklepowej karmy.

Gdy Ukraińcy odzyskali Chersoń, znajomy wojskowy napisał do Maryny: „Znowu jesteś w domu!". I rzeczywiście – tak się poczuła.

Telefon pod stanikiem

Matka Maryny, 56-letnia Ludmiła, jest dyrektorką jednego z przedszkoli w Chersoniu. Myślała, że takiego miejsca Rosjanie nie będą ruszać. Od dnia rozpoczęcia inwazji placówka nie przyjmowała dzieci. Mimo to pracownice przychodziły, by pilnować budynku.

Ludmiła rzadko wychodziła z domu. Głównie po to, aby przyjść na swoją zmianę do przedszkola. Bała się, że Rosjanie po nią przyjdą i będą zmuszać do rzeczy, których nie chciała robić. Nie chciała wpajać dzieciom tego, co narzucały władze okupacyjne.

Bała się także, że znajdą jej telefon, na którym od pierwszych dni okupacji nagrywała to, co się działo wokół – w tym kolejki do aptek i sklepów, a także puste półki. Dlatego jedną komórkę wrzucała do torebki, którą oddałaby w razie kontroli (żołnierze rosyjscy żądali wtedy, by odblokować telefon, i przeglądali jego zawartość). Natomiast tę z cennymi kontaktami, wiadomościami, zdjęciami i filmikami wkładała sobie pod stanik, między piersi.

Nie lada kłopotów mógł jej napytać 10-letni wnuk Timofij. Któregoś razu rodzina przebierała rzeczy dziecięce w domu, by oddać je mieszkańcom okolicznych wsi, którzy uciekali przed walkami trwającymi wokół Chersonia. Często przyjeżdżali bez niczego.

Rodzina Ludmiły chciała im pomóc i przekazać wszystko, co tylko mogła. Gdy więc wertowali ubrania Timofija, ten znalazł niebiesko-żółtą chustkę, którą dostał, jak miał trzy lata. Wsunął ją do kieszeni, a nikt z dorosłych tego nie zauważył.

Potem Ludmiła poszła z wnukiem na plac zabaw. Wokół kręciły się rosyjskie patrole. Na szczęście żołnierze nie patrzyli w górę.

W którymś momencie podeszła jedna z kobiet i zapytała: „Drogie moje, czyje to dziecko wywiesiło ukraińską flagę?".

Nad ich głowami powiewała bowiem niebiesko-żółta chusta Timofija.

Okupant zabiera meble

Okazało się, że chłopiec wdrapał się niepostrzeżenie na dach wieżyczki na placu zabaw.

Wnuk Ludmiły nie wiedział nawet, że przez przypadek jako pierwszy wywiesił ukraińską flagę w miejscu publicznym na długo przed tym, zanim ukraińskie wojska wkroczyły do Chersonia. Wtedy po błaganiach babci szybko ją zdjął, zanim wybuchła afera.

Mimo strachu, postępek wnuka napawał ją dumą.

Wtedy aż do końca sierpnia przedszkolanki miały spokój. A potem Rosjanie przyszli do nich – akurat na święto niepodległości Ukrainy. Ludmiły nie było wtedy na zmianie. Jedna z pracownic zadzwoniła, żeby nie przychodziła. Rosjanie kazali oddać im klucze i przegnali z przedszkola.

Co się działo z budynkiem? Do Ludmiły dochodziły tylko plotki: że wynie-

śli meble, pościel, sprzęt, stoły, krzesła, pościel, a nawet kwiaty doniczkowe. Ktoś widział, jak wycinali drzewa na podwórku.

Choć od wyzwolenia minęło już kilka dni, Ludmiła nie poszła jeszcze do przedszkola, aby zobaczyć na własne oczy, jak ono teraz wygląda. Dopóki ukraińscy saperzy nie sprawdzą, czy pomieszczenia są bezpieczne, boi się tam wchodzić.

Miejsce kaźni

Zanim zespoły minersko-pirotechniczne dotrą do przedszkola Ludmiły, minie jeszcze trochę czasu. Mają oni bowiem ręce pełne roboty. Gdy sprawdzali budynek lokalnego oddziału Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, zginął jeden z ich pracowników.

Trzeciego dnia po odzyskaniu Chersonia zajmowali się komisariatem policji. Tam podczas okupacji Rosjanie katowali więźniów.

W jednym z garaży stoją tam wyniesione: pralka, muszle klozetowe, lodówki, komputer i kaloryfer. Pracownicy policji twierdzą, że wcześniej znajdowały się w pomieszczeniach biurowych. Ołeksandr, jeden z saperów, mówi, że szykowali je do wywózki.

Na parterze znaleźli aparat telefoniczny z dynamo. Mógł służyć do rozmów, ale mógł także, podłączony kablami do ciała, służyć do rażenia więźnia prądem – tym mocniej, im szybciej torturujący kręcił korbką.

W innym pomieszczeniu stały krzesła biurowe przykręcone do podłoża. Gdzieniegdzie walały się rosyjskie mundury i dokumenty. W celach panował bałagan, jakby przeszło przez nie tornado. W niektórych nie było prycz. Namalowane na ścianach wiersze i malunki sławiły Rosję.

Po tym, jak saperzy przejrzeli budynek, kilka osób weszło do środka. Przychodzili popatrzeć na miejsce swoich kaźni także byli więźniowe. Jednym z nich był właśnie Roman.

Roman pyta: za co?

Nie był aktywistą, działaczem ani w ogóle nie interesował się polityką. Roman to po prostu chłopak z osiedla, skłonny i do awantur, i do zabawy.

To właśnie jego niefrasobliwość napytała mu problemów. Od dwóch lat mieszkał w Odessie, gdzie pracował w restauracji, a także był instruktorem pływania na kajakach i paddle boardzie. Nareszcie wychodził na prostą. Był

56-letnia Ludmiła jest dyrektorką przedszkola. Gdy była z wnukiem na placu zabaw, ten niepostrzeżenie wywiesił niebiesko-żółtą chustę.

36-letnia Maryna pracowała w Służbie Migracyjnej Ukrainy. Gdy rozpoczęła się rosyjska inwazja, wraz z resztą personelu ukrywała newralgiczne dokumenty.

zadowolony z zarobków i życia, które prowadził. Miał nadzieję, że więcej nie trafi do więzienia. Wrócił do Chersonia w przededniu inwazji, bo chciał tu odpocząć, pobawić się z przyjaciółmi oraz pomóc mamie.

Po raz pierwszy zatrzymali go za to, że po godzinie policyjnej wracał do domu z pobliskiego sklepu z alkoholem. Roman mieszka tuż obok komisariatu, więc mógł się spodziewać, że natrafi na patrol. Ale tak bardzo chciał się napić, że nie wziął tego pod uwagę. Już był w drodze do domu, gdy zobaczył światło latarek. „Chodź tu natychmiast!" – usłyszał tylko.

Próbował się opierać, przekonać, że tylko wraca do domu, na próżno. Zabrali go do aresztu, ale niedługo potem wypuścili. Nie oddali jednak dokumentów – została mu tylko skopiowana na kartce pierwsza strona paszportu.

Za drugim razem było dużo gorzej. Szedł do znajomego. Było ciepło, więc miał na sobie koszulkę z krótkim rękawem. Przechodzący patrol zobaczył tatuaż na przedramieniu. Rosyjskie służby, co powtarza się w wielu historiach od 2014 r., są zafiksowane na tatuażach. Zatrzymali Romana. „Twarzą do ściany!". „Dobrze, dobrze..." – nie opierał się. „Masz inne tatuaże?". „Mam". „Rozbieraj się". Zanim to zrobił, zaczęli go okładać, zerwali ubranie. Na klatce piersiowej miał wytatuowane dwie gwiazdy Krzyża Żelaznego. Taki krzyż był kiedyś wykorzystywany przez nazistów. Roman twierdzi, że nie ma to nic wspólnego z jego poglądami politycznymi, że to tylko dawny szczeniacki wybryk. Miał 19 lat, gdy trafił do więzienia, tam chciał mieć tatuaż i ten wzór mu się spodobał.

Po tym, jak patrol skończył bić, wywieźli go do jakieś piwnicy. Tam dalej bili. Potem zawieźli na komisariat policji. „Macie teraz się kim bawić" – powiedzieli ci, którzy go przywieźli, do strażników.

Roman twierdzi, że bili go, przypalali, razili prądem, w tym genitalia, kazali krzyczeć: „Chwała Rosji! Chwała Putinowi! Chwała Szojgu!". Więźniowe mieli też być zmuszani do śpiewania hymnu rosyjskiego i wychwalania okupacyjnych władz. Do jedzenia mieli dawać kawałek chleba i szklankę herbaty.

– Byłem wcześniej w więzieniu, ale nasi czegoś takiego nie robili. Odsiedzieć swoje trzeba, ale genitalia podłączać do prądu, lać po plecach. To normalne? – pyta Roman.

Najpierw trafił do zwykłej celi. Następnie wrzucili go do izolatki, bez umywalki. W małym pomieszczeniu było siedem osób, potem strażnicy przyprowadzili jeszcze jedną. Z okna izolatki Roman widział balkon swojego mieszkania.

Stoi teraz w tym pomieszczeniu.

Nagle zaczyna płakać. Zasłania twarz dłońmi, osuwa się po ścianie.

– Czy ja komuś coś złego zrobiłem?! Za co, kurwa, mnie trzymali?! – krzyczy.

Tego Roman prawdopodobnie nigdy się nie dowie. © PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst powstał przy wsparciu Instytutu Nauk o Człowieku w Wiedniu w ramach programu Documenting Ukraine.

Wielka grabież

PIOTR KOSIEWSKI

Wprowadzając stan wojenny w anektowanych ukraińskich obwodach, Putin zalegalizował kradzież tutejszego dziedzictwa kulturowego. Nosi ona znamiona czystki kulturowej.

Dobra kultury padały ofiarą rosyjskiej inwazji od jej pierwszych dni. Bomby uszkodziły m.in. XVIII-wieczny sobór Zaśnięcia Matki Bożej, zabytkowe budynki Uniwersytetu im. Karazina i plac Wolności w Charkowie, przy którym znajduje się budynek Derżprom z 1928 r., jedno z najwybitniejszych dzieł sowieckiego konstruktywizmu. Spalenie Muzeum Historii i Krajoznawstwa w podkijowskim Iwankowie, w którym przechowywano prace XX-wiecznej malarki „naiwnej" Marii Prymaczenko, stało się jednym z symboli rosyjskiego barbarzyństwa.

Niedawno UNESCO ogłosiło raport dotyczący zniszczeń wojennych w Ukrainie. Potwierdziło w nim, że od 24 lutego do 7 listopada uszkodzono lub zniszczono 213 obiektów, w tym 53 obiekty zostały zniszczone poważnie lub całkowicie. Liczby podawane przez władze ukraińskie są wyższe: tylko w przypadku zniszczonych i uszkodzonych budynków sakralnych mowa jest o co najmniej 270 obiektach.

NA LIŚCIE ZNISZCZEŃ przygotowanej przez UNESCO znalazły się 92 miejsca kultu religijnego, 16 muzeów, 77 budynków o znaczeniu historycznym lub artystycznym, 18 pomników i 10 bibliotek. Bardzo duże straty są w obwodzie charkowskim (52 obiekty) i donieckim (60 obiektów). Znaczne straty są w obwodzie kijowskim – 32 obiekty, w tym Muzeum Narodowe Kijowska Galeria Sztuki, gdzie przechowywana jest jedna z najcenniejszych kolekcji sztuki rosyjskiej, nie tylko w Ukrainie. Podczas ataku na centrum miasta 10 października ucierpiała większość szyb w oknach i szklany sufit w salach wystawowych. Trudna sytuacja jest w obwodzie czernihowskim, zwłaszcza w samej jego stolicy, z pochodzącą jeszcze ze średniowiecza zabudową.

Władze Ukrainy od początku inwazji mówią o zagrożeniu, jakie niesie ona dla dóbr kultury, i dokumentują straty. Przypominają, że ataki na nie są pogwałceniem prawa międzynarodowego i zgodnie z haską Konwencją o ochronie dóbr kulturalnych w razie konfliktu zbrojnego z 1954 r. są uznawane za zbrodnię wojenną. Konwencja ta, której Rosja jest stroną, zakazuje „wszelkich aktów kradzieży, rabunku lub bezprawnego przywłaszczenia dóbr kulturalnych, jakąkolwiek przybrałyby one formę, jak również wszelkich aktów wandalizmu wymierzonych przeciw nim". Nakazuje też powstrzymanie się „od stosowania rekwizycji wobec dóbr kulturalnych ruchomych".

O KONWENCJI HASKIEJ przypominała jeszcze w marcu dyrektor generalna UNESCO Audrey Azoulay. Rosja podkreśliła wtedy, że jest świadoma jej zobowiązań. Nie zmieniła jednak swego postępowania. Co więcej, szybko pojawiły się informacje nie tylko o zniszczeniach, ale też o rabunku dzieł sztuki. W kwietniu podano, że Rosjanie wywieźli dzieła z częściowo zniszczonego Muzeum Sztuki im. Archipa Kuindżego w Mariupolu. Wśród zrabowanych były obrazy urodzonego w tym mieście XIX-wiecznego pejzażysty Kuindżego, a także dzieła Iwana Ajwazowskiego i Nikołaja Dubowskiego. Podobno, jak informowały media, wywiezione dzieła trafiły do Muzeum Historii Lokalnej w Doniecku.

W kwietniu informowano też o wywiezieniu przez Rosjan obiektów z Muzeum Historii Regionalnej w Melitopolu. Były wśród nich scytyjskie złote przedmioty z IV w. p.n.e. pochodzące z kurhanu odkrytego w tym mieście w 1954 r. (znaleziono w nim m.in. 4 tys. złotych ozdób, diadem i złoty kołczan zdobiony scenami z życia Achillesa). Najważniejsza część tej kolekcji jest przechowywana w Narodowym Muzeum Historii Ukrainy w Kijowie, jednak część była wystawiana w miejscu jej odnalezienia.

LOSY KOLEKCJI z Melitopola pokazują, że cały czas dysponujemy niepewnymi informacjami. Bowiem, jak pisał portal Suspilne, w muzeum pozostały kopie, a oryginały ewakuowano. „Uratowaliśmy wszystko, co wartościowe, z eksponatów naszego muzeum sztuki" – mówił Władysław Moroko, dyrektor departamentu kultury Obwodowej Administracji Wojskowej Zaporoża. Dodał, że nie mówiono o tym głośno, by „nie narażać kolekcji na niebezpieczeństwo".

Pełnej informacji o losach scytyjskiej kolekcji zatem nie mamy. Więcej wiadomo za to o innych zbiorach z tego muzeum: szacuje się, że straciło ono ogółem 1,7 tys. obiektów, w tym tzw. tiarę Hunów z V stulecia, wykonaną ze złota i wysadzaną szlachetnymi kamieniami – to jeden z najważniejszych obiektów tego typu na świecie.

Ekipa specjalistów z Francji opracowuje mapę 3D zniszczeń wojennych zabytkowych budynków Charkowa. Na zdjęciu: ruiny remizy strażackiej z 1887 r., maj 2022 r.

DIMITAR DILKOFF / AFP / EAST NEWS

W CHWILI INWAZJI ukraińskie Ministerstwo Kultury i Polityki Informacyjnej podało, że zbiory muzealne są zabezpieczane, a najcenniejsze obiekty będą gotowe do ewakuacji. Jednak w niektórych przypadkach decyzje o ich wywozie podejmowano w ostatnich miesiącach. Tak było w przypadku kolekcji jedynego w Ukrainie muzeum malarstwa marynistycznego w Oczarkowie, położonego w pobliżu terenów okupowanych. Dzięki pomocy mieszkańców Mikołajowa na początku września udało się ewakuować blisko 700 eksponatów, w tym obrazy Iwana Ajwazowskiego i Tetiany Jabłonskiej.

Jednocześnie przypadki grabieży pokazują rolę, jaką do odegrania mają osoby opiekujące się zbiorami. Wielu z nich zaangażowało się w ich ratowanie, jak w przypadku Muzeum Historii Lokalnej w Iziumie, którego pracownica ukryła przed Rosjanami m.in. oprawione w srebro wydanie Ewangelii z 1707 r., będącej darem cara Piotra I dla tutejszego soboru Przemienienia Pańskiego. Z kolei w przypadku muzeów w Mariupolu i Melitopolu grabież była możliwa dzięki współpracy osób z nimi związanych.

W wywiadzie udzielonym Associated Press na początku października ukraiński minister kultury Ołeksandr Tkaczenko mówił, że Rosjanie zrabowali eksponaty z prawie 40 muzeów, a szkody szacuje na setki milionów euro. „Stosunek Rosjan do ukraińskiego dziedzictwa kulturowego jest zbrodnią wojenną" – podkreślał.

KOLEJNE FAKTY zdają się potwierdzać, że są to celowe, zaplanowane działania. Aleksander Mozgowoj, prowadzący wiadomości telewizyjne w separatystycznej Donieckiej Republice Ludowej, zamieścił nawet w mediach społecznościowych swoje zdjęcie z obrazem Kuindżego ukradzionym z muzeum w Mariupolu.

Ostentacja, z jaką obnoszono się z rabunkiem dzieł sztuki, może budzić zdumienie, ale pokazuje coś znacznie głębszego: to, jak Rosja postrzega wywołaną przez siebie wojnę oraz do jakich wzorców z przeszłości się odwołuje. Wiele na ten temat pisano po zbrodniach w Buczy i innych okupowanych miejscowościach. W przypadku dóbr kultury narzuca się zaś porównanie – mając w pamięci wszystkie różnice – do „trofiejnych brygad", które działały w czasie II wojny światowej i zaraz po jej zakończeniu: obiekty wywiezione wtedy z terenów, które zajmowała Armia Czerwona, do dziś nie tylko są przechowywane w rosyjskich muzeach, archiwach i bibliotekach, ale też z dumą prezentowane np. w Ermitażu.

PRZYKŁADY Z CHERSONIA: w maju rosyjscy wojskowi zjawili się w Regionalnym Muzeum Sztuki w okupowanym przez nich Chersoniu i poinformowali, że zamierzają „zinwentaryzować" jego zbiory. Już wtedy mówili, że chcą w przyszłości pomóc w ich transporcie na Krym lub do Rosji. Ogłoszenie przez Władimira Putina stanu wojennego na zajętych terenach sprawiło, że realne stało się zagrabienie ukraińskich kolekcji. Pojawiły się też informacje o planach wywiezienia zbiorów z muzeów na Krymie.

Grabież w Chersoniu nasiliła się, gdy realna stała się perspektywa odwrotu z tego miasta. Na początku listopada Rosjanie wywieźli zbiory miejscowego Regionalnego Muzeum Sztuki – i muzealia, i wyposażenie placówki. Jej pracownicy podkreślają, że wątpią, by w muzeum cokolwiek zostało. Zagrabione dzieła pochodzą z okresu od XVII do XX w. Są wśród nich obrazy działającego na przełomie stuleci XIX i XX pejzażysty Iwana Pochytonowa oraz tworzącego w ubiegłym wieku na emigracji malarza i scenografa teatralnego Mychajła Andrijenki-Neczytajły. Wojsko rosyjskie tłumaczyło, że wywozi kolekcję w celu „zachowania wartości kulturowych"; część obiektów trafiła do Centralnego Muzeum Tawrydy w Symferopolu.

Przed opuszczeniem prawego brzegu Dniepru Rosjanie wywieźli też zbiory Galerii Obrazów im. A.S. Hawdzinskiego w Nowej Kachowce.

OFIARĄ RABUNKÓW padają zarówno obiekty bardzo cenne, jak i te mające mniejszą wartość materialną, ale istotne dla miejscowej historii. Więcej: wiele z tych działań nosi znamiona czystki kulturowej, niszczenia lokalnej tożsamości.

Paradoksalnie prowadzą one także do wymazywania rosyjskiej obecności na tych terenach, czego skrajnym przykładem była ekshumacja szczątków księcia Grigorija Potiomkina z soboru św. Katarzyny w Chersoniu (wzniesionego według projektu architekta Iwana Starowa, autora m.in. pałacu taurydzkiego, jednego z symboli Petersburga). Wojska rosyjskie wywiozły też zniszczony w czasach sowieckich i zrekonstruowany na początku XXI w. pomnik Potiomkina autorstwa najwybitniejszego rosyjskiego rzeźbiarza doby klasycyzmu Iwana Martosa. Ofiarą rabunku padły także pomniki innych XVIII-wiecznych rosyjskich wojskowych: admirała Fiodora Uszakowa i marszałka Aleksandra Suworowa.

W odpowiedzi na zapowiedzi Rosji, że będzie „zabezpieczała" dobra kultury ukraińskiej, kijowskie Ministerstwo Kultury wydało oświadczenie, w którym podkreśla, że masowe ich wywiezienie z okupowanych terenów „będzie porównywalne z grabieżą muzeów w czasie II wojny światowej" i powinno być podobnie zakwalifikowane. Przypomniało, że naruszenia prawa międzynarodowego „będą skutkowały zarówno odpowiedzialnością państwa-agresora, jak i odpowiedzialnością karną osób w to zaangażowanych, zarówno na poziomie krajowym, jak i międzynarodowym".

Ministerstwo zaapelowało o podjęcie przez UNESCO i inne organizacje działań mających przeciwdziałać nielegalnemu obrotowi dobrami kultury. Powinno się także – podkreślano – odmawiać współpracy z muzeami i innymi rosyjskimi instytucjami.

SYMBOLEM POSTAWY rosyjskich muzealników może stać się dyrektor Ermitażu Michaił Piotrowski, przez lata postrzegany jako symbol otwartości Rosji. Tymczasem teraz Piotrowski przyznał, że realizowane przez nich projekty mogą służyć zawładnięciu ukraińską przestrzenią kultury, a nawet być – jak to określił w głośnym wywiadzie udzielonym w czerwcu dla rządowej „Rossijskoj Gaziety" – nazwane „kulturalną operacją specjalną". W rozmowie tej Piotrowski poparł politykę Putina, ogłaszając z dumą: „Wszyscy jesteśmy militarystami i imperialistami".

W tej wojnie – co pokazuje przykład Ermitażu – także instytucje kultury stają się „wspólnikami" rządzących, pomagają w uzasadnianiu ich działań. Oraz mogą posłużyć – czego boją się ukraińskie władze – do „legalizowania" skradzionych przez Rosję dzieł sztuki. ©

Cesarz Bośni

DARIUSZ KAŁAN Z SARAJEWA

Poparcie w Bośni i Hercegowinie dla integracji z Unią Europejską jest najwyższe od lat. A jednak najważniejszy zagraniczny urzędnik w tym kraju robi wiele, żeby zniechęcić Bośniaków do Zachodu.

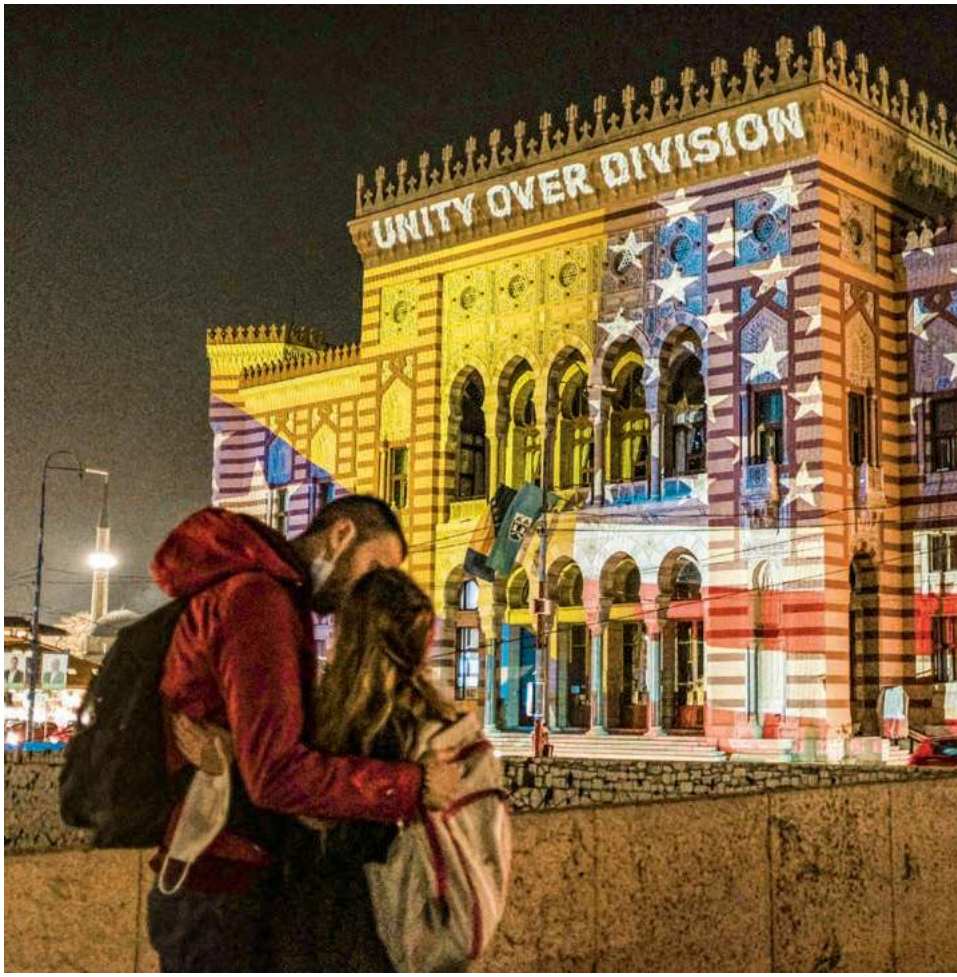

Christian Schmidt, wysoki przedstawiciel dla Bośni i Hercegowiny, stracił głowę.

Początkowo miejscowych irytował jego styl: publiczne wybuchy gniewu i łajanie dziennikarzy, porównywanie się do austriackiego cesarza Franciszka Józefa, który zaanektował Bośnię w 1908 r., i opowiadanie, że Bośniacy na ulicach Sarajewa reagują na niego jak na gwiazdę popu. Jeśli coś go łączy z cesarzem i celebrytą – przekonywali jego krytycy – to wielka władza i arogancja.

Do stylu doszły działania. Dosłownie kilka minut po zamknięciu lokali wyborczych – w czasie wyborów, które odbyły się tu na początku października – Schmidt skorzystał ze swych szczególnych kompetencji i wprowadził pakiet nowelizacji do prawa wyborczego Bośni oraz konstytucji Federacji Bośni i Hercegowiny (FBiH), jednego z dwóch entitetów (części składowych) w tym kraju. Według jego przeciwników owa bezprecedensowa zmiana zasad gry przed ogłoszeniem wyników wzmocni siły odśrodkowe i nacjonalistyczne.

Słowa cesarza

65-letni Schmidt nie był oczywistym kandydatem na wysokiego przedstawiciela, czyli najwyższej władzy politycznej w Bośni oraz strażnika układu pokojowego z Dayton, który zakończył krwawą wojnę domową w tym kraju (1992-1995).

Ten były minister ds. żywności i rolnictwa oraz długoletni wiceminister obrony w rządach Angeli Merkel został mianowany w 2021 r. po ponad trzech dekadach posłowania w Bundestagu.

Siedząc w ponurym pokoju dla mediów, na parterze siedziby wysokiego przedstawiciela nad rzeką Miljacka, miękkim głosem i z silnym niemieckim akcentem wyjaśnia, że jego słowa o Franciszku Józefie zostały źle zinterpretowane. Żeby podkreślić, iż nie zamierza ulegać niczyim wpływom, zacytował jedynie słowa cesarza, który miał rzekomo powiedzieć: „Jeśli wszyscy moi poddani są ze mnie w równym stopniu niezadowoleni, oznacza to, że byłem dobrym władcą".

– A ludzie naprawdę zaczepiają mnie na ulicy – mówi mi Schmidt. – Robią sobie ze mną zdjęcia i mówią: jeśli ty dzisiaj wyjedziesz, ja wyjadę jutro. Tak niski jest poziom zaufania do miejscowych elit.

Schmidt upiera się też, że jego pakiet poprawek był niezbędny. Jego celem – wyjaśnia – jest usprawnienie funkcjonowania instytucji FBiH.

– W FBiH nie mieliśmy rządu przez cztery lata, nie było prezydenta przez cztery lata – mówi wyraźnie poruszony, odnosząc się do jednego z wielu kryzysów w FBiH, która jest zamieszkana głównie przez Boszniaków i Chorwatów. – Moim zamiarem było odblokowanie państwa.

Siła słabych, słabość silnych

Bośnia i Hercegowina – kraj dwóch entitetów, choć etnicznie podzielony między trzy narody konstytutywne: Boszniaków (muzułmanów), Chorwatów (rzymskich katolików) i Serbów (prawosławnych); ci ostatni mieszkają w drugim entitecie, Republice Serbskiej – ma jedną z najbardziej skomplikowanych struktur zarządzania na świecie.

Ma trzyosobowe prezydium, złożone z wybieranych w wyborach bezpośrednich przedstawicieli trzech grup etnicznych, dwuizbowy parlament z posłami wybieranymi w głosowaniu powszechnym i przez parlamenty lokalne, a także dziesięcioosobową Radę Ministrów z dwoma wicepremierami reprezentującymi inne grupy etniczne niż premier. Oba entitety, czyli FBiH i Republika Serbska, mają też swoich własnych prezydentów, rządy i parlamenty.

Tak duża decentralizacja władzy jest jednym z powodów kłopotów Bośni. Od

KEMAL SOFTIC / AP / EAST NEWS

Biblioteka Narodowa w Sarajewie w barwach bośniackich i amerykańskich po ogłoszeniu zwycięstwa Joego Bidena w wyborach prezydenckich w USA, 8 listopada 2020 r.

blisko trzech dekad kraj ten boryka się z korupcją, słabymi instytucjami, wysokim bezrobociem i masową emigracją. Jest obiektem ingerencji Rosji i Chin, a także sąsiedniej Chorwacji, wspierającej dążenia bośniackich Chorwatów, którzy chcieliby wydzielenia dla nich osobnego, trzeciego entitetu. Z kolei władze Republiki Serbskiej, związane z Moskwą, otwarcie mówią o secesji.

Przez krytyków Schmidt jest oskarżany o uleganie wpływom Chorwatów i Serbów oraz lekceważenie sił, które chciałyby widzieć Bośnię z wydolniejszymi ośrodkami centralnymi i zorientowaną na wzmacnianie wartości demokratycznych, a tym samym bliżej NATO i Unii Europejskiej. Zagrzeb i Belgrad od dawna inwestują w swoich rodaków i promują własną wizję bolesnej przeszłości. W przeciwieństwie do środowisk probośniackich mają też dobrze zorganizowaną siatkę lobbingową na Zachodzie.

Zbyt duża bliskość?

Pakiet zmian wprowadzony przez Schmidta – obejmował m.in. zwiększenie liczby członków klubów parlamentarnych poszczególnych narodów konstytutywnych z 17 do 23 w wyższej izbie parlamentu FBiH oraz podniesienie progu wyborczego przy wyborze prezydenta i wiceprezydentów FBiH – zaspokajał długoletnie żądania bośniackich Chorwatów. Ich lider Dragan Čović od dawna grozi wyprowadzeniem ludzi na ulice i rozbiciem dotychczasowej struktury kraju.

Z analizy udostępnionej mi przez wysokiego rangą europejskiego dyplomatę wynika, że w efekcie nowelizacji Schmidta stworzenie w przyszłości rządu FBiH nie będzie możliwe bez udziału Chorwatów, niezależnie od ich wyników wyborczych.

Ów dyplomata twierdzi, że związki Schmidta z Chorwacją są tajemnicą poliszynela. Kilka miesięcy przed nominacją Schmidt przyjął Order Antego Starčevicia – jedno z najwyższych odznaczeń państwowych przyznawanych za wkład w rozwój państwa chorwackiego, które wcześniej otrzymały także osoby skazane za zbrodnie wojenne. Rodzima partia Schmidta, bawarska Unia Chrześcijańsko-Społeczna (CSU), utrzymuje zaś bliskie relacje z rządzącą w Zagrzebiu Chorwacką Wspólnotą Demokratyczną (HDZ).

– W Bośni wielu wyborców faworyzuje swoje własne klany – mówi dyplomata, prosząc o zachowanie anonimowości. – Ale sformalizowanie i zrobienie z tego prawa jest bolesne dla tych, którzy wciąż wierzą w Bośnię jako jedno państwo i chcą ją widzieć jako normalną demokrację, europejską i obywatelską. To szkodliwa i destrukcyjna decyzja.

Toksyczne elity

Schmidt sam siebie nazywa pragmatykiem, a swoich przeciwników – salonem albo sarajewską bańką. Na ich oskarżenia odpowiada: – To absolutny nonsens, nieprawdopodobnie błędna ocena sytuacji.

– Mechanizmy wzajemnej kontroli i równowagi wdrożone w Dayton są wykorzystywane jako środki blokujące normalne funkcjonowanie państwa – tłumaczy. – A państwo musi działać. Zmiany w najmniejszym stopniu nie faworyzują Chorwatów. Co więcej, ich znaczenie zostało wyolbrzymione przez różne siły. W tym kraju teorie spiskowe są dla wielu religią.

Za chaos i złą sytuację gospodarczą w Bośni i Hercegowinie można obwiniać wielu aktorów: sąsiadów Bośni, którym zależy na pogłębianiu podziałów i dalszym osłabianiu instytucji w tym kraju, ale także zachodnie rządy i samego wysokiego przedstawiciela.

Ale według Schmidta największe błędy popełniają bośniackie elity i obywatele.

– Łatwo obwiniać społeczność międzynarodową – twierdzi. – Jednak za to, co dzieje się w Bośni, odpowiadają ci dorośli ludzie, politycy... Ktoś mi powiedział: nie jesteśmy jednym krajem, jesteśmy trzema państwami jednopartyjnymi. Jest w tym dużo prawdy. Każdy zajmuje się swoim interesem i swoją grupą. A apatia obywateli jest niesamowita... Nigdy nie widziałem kraju, w którym przepaść między elitami a zwykłymi ludźmi byłaby tak duża.

– My nie będziemy budować narodu – dodaje. – Nie udało się to ani w Iraku, ani w Afganistanie.

Owa apatia była widoczna choćby w reakcji na decyzje Schmidta. Mieszkańcy Sarajewa zebrali się przed siedzibą wysokiego przedstawiciela, żądając wycofania poprawek i jego dymisji. Ale protesty nie były liczne i nie trwały długo, a wśród demonstrantów dostrzegalny był brak młodych ludzi.

Według politologa Hamzy Karčicia to skutek niskiej jakości życia w Bośni. – Czterech moich kuzynów wyjechało z rodzinami za pracą – mówi Karčić. – Chodzenie na protesty to ostatnia rzecz, jaką ludzie mają tu na głowie.

Dodaje, że chociaż Bośniacy jednoznacznie popierają integrację z Unią (92 proc. Boszniacy, 95 proc. Chorwaci i 64 proc. Serbowie w badaniu NDI z 2021 r.) i w pewnym stopniu z NATO (90 proc. Boszniacy, 92 proc. Chorwaci, ale tylko 12 proc. Serbowie), polityka i wypowiedzi Schmidta raczej ich do Zachodu zniechęcają. – Z lokalnymi mediami właściwie nie rozmawia. Odgrodził się od ludzi. Dla wielu jest uosobieniem arogancji – uważa politolog.

Jak najdalej od nagłówków

Rządy USA i Wielkiej Brytanii publicznie poparły poprawki Schmidta. Wpisują się one bowiem w długoletnią strategię Zachodu utrzymywania równowagi między ↦

DARIUSZ KAŁAN

Christian Schmidt na tarasie biura wysokiego przedstawiciela w Sarajewie, listopad 2022 r.

trzema głównymi grupami etnicznymi, żeby żadna nie narzuciła swojej woli pozostałym.

Zwolennicy tej polityki twierdzą, że pomogła uniknąć ponownego rozlewu krwi i stworzyła z Bośni kraj w miarę stabilny i bezpieczny, któremu przez blisko 30 lat udało się uchronić od konfliktów zagrażających jego istnieniu.

Natomiast dla przeciwników stabilizacja oznacza nic innego jak bierność, tchórzostwo i zaspokajanie żądań najsilniejszych graczy – żeby trzymać Bośnię jak najdalej od nagłówków w czołowych światowych mediach.

– Ta naiwna polityka doprowadziła nas do punktu, w którym się obecnie znajdujemy – mówi mi politolog Jasmin Mujanović. – Efektem stabilizacji jest bowiem to, że lokalne elity otwarcie grają przeciwko zachodnim interesom. Dodik jest tak potężny jak nigdy, Vučić zmienił Serbię w *de facto* jednopartyjne państwo, a Chorwacja pod rządami Plenkovicia od kilku lat notuje demokratyczny regres. Bośnia zaś ma znikome szanse na wejście do NATO i Unii.

Milorad Dodik to długoletni lider Republiki Serbskiej, Aleksandar Vučić jest prezydentem Serbii, a Andrej Plenković – premierem Chorwacji i przewodniczącym HDZ. To on wręczył Schmidtowi Order Antego Starčevicia.

Ułuda stabilizacji

Dla przedstawicieli „sarajewskiej bańki", takich jak politolog Mujanović, szokiem okazała się szczególnie postawa USA. W latach 90. XX w. ówczesny senator Joe Biden był postrzegany jako „jastrząb". Opowiadał się za interwencją amerykańską w Bośni i na długo przed werdyktami Trybunału ONZ nazywał Radovana Karadžicia i Ratka Mladicia, liderów bośniackich Serbów, zbrodniarzami wojennymi, a zbrodnie popełnione na bośniackich muzułmanach – ludobójstwem.

Mieszkańcy Bośni popierają integrację z UE:
chce tego 92 proc. Boszniaków, 95 proc. Chorwatów i 64 proc. Serbów.

– Moim błędem było utożsamianie obecnego Bidena z tamtymi czasami i ignorowanie jego działań, gdy był wiceprezydentem u Baracka Obamy – przyznaje Mujanović. Bo to właśnie duet Obama-Biden przeniósł ciężar zainteresowania zagranicznego Stanów z Europy ku Azji. Jeśli Waszyngton angażował się w Bałkany Zachodnie, to w zasadzie tylko w dialog między Serbią a Kosowem.

Zdaniem Mujanovicia prawdziwą stabilizację tworzy się poprzez wzmacnianie silnych i transparentnych instytucji, niezależnych sądów, infrastruktury i generalnie tworzenie z Bośni kraju, z którego młodzi by nie uciekali.

– Oczywiście to trudny i długotrwały proces – przyznaje Mujanović. – Łatwiej jest wyjść naprzeciw żądaniom krzykaczy, na zasadzie: „czego chcesz, żebyś się wreszcie zamknął i dał nam spokój?".

Tak albo nie

Zarówno działania Schmidta, jak i lekceważący ton, w jakim wypowiada się o Bośniakach, prowokują pytania, czy jeden niewybieralny zagraniczny administrator nadal powinien mieć tak dużą władzę nad całym krajem.

Wysoki przedstawiciel, który odpowiada przed Radą Wdrożenia Pokoju (PIC) – organem składającym się z ponad 50 państw i agencji – może dymisjonować urzędników oraz w przypadku, gdy lokalne partie wydają się niezdolne albo niechętne do działania, podejmować za nie wiążące decyzje.

Zdaniem Irfana Čengicia, posła do parlamentu FBiH i sekretarza generalnego Socjaldemokratycznej Partii Bośni i Hercegowiny (SDPBiH), stanowisko niezależnego arbitra jest nadal potrzebne. – Dopóki w Bośni działają siły służące interesom Władimira Putina, grożące rozpadem Bośni i gotowe rozpocząć nowy konflikt zbrojny – mówi mi Čengić. – Ale nie wolno utożsamiać wysokiego przedstawiciela ze Schmidtem, który jako dyplomata i prawicowy polityk źle wykonuje swoje obowiązki.

Politolog Karčić: – Wielu uważa, że Schmidt robi wszystko wbrew podstawowej idei swojej pracy, którą powinno być wzmacnianie struktur państwowych i osłabianie polityki etnicznej.

Dyplomata z kraju europejskiego: – To, że w kontekście Schmidta używa się sformułowań typu „władza imperialna" albo „władza kolonialna", pokazuje, w jakim punkcie się znaleźliśmy.

Politolog Mujanović: – On ma bardzo cienką skórę, a to nie jest praca, w której można mieć cienką skórę. Nie wydaje się emocjonalnie przygotowany do stanowiska o takim ciężarze.

Ale Christian Schmidt nie zwraca uwagi na krytykę. Wydaje mu się, że znalazł swoją własną formułę funkcjonowania w Bośni. – Kompromis jest tutaj postrzegany jako oznaka słabości – mówi mi. – Musisz być w stu procentach na tak albo w stu procentach na nie.

© DARIUSZ KAŁAN

Artykuł powstał w ramach BIRN's Reporting Democracy Travel and Reporting Programme.

PIB PHO / PRESS INFORMATION BUREAU / FORUM

Uczestnicy szczytu G20 oglądają zrekultywowany las namorzynowy w Denpasar, Bali, 16 listopada 2022 r.

Przyszłość decyduje się w Azji

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z PHNOM PENH I BANGKOKU

Na serię spotkań światowych przywódców wybrano dziś stolice Azji Południowo-Wschodniej. To symboliczne: w czas kryzysów i konfliktów ten region – uzależniony od globalnego handlu – mocno stawia na kompromis.

W ostatnich dwóch tygodniach w klimatyzowanych salach konferencyjnych, w tropikalnej scenerii, debatowały dziesiątki międzynarodowych delegacji.

Szczyt państw grupy G20 w kurorcie Nusa Dua na indonezyjskiej wyspie Bali, forum Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku (APEC) w Bangkoku oraz spotkanie Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN) w stolicy Kambodży Phnom Penh – dla wielu światowych polityków były pierwszą od wybuchu pandemii okazją do bezpośredniego spotkania.

Liderzy – reprezentujący 90 proc. potencjału światowej gospodarki i ponad dwie trzecie ludności globu – mieli wiele do przedyskutowania. W dodatku w skrajnie niesprzyjających okolicznościach: zebrali się w czasie największego kryzysu gospodarczego od 2008 r., któremu towarzyszy kryzys energetyczny, żywnościowy, a także militarny – rosyjska agresja przeciw Ukrainie, która w taki czy inny sposób absorbuje przecież nie tylko Europę i Stany Zjednoczone.

Obecni i nieobecny

Lista obecności była długa. Zacznijmy od najważniejszych: amerykański prezydent Joe Biden, chiński przywódca Xi Jinping, premier Indii Narendra Modi, niemiecki kanclerz Olaf Scholz, szef brytyjskiego rządu Rishi Sunak oraz francuski prezydent Emmanuel Macron.

W salach obrad, przy stołach negocjacyjnych i w czasie wspólnych posiłków towarzyszyli im przywódcy dziewięciu państw regionu – w tym Indonezji, Wietnamu, Tajlandii, Singapuru i Filipin – oraz liderzy Australii, Japonii, Kanady, Korei Południowej, Nowej Zelandii, Arabii Saudyjskiej, Turcji oraz Włoch. A także sekretarz generalny ONZ António Guterres, szefowa Międzynarodowego Funduszu Walutowego Kristalina ↦

↦ Georgiewa i przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Zabrakło przede wszystkim jednej osoby: prezydenta Rosji Władimira Putina.

O czym rozmawiano? Najkrócej: o najbardziej palących sprawach – o zmianach klimatu, inflacji i wywołanym przez rosyjską inwazję na Ukrainę globalnym wzroście cen żywności oraz energii, o systemie ochrony zdrowia i odbudowie gospodarek po pandemii koronawirusa.

Nie mogło się obejść także bez dyskusji o rywalizacji na Morzu Południowochińskim i sporze wokół Tajwanu, który Chiny uważają za część swojego państwa, oraz o sytuacji w terroryzowanej przez brutalny wojskowy reżim Birmie. Jakby tego było mało, w czasie, gdy światowi liderzy mieli się skupić na gospodarce, Rosja rozpoczęła kolejne zmasowane ataki rakietowe na Ukrainę, a Korea Północna przeprowadziła próbę pocisku balistycznego, który spadł do morza w pobliżu Japonii.

Choć spotkania były okazją do redukcji napięć i złożenia deklaracji dobrej woli, zwłaszcza ze strony największych mocarstw, to do rozwiązania problemów było i jest nadal daleko. Ale same rozmowy również mają wartość – czego najlepszym chyba przykładem było spotkanie Bidena i Xi, przywódców dwóch najważniejszych globalnych rywali.

Nowa Azja

Azja Południowo-Wschodnia – gdzie obradowali światowi przywódcy – to region położony pomiędzy Indiami, Chinami oraz Australią, i liczący blisko 700 mln mieszkańców. Jej wielomilionowe stolice są świetnie skomunikowane, pełne centrów handlowych, otwarte na wizyty gości i inwestorów. Wiele z nich oferuje mieszkańcom poziom usług publicznych dorównujący zachodnim metropoliom, choć z rozwoju gospodarczego w ostatnich dziesięcioleciach korzystają głównie najbogatsi.

Mimo że w regionie zaostrza się współzawodnictwo Stanów Zjednoczonych i Chin – konkurujących o kontrolę nad rozwijającymi się rynkami, zasobami i szlakami handlowymi – jego żyjące z handlu elity bynajmniej nie chcą wybierać między Waszyngtonem a Pekinem. Miejscowi politycy i biznesmeni często tłumaczą, że mają zbyt wiele korzyści z pokoju, relatywnej stabilności i możliwości robienia interesów ze wszystkimi.

Owoce takiej polityki widać gołym okiem. Choć kraje regionu mocno odczuły skutki globalnej zarazy, to Azjatycki Bank Rozwoju przewiduje, że w najbliższych latach będą się rozwijały w tempie około 5 proc. rocznie.

Niemal we wszystkich krajach Azji Południowo-Wschodniej rosną wieżowce, powstają porty, nowe linie kolei i metra, wydłużają się autostrady. W malezyjskim Kuala Lumpur oddano właśnie do użytku Merdeka 118 – drugi najwyższy budynek na świecie (po wzniesionej w Dubaju Burj Khalifa). Sąsiednia Indonezja testuje kolej wysokich prędkości i przygotowuje budowę nowej stolicy na wyspie Borneo. W Kambodży, Wietnamie i na Filipinach powstają kolejne międzynarodowe lotniska, a Singapur w porcie lotniczym Changi buduje piąty terminal, mający obsługiwać dodatkowe 50 mln pasażerów rocznie.

Według Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych (IATA) Azja jako całość już teraz jest regionem o największej liczbie międzynarodowych połączeń lotniczych – i wyprzedza pod tym względem Amerykę Północną (choć USA pozostają światowym numerem jeden jako kraj) oraz Europę.

Łatwo tu dotrzeć, zatem region przyciąga zarówno inwestorów, jak też turystów i ekspatów z całego świata.

Indonezja wyprzedza Niemcy

Równie obiecująco rysuje się przyszłość.

Według długoterminowych prognoz region ten będzie się coraz bardziej liczył na świecie, zwłaszcza gospodarczo. Jeszcze przed pandemią bank Standard Chartered przewidywał, że w 2030 r. Indonezja będzie czwartą największą gospodarką świata – po Chinach, Indiach i USA, a – uwaga – przed Niemcami. Z kolei według firmy doradczej PwC do połowy XXI wieku Pakistan, Malezja, Filipiny i Wietnam prześcigną – pod względem PKB według parytetu siły nabywczej – m.in. Polskę, Australię i Hiszpanię.

Obecną serię międzynarodowych spotkań gospodarze starali się więc wykorzystać także wizerunkowo: pokazując, że są wschodzącymi gospodarkami, łatwo radzącymi sobie z kryzysem i otwartymi na biznes.

I tak, Indonezja, goszcząca na wyspie Bali przywódców grupy G20, stara się pokazać jako odpowiedzialne na arenie międzynarodowej państwo, gotowe do pomocy w rozwiązywaniu światowych konfliktów. Latem jej prezydent Joko Widodo odwiedził Kijów i Moskwę, oferując mediacje między Rosją a Ukrainą. Indonezyjska minister spraw zagranicznych Retno Marsudi podkreślała, że różnice należy wyjaśniać przy stole negocjacyjnym, a nie na polu bitwy. Nie przyniosło to jednak oczekiwanych skutków.

W czasie szczytu przywódców Dżakarta próbowała skupić się na innych kwestiach, takich jak klimat, współpraca energetyczna, łańcuchy dostaw żywności, zdrowie i cyfryzacja. Joko Widodo wezwał gości do współpracy i jedności wobec problemów światowej gospodarki, mimo głębokich podziałów.

Ale konflikt w Europie Wschodniej i tak zdominował rozmowy.

Ławrow wyjeżdża przedwcześnie

Wśród przywódców, którzy przylecieli do Azji, nie było Putina. Na Bali i w Bangkoku reprezentował go szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow. W czasie szczytu odtworzono nagrane wcześniej wystąpienie prezydenta Zełenskiego – choć Ławrow twierdził, że sprawa Ukrainy leży poza agendą spotkania i kompetencjami G20, oraz powtarzał jak mantrę oskarżenia, jakoby to Zachód rozpętał wojnę hybrydową, wspierając rzekomo „neonazistowski" rząd w Kijowie. Przez państwa G20 rosyjski minister był izolowany i indonezyjski kurort opuścił przed zakończeniem spotkań – dokładnie wtedy, gdy rozpoczął się zmasowany atak rakietowy na Ukrainę.

Ostatecznie przyjęto deklarację potępiającą rosyjską inwazję na Ukrainę, domagając się bezwarunkowego wycofania rosyjskich wojsk i krytykując groźby Moskwy użycia broni nuklearnej. W deklaracji dodano, że choć większość członków G20 potępiła wojnę, jako przyczyniającą się do ludzkiego cierpienia i pogłębiającą trudności światowej gospodarki, to „wyrażone zostały inne poglądy i rozmaite oceny sytuacji oraz sankcji". Takie poglądy wyraziła Rosja, a także Chiny i Indie.

Mimo to przesłanie G20 było zdecydowanie porażką Rosji.

Chiny-USA: trochę cieplej

Wśród najważniejszych wydarzeń na szczycie G20 było spotkanie amerykańskiego prezydenta Joego Bidena i chińskiego przywódcy Xi Jinpinga. Choć nie

SAUL LOEB / AFP / EAST NEWS

Prezydenci Chin Xi Jinping i USA Joe Biden po spotkaniu na szczycie G20 w Nusa Dua. Bali, 14 listopada 2022 r.

doszło do przełomu w sprawie statusu Tajwanu, Morza Południowochińskiego ani wojny handlowej, to komentatorzy uznali samo spotkanie za zapowiedź pewnego ocieplenia relacji między mocarstwami, które uzgodniły unikanie konfrontacji i utrzymanie otwartych kanałów komunikacji.

W przyszłym roku z wizytą do Pekinu ma się udać sekretarz stanu USA Antony Blinken. Uzgodniono też wznowienie współpracy klimatycznej. Po rozmowach, odpowiadając na pytania dziennikarzy, Biden stwierdził, że nowa zimna wojna nie jest konieczna. Z kolei chińskie MSZ cytowało w komunikacie przekaz Xi, który stwierdził, iż Ziemia jest wystarczająco duża, by mogły się na niej rozwijać zarówno Chiny, jak i Stany Zjednoczone (oprócz Bidena Xi spotkał się także m.in. z przywódcami Australii, Korei Południowej, Kanady, Francji, Singapuru oraz Japonii – odczytano to jako próbę naprawy nadszarpniętych stosunków).

Li Keqiang otwiera autostradę

Państwa grupy G20 zgodziły się, że będą jedynie ostrożnie podnosić stopy procentowe, aby uniknąć skutków ubocznych dla gospodarki, i ostrzegły przed niestabilnością walut. Zapowiedziały też pomoc tzw. gospodarkom wschodzącym i silniejsze ukierunkowanie pakietów stymulujących ekonomię, aby ograniczyć inflację. Porozumiały się w sprawie ograniczenia globalnego wzrostu temperatur do 1,5 stopnia Celsjusza, potwierdzając zobowiązanie z porozumienia paryskiego, które weszło w życie w 2015 r. Indonezja uzyskała obietnicę przekazania 20 mld dolarów ze środków publicznych i prywatnych, które mają jej pomóc w zamknięciu elektrowni węglowych.

Z kolei głównym tematem forum ekonomicznego w Bangkoku był światowy handel, strukturalne reformy gospodarki i odbudowa łańcuchów dostaw, zwłaszcza towarów pierwszej potrzeby oraz szczepionek. Prezydenta Bidena w Tajlandii zastąpiła wiceprezydentka Kamala Harris, która z tajlandzkim premierem rozmawiała o kryzysie klimatycznym, transformacji energetycznej i sytuacji w sąsiedniej Birmie. Później poleciała do Manili, by dyskutować o współpracy obronnej oraz o chińskich roszczeniach do należących do Filipin wód Morza Południowochińskiego.

Tymczasem Chiny sygnalizują, że konflikty z innymi Azjatami chcą rozwiązywać na drodze negocjacji i kontynuować swoją agendę budowy infrastruktury w ramach Inicjatywy Pasa i Szlaku. Drugi najważniejszy chiński polityk, premier Li Keqiang, symbolicznie otworzył w Kambodży zbudowaną przez jego rodaków autostradę.

Azjatycka neutralność

W deklaracji opublikowanej po szczycie w Phnom Penh państwa ASEAN (Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej) dwukrotnie powołały się na Kartę Narodów Zjednoczonych i Konwencję Narodów Zjednoczonych o prawie morza (UNCLOS). To sygnał, który Wietnam, Filipiny i Malezja chciały wysłać Chinom: że konsekwentnie nie zgadzają się na roszczenia terytorialne Pekinu na Morzu Południowochińskim, które obejmują ich wyłączne strefy ekonomiczne, i że chcą, aby Chińczycy trzymali się tu międzynarodowych regulacji.

Równocześnie jednak kraje regionu są podzielone w swoich poglądach na niemal wszystko: nie tylko działania Chin na spornych wodach i ich inwestycje gdzie indziej w Azji, ale także na konflikt zbrojny na wschodzie Europy i na współpracę z juntą w sąsiedniej Birmie (birmańskich generałów wykluczono z udziału w spotkaniach ASEAN).

W czasie październikowego głosowania w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ większość z nich potępiła co prawda rosyjską aneksję regionów na wschodzie Ukrainy, ale Wietnam, Laos i Tajlandia wstrzymały się od głosu. Choć Phnom Penh odwiedził ukraiński minister spraw zagranicznych Dmytro Kuleba i podpisał traktat o przyjaźni i współpracy z państwami bloku, nie będzie to oznaczało, że którekolwiek z tych państw – poza Singapurem, który dołączył do międzynarodowych sankcji przeciwko Rosji – opowie się jednoznacznie po stronie Kijowa.

Jak na pragmatycznych handlarzy przystało – Azjaci będą zabiegali o rosyjskich turystów. Rosja traktowana jest tu zresztą jako wiarygodny partner w przemyśle obronnym, źródło tanich surowców, a często także – sojusznik polityczny. Także chińskie pieniądze są witane z otwartymi ramionami.

■■■

Niezależnie od rezultatu potyczek między globalnymi zawodnikami wagi najcięższej, kraje Azji Południowo-Wschodniej będą starały się utrzymać neutralność – jednocześnie coraz częściej zajmując miejsca w gremiach, w których zapadają najważniejsze dla świata decyzje. Przyszłość pokaże, czy staną się, zgodnie z własnymi oczekiwaniami, alternatywną wobec Chin i Indii lokomotywą rozwoju na największym kontynencie. Na drodze mogą stanąć korupcja i autorytarne zapędy niektórych rządów.

Co do tego, że azjatycka sztuka unikania konfliktu na arenie międzynarodowej okaże się efektywniejsza niż wygrażanie sąsiadom atomowym straszakiem, raczej nie ma wątpliwości.

I to również jest nauczka, jaką „nowa Azja" wynosi z obecnych kryzysów.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

HISTORIA

Albania: nadzieje i rozczarowania okresu transformacji

W momencie rozpoczęcia tu przemian demokratycznych w 1991 r. Albania była jednym z najbardziej izolowanych, a zarazem jednym z najbiedniejszych państw Europy.

W trakcie swoich rządów, trwających ponad 40 lat, przywódca komunistycznej Albanii Enver Hoxha (1908-85) sukcesywnie zrywał kontakty z kolejnymi sojusznikami – Jugosławią (1948 r.), Związkiem Sowieckim (1968 r.) oraz Chińską Republiką Ludową (1978 r.), oskarżając te państwa o „odchylenia liberalne". Albania – wedle jej przywódców – stała się jedynym obrońcą „prawdziwego" komunizmu, otoczonym przez wrogów, przed którymi społeczeństwo miał chronić system budowanych w całym kraju bunkrów, będących obecnie jednym ze znaków rozpoznawczych tego państwa. Natomiast dla własnych obywateli Albania była „więzieniem na świeżym powietrzu", gdzie za bezwzględną kontrolę społeczeństwa odpowiadała tajna policja Sigurimi.

Dyktatura przeżyła swego twórcę o sześć lat: w 1991 r. brutalność komunizmu zastąpiono gwałtowną transformacją, której kulminacją była fala przemocy i załamanie się struktur państwowych po upadku piramid finansowych w 1997 r. Choć dziś niespełna trzymilionowa Albania jest członkiem NATO i aspiruje do wstąpienia do Unii Europejskiej, to pozostaje jednym z najbiedniejszych państw Europy, a aż jedna trzecia jej obywateli przebywa na emigracji.

Dzieciństwu w okresie schyłkowego komunizmu i dorastaniu w czasie transformacji jest poświęcona autobiograficzna książka „Wolna. Dzieciństwo i koniec świata w Albanii" autorstwa Lei Ypi – urodzonej w 1979 r. w Tiranie, dziś filozofki i wykładowczyni London School of Economics. Wydana po angielsku w 2021 r., w Polsce ukazała się niedawno nakładem Czarnego w przekładzie Krzysztofa Środy.
© MARTA SZPALA

GŁOS ALBAŃSKIEGO POKOLENIA

LEA YPI, FILOZOFKA:

Moje życie było podzielone na pół. Pierwszą część naznaczył komunizm, drugą liberalna transformacja. Oba systemy okazały się porażką, zwłaszcza na poziomie społecznym.

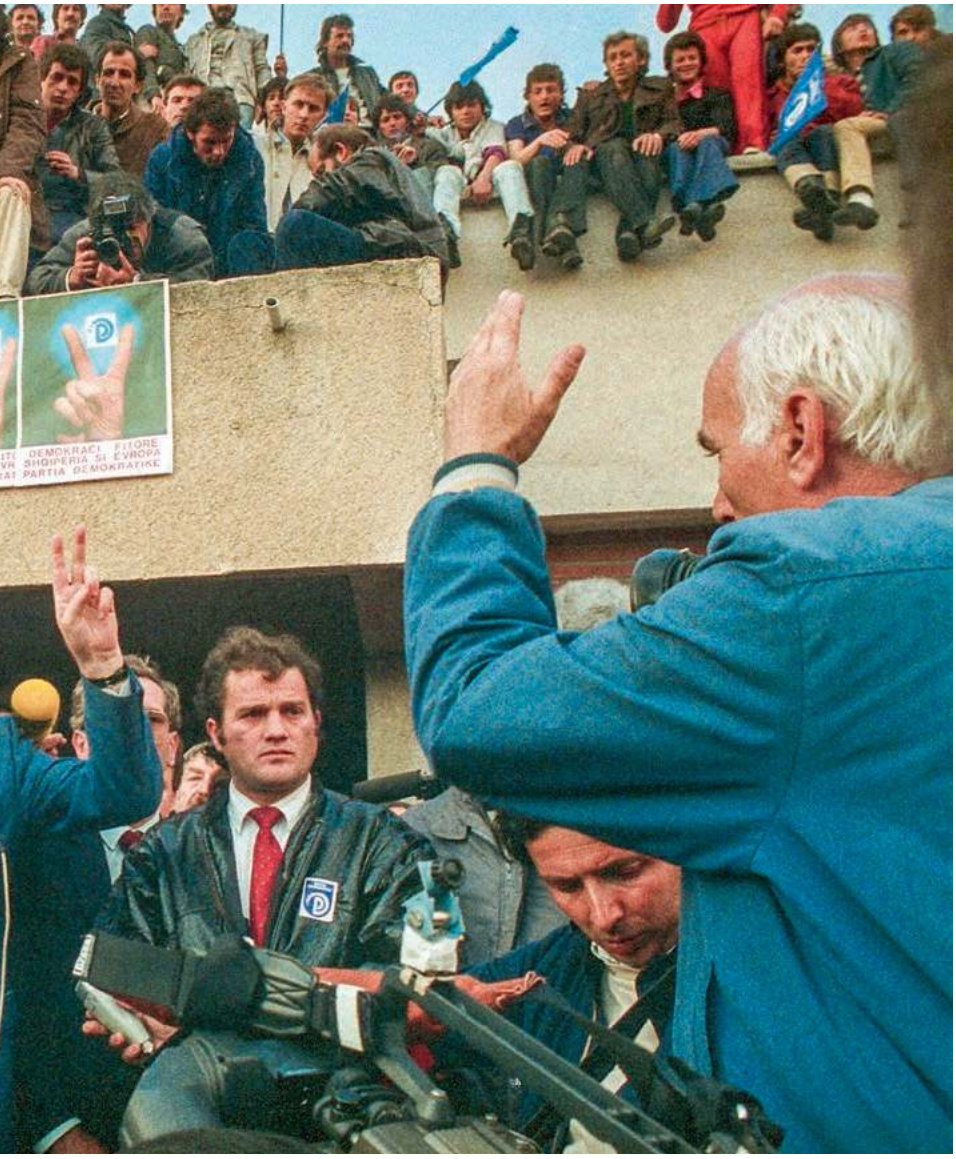

TOMASZ WIERZEJSKI / FOTONOVA

Sali Berisha, przywódca opozycyjnej Demokratycznej Partii Albanii (były członek partii komunistycznej, a później prezydent i premier kraju), przemiawia na wiecu w Tiranie, 1 kwietnia 1991 r.

MARTA SZPALA: Twoja książka jest zapisem doświadczenia bliskiego całej mojej generacji – dzieci transformacji, które obserwowały upadek starego świata, a potem musiały się dostosować do nowego. W Twoim przypadku to zerwanie było dramatyczne, byłaś wychowana w kulcie komunistycznego wodza Envera Hoxhy. Choć równocześnie Twoja rodzina miała, jak to określasz, wyjątkowo „złą" biografię.

LEA YPI: Mój pradziadek Xhafer Ypi był przed II wojną światową premierem Albanii, a moja matka wywodziła się z rodziny przedwojennej albańskiej arystokracji, której komuniści odebrali cały majątek. Cała rodzina doświadczyła bardzo okrutnych represji. Pradziadek, domniemany wróg ludu, aby uniknąć tortur, popełnił samobójstwo. Rodzice ukrywali to jednak przede mną, co pozwalało mi przekonywać kolegów, iż wcale nie jestem spokrewniona ze znienawidzonym przez reżim politykiem. Jedyną nicią łączącą mnie z tamtym światem był fakt, że babcia mówiła do mnie po francusku. Ja sama byłam gorącą zwolenniczką Hoxhy i bardzo chciałam mieć w domu jego fotografię, od czego rodzice starali się mnie odwieść.

W momencie przemian odkrywasz jednak, że całe Twoje dotychczasowe życie było oparte na kłamstwie. Jak po czymś takim odbudować zaufanie do najbliższych i świata?

Miałam bardzo dobre relacje z rodzicami, więc bardzo szybko zrozumiałam, że kłamali, by mnie ochronić. Przeglądając stare pamiętniki, zrozumiałam jednak, że przede wszystkim byłam zła, iż nie uważali mnie za wystarczająco inteligentną, by powiedzieć mi prawdę. Dopuścić do swojego kodu, do tajnego języka, który pozwalał rozmawiać o represjach reżimu bez narażania się na niebezpieczeństwo. O krewnych, którzy rzekomo poszli na uniwersytet, a w rzeczywistości trafiali do więzień, z których nie zawsze wracali. To doświadczenie spowodowało, że przestałam wierzyć w wielkie idee i stałam się wobec nich bardzo podejrzliwa. Jeśli przestajesz w coś wierzyć, to potem trudno uwierzyć w coś nowego.

Choć Twoja rodzina doświadczyła tak wiele, to Twoja książka jest daleka od jednoznacznych podziałów na dobre społeczeństwo i złych komunistów.

Bardzo często obwiniamy o zbrodnie i wypaczenia sam system. Dla mnie jednak było bardzo ważne, by pokazać, że niezależnie od okoliczności każdy z nas ma wybór. Nawet w represyjnym systemie ludzie mogą zachować sprawczość, a zarazem są odpowiedzialni za własne czyny. W naszym przypadku ważnym elementem tej sprawczości było poczucie wspólnoty i wzajemnej solidarności, i dzięki temu przeżyliśmy te trudne czasy.

Chciałam również odejść od takiego popularnego na Zachodzie paternalistycznego opisu społeczeństw komunistycznych przez pryzmat nędzy i niedoborów, który powoduje, że należy nam współczuć i pomagać, a zarazem pozbawia nas podmiotowości. Oczywiście brakowało nam wielu rzeczy, tęskniliśmy za dobrami materialnymi z Zachodu i cieszyliśmy się ich namiastkami w postaci papierków po gumach czy puszek. Jednocześnie to nie oznacza, że nie potrafiliśmy myśleć i nie próbowaliśmy się odnaleźć w tej rzeczywistości pełnej trudności i ograniczeń – tak aby jednak zachować godność. A nawet że nie byliśmy w tych czasach szczęśliwi.

System okazał się w rzeczywistości bardzo kruchy. Jeszcze wiosną 1991 r. obserwowałaś pochód pierwszomajowy, a już w grudniu komunizm w Albanii upadł. Ale impuls do przemian wyszedł z partii komunistycznej, nie ze społeczeństwa.

↦

ARCHIWUM RODZINNE LEI YPI x3

Dziadkowie Lei Ypi na nartach w Cortina d'Ampezzo. Włochy, lata 30. XX w.

Lea Ypi z mamą w Durrës, 1981 r.

System polityczny w Albanii był na tyle represyjny, że nie było szans na wykształcenie się jakiejkolwiek opozycji wobec władz. Osoby z pokolenia moich rodziców bardzo bały się angażować – oni już przegrali swoją walkę o wizję rozwoju państwa, zapłacili za nią latami „gułagu" i zesłaniem na margines społeczeństwa. Obawiali się, że to oni będą pierwszymi ofiarami, jeśli coś pójdzie nie tak. Moja mama zapisała się do partii już po przemianach demokratycznych, ale bała się o tym powiedzieć mojemu ojcu. Głównym motorem przemian była młoda generacja komunistów – najczęściej dzieci zasłużonych działaczy. To oni doprowadzili do rozpadu systemu. To kładzie się cieniem na ocenie samego demokratycznego przełomu, a także miało konsekwencje dla charakteru albańskiej transformacji, odczuwalne także dzisiaj.

Skala uwikłania społeczeństwa w komunistyczny system, a także utrzymanie się u władzy po 1991 r. byłych partyjnych aparatczyków spowodowały, że nigdy nie rozliczyliśmy poprzedniego systemu. Procesy zapewne pogłębiłyby polaryzację i podziały, wiązałyby się też z ogromnymi kosztami społecznymi – zbyt dużo ludzi należałoby postawić przed sądem. Łatwiej było więc uznać, że wszyscy jesteśmy ofiarami systemu i nikt nie jest winny – może oprócz garstki nieżyjących już przywódców politycznych. Wszyscy byliśmy poszkodowani, więc nikt nie był sprawcą. Nie było jasne, kto wspierał ten system, kto popełniał zbrodnie. Nie było też zadośćuczynienia dla prawdziwych ofiar reżimu.

Z bezkrytycznej wiary w Envera Hoxhę byli komuniści szybko przerzucili się na bezkrytyczne uwielbienie Zachodu.

W Albanii wciąż pokutuje naiwna wiara, że wszystko, co przychodzi z Zachodu, jest dobre. To chyba jest szerszy problem elit w państwach naszego regionu, które uwierzyły, że upadek komunizmu jest rzeczywiście końcem historii. Teraz wystarczy wdrożyć rekomendacje zachodnich konsultantów, dostosować się do liberalnych norm i wszystko będzie dobrze. Staniemy się prawowitą częścią Europy, a nasze problemy znikną. Bezkrytycznie przyjmowaliśmy zalecane nam terapie i nie kwestionowaliśmy narzucanych rozwiązań. Może gdybyśmy bardziej wierzyli w siebie i domagali się, by nasze lokalne uwarunkowania, struktura społeczna, charakter gospodarki zostały wzięte pod uwagę, to proces transformacji nie wiązałby się z tak ogromnymi kosztami społecznymi, wysokim bezrobociem, biedą.

W przypadku Albanii upadek komunizmu zaowocował także upadkiem wspólnoty. Etos współpracy i społecznej odpowiedzialności wobec słabszych został zastąpiony etosem dbania tylko o siebie oraz indywidualnej odpowiedzialności za własne porażki i sukcesy. Co więcej, masowa emigracja doprowadziła do rozpadu więzi społecznych i atomizacji społeczeństwa. Straciliśmy poczucie, że możemy na siebie nawzajem liczyć. Relacje społeczne, które pozwoliły nam przetrwać w czasie komunizmu, zostały teraz zastąpione przez wolny rynek. Każdy był kowalem swojego losu, a proszenie o pomoc stało się jednocześnie przyznaniem się do porażki. Nawet jeśli widzieliśmy ofiary nowego systemu, to uznawaliśmy, że są one za to osobiście odpowiedzialne – bo są zbyt mało pracowite, zbyt mało elastyczne.

Jak takie postrzeganie wpłynęło na stosunek do państwa?

Albańska państwowość jest bardzo młoda, a w momencie rozpoczęcia transformacji mieliśmy jedynie doświadczenie z takim państwem, które jest opresyjne wobec swoich obywateli. Nie mamy tradycji postrzegania państwa jako dobra wspólnego, o które należy dbać. Państwo, które było wszechobecne, zastąpiliśmy takim, które jest właściwie nieobecne – stanem natury, gdzie rządzi prawo silniejszego.

To bardzo indywidualistyczne podejście do niepowodzenia i porażek przekłada się na relacje społeczne, a także na kształt debaty publicznej. Jeśli komuś się nie udało, to wynika to z jego indywidualnych błędów, a nie czynników strukturalnych. Podobnie polityka skupia się

przede wszystkim na kwestiach personalnych, a nie na debatach czy konflikcie idei, różnych wizji społeczeństwa. Problemy Albanii są interpretowane jako błędy konkretnych polityków, którzy są skorumpowani bądź niezdolni do sprawowania władzy. Jeśli się ich zmieni, to problemy same się rozwiążą. Nie zastanawiamy się nad tym, że korupcja wynika z przyjętego modelu ekonomicznego. Pokutuje przeświadczenie, że świat na zewnątrz jest idealny, państwa zachodnie funkcjonują znakomicie, a wina za niepowodzenia transformacji leży po naszej stronie. Po prostu nie dość gorliwie wdrażamy zachodnie normy. Jesteśmy zbyt skorumpowani, zbyt niedojrzali i nieodpowiedzialni, by stworzyć dobrze funkcjonujące państwo.

Symbolem porażki albańskiej transformacji jest upadek piramid finansowych w roku 1997.

Budując system finansowy w Albanii, mieliśmy naiwną wiarę, że rynek wszystko rozwiąże, i że możemy mu ufać. Zrobiliśmy tak, jak nas uczono na Zachodzie – oszczędzaliśmy i zaczęliśmy inwestować, a jedyną opcją były instytucje finansowe. Gdy piramidy upadły i wielu straciło oszczędności życia, ludzie wyszli na ulice i domagali się od państwa reakcji, co oczywiście było niemożliwe. Rząd stracił kontrolę nad sytuacją, ludzie przejęli magazyny broni – zapanowała anarchia, na ulicach grasowały uzbrojone bandy. To była walka – nie przeciw czemuś czy o coś, to była przemoc wynikająca z rozpaczy.

Myślałam wtedy, że siedem lat transformacji doprowadziło nas do całkowitego upadku i znów jesteśmy w takim samym punkcie jak w 1991 r. Stan chaosu, z którego nie wiadomo, co się wyłoni. Tylko wcześniej mieliśmy jeszcze nadzieję, że mamy szansę zbudować nowe, lepsze społeczeństwo. Teraz nie mieliśmy już żadnej nadziei. Nie mieliśmy się o co oprzeć, do kogo zwrócić.

Wielu moich albańskich znajomych wspomina dojmujące poczucie zagrożenia, które odczuwali w tamtym okresie.

Myślę, że wielu ludzi doświadczyło wtedy ogromnego rozczarowania, utraciło poczucie bezpieczeństwa i wiarę we wszystko, ale dziś stara się o tym zapomnieć. To był moment, kiedy opuściłam

MAURICE WEISS

Lea Ypi, luty 2015 r.

Albanię, by wyjechać na Zachód na studia. Pamiętam jednak, że bardzo trudno mi było wtedy znaleźć jakąkolwiek motywację do dalszego działania. Musiałam podjąć decyzję, co chcę studiować, ale wszystko wydawało mi się bez sensu. Chciałam studiować prawo, ale państwo upadło i nie było ani prawa, ani porządku. Więc może ekonomia? Ale właśnie doświadczaliśmy upadku systemu finansowego i całej gospodarki. Medycyna? Jak studiować medycynę, gdy ktoś codziennie umierał pod moimi oknami? Dlatego zdecydowałam się na filozofię. W tym kryzysie wszelkich wartości, gdy nie wiedziałam, co myśleć. Miałam tylko pytania, na które nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Filozofia miała mi pomóc zadawać lepsze pytania.

Dla mnie to było przełomowe doświadczenie, które zbiegło się z osiągnięciem przeze mnie dojrzałości. Moje życie było podzielone na pół. Pierwszą część naznaczył komunizm, drugą liberalna transformacja – i oba systemy okazały się porażką, szczególnie na poziomie społecznym. Jednocześnie myślę, że to moja perspektywa. Nie wydaje mi się, że jako społeczeństwo wyciągnęliśmy wnioski z tego, co wydarzyło się w 1997 r. To trudne doświadczenie postrzegamy jako serię indywidualnych błędów, a nie jako porażkę systemu, który stworzyliśmy. Nie skłoniło nas do głębszej refleksji, co doprowadziło do upadku państwa.

A jak na te przemiany patrzyli Twoi rodzice?

Gdy przemiany się rozpoczęły, byli już dobrze po czterdziestce i mieli świadomość, że dla nich jest po prostu za późno. Cała ich socjalizacja przebiegała w systemie komunistycznym – nie znali angielskiego, nie podróżowali, nie mieli kontaktów. Całą energię skupili przede wszystkim na dzieciach, to one miały wykorzystać szanse związane z transformacją. To jest bardzo dużym obciążeniem dla całego mojego pokolenia. Staliśmy się ich projektem. Nasi rodzice mieli poczucie, że nie jest ważne, jak bardzo będą się starać, bo nigdy nie będą w pełni wolni. Natomiast my możemy to osiągnąć.

Na poziomie osobistym – moi rodzice byli bardzo rozczarowani. Oni naprawdę bardzo mocno wierzyli, że przemiany przyniosą im wolność i demokrację, ale tak się nie stało. Ich głęboka wiara jest proporcjonalna do poczucia zawodu, które przyszło później. Mnie osobiście trudno zmierzyć się z cyniczną i nihilistyczną postawą mojej mamy, która ma głęboko pesymistyczne podejście do świata. Zawsze oczekuje najgorszego i ma poczucie, że jednostka jest skazana na łaskę i niełaskę okoliczności. Trudno w tym znaleźć jakąkolwiek nadzieję.

Czy taką nadzieję na lepsze jutro ma wciąż społeczeństwo albańskie?

W Albanii wciąż jest poczucie, że musimy dogonić Zachód i wstąpić do Unii Europejskiej, ale nie ma prawdziwej debaty politycznej dotyczącej najbardziej istotnych dla społeczeństwa kwestii. Nie zastanawiamy się, jak to się stało, że zbudowaliśmy społeczeństwo oparte na dużych nierównościach, w którym wolność i demokracja są kwestiami bardzo iluzorycznymi, bo zbyt wielu ludzi nie jest w stanie z nich korzystać. Nie pytamy, co oznacza dla nas Europa. Proponowana przez władzę wizja rozwoju wywodzi się jeszcze z poprzedniego ustroju – będziemy budować infrastrukturę, drogi, mosty i elektrownie, a reszta sama się ułoży. W tym kontekście Unia Europejska jawi się jako mesjasz, który przyjdzie i rozwiąże wszystkie nasze problemy. Chyba dopiero, gdy tam się znajdziemy, przyjdzie czas na krytyczną refleksję nad fundamentami systemu, który stworzyliśmy.

© Rozmawiała MARTA SZPALA

KOLONOSKOPIA RATUJE ŻYCIE

Rak jelita grubego jest jedną z najczęstszych przyczyn zgonów, choć łatwo wykryć zagrożenie na wczesnym etapie i mu zapobiec. Ale z badaniem profilaktycznym problem mają nie tylko pacjenci.

BARTOSZ KABAŁA

TOOMAS TUUL / GETTY IMAGES

W 2018 r. sondażownia IBRiS zapytała Polaków o ich największe zdrowotne obawy. We wszystkich grupach wiekowych i u obu płci zdecydowanie przeważał strach przed nowotworem, wyprzedzając chorobę wieńcową i udar mózgu. Globalny obraz ludzkich niepokojów zdrowotnych jest podobny. Z danych Instytutu Gallupa wynika, że nawet w obliczu pandemii COVID-19 Amerykanie najbardziej obawiali się właśnie nowotworów.

Ten strach jest całkowicie uzasadniony. Według statystyk GUS od lat wśród najczęstszych przyczyn zgonów w Polsce nowotwory ustępują jedynie chorobom układu krążenia. W tym zestawieniu przodują rak płuca, a także rak piersi u kobiet. Odpowiednio drugie miejsce u mężczyzn i trzecie u kobiet przypadło rakowi jelita grubego. Co roku w Polsce na tę chorobę umiera ok. 12 tys. osób, a prawie 20 tys. dowiaduje się o diagnozie.

Dekada bez objawów

Skąd bierze się rak jelita grubego? Wśród czynników ryzyka wymienia się nieprawidłową dietę – ubogą w błonnik i obfitą w czerwone mięso, a także alkohol i nadmierne spożycie tłuszczów. Istotne są również niektóre choroby towarzyszące, np. choroba Leśniowskiego-Crohna (będąca przewlekłym zapaleniem jelit) oraz wrzodziejące zapalenie jelita grubego, ale również otyłość.

Droga, jaką pokonuje zdrowa komórka nabłonka wyściełającego jelito grube, by stać się fragmentem nowotworu, jest dość skomplikowana. Większość takich nowotworów powstaje z polipów, które stanowią uwypuklenie tkanki do światła jelita. W wyniku przypadkowej mutacji genetycznej pojedyncza komórka nabłonka zaczyna dzielić się w sposób nieprawidłowy. Najczęściej powstaje wówczas guz łagodny, zwany gruczolakiem (komórki, które budują tę zmianę, to komórki gruczołowe). Gruczolak rośnie i uwypukla się do światła jelita w postaci polipa. Według szacunków tego typu łagodne gruczolaki występują nawet u 40 proc. osób po 50. roku życia.

Z czasem w gruczolaku mogą się jednak kumulować dalsze mutacje powodujące tzw. złośliwienie zmiany i powstanie gruczolakoraka. Co ważne, jeśli u chorego nie występują określone genetyczne predyspozycje, cały proces trwa od 10 do 15 lat i długo nie powoduje żadnych objawów. Dostajemy zatem sporo czasu na profilaktyczne badanie przesiewowe – najpopularniejszą stosowaną metodą jest kolonoskopia. Dostrzeżenie w badaniu łagodnego polipa i usunięcie go w całości to pewna metoda wyleczenia, a jeśli wykryty zostanie nowotwór, to wycięcie go na wczesnym etapie daje większe szanse na przeżycie.

Mamy więc realne zagrożenie, uzasadnioną i powszechną obawę w społeczeństwie oraz dostępne metody wczesnego wykrycia i wyleczenia. Ta, wydawałoby się idealna konstelacja nie znajduje jednak odzwierciedlenia w polskich statystykach dotyczących zgłoszeń pacjentów na badania przesiewowe. Wskaźniki są niepokojąco niskie. Od 2012 r. do osób między 55. a 64. rokiem życia, czyli szczególnie narażonej populacji, rozsyłane są imienne zaproszenia na przesiewową kolonoskopię. W pierwszym roku zgłaszalność wyniosła 16,9 proc., a pięć lat później niecałe 13 proc.

Tak niskie wskaźniki tłumaczy się przede wszystkim charakterem badania. Kolonoskopia, polegająca na dokładnym obejrzeniu wewnętrznej powierzchni jelita przy pomocy blisko dwumetrowej rury, z pewnością nie należy do najprzyjemniejszych badań. Zgłaszane przez pacjentów problemy to przede wszystkim pokonanie bariery wstydu i obawa przed bólem związanym z badaniem. Kłopotliwe bywa też przygotowanie do badania – aby kolonoskopia była prawidłowo przeprowadzona, jelito musi wcześniej zostać należycie oczyszczone.

Problemy z badaniem

Opór pacjentów wywołany zrozumiałymi obawami i niegodnościami przełamać mogłoby silne przekonanie o skuteczności stosowania kolonoskopii w ramach badań przesiewowych. Dotychczasowe analizy statystyczne wskazywały, że kolonoskopia zmniejsza nawet o 70 proc. ryzyko wystąpienia raka jelita grubego, a w przypadku jego wykrycia zdecydowanie zmniejsza ryzyko zgonu. Jednak nie są to najsilniejsze dowody. Większość z tych prac to tzw. badania kohortowe, które mogą zawyżać realną skuteczność kolonoskopii jako badania przesiewowego – ponieważ nie można wykluczyć sytuacji, gdy osoby, które zgadzają się na udział w takim badaniu, nie są jednocześnie, czysto statystycznie, również osobami, które z większą dbałością podchodzą do swojego zdrowia.

Dokładniejszych danych na temat skuteczności kolonoskopii jako badania przesiewowego miał dostarczyć opublikowany w październiku tego roku w prestiżowym czasopiśmie „New England Journal of Medicine" raport grupy badawczej NordICC, w której skład weszli również polscy lekarze i naukowcy.

W badaniu wzięło udział blisko 85 tys. osób z Polski, Norwegii, Szwecji i Holandii, w wieku od 55 do 64 lat, które podzielono na dwie grupy. Do członków pierwszej grupy rozesłano listy z zaproszeniem na kolonoskopię. Od badanych zależało, czy zgłoszą się na badanie. Pozostałe osoby „uczestniczące" w badaniu (tzw. wzięte pod uwagę w analizie) stanowiły grupę kontrolną – do nich nie skierowano żadnych imiennych zaproszeń.

Niestety, interpretacja wyników uzyskanych w tym badaniu wywołała spore medialne zamieszanie. Jeden z przedstawionych przez autorów pracy wyników wydaje się wskazywać, że kolonoskopia zmniejsza ryzyko zachorowania na raka jelita grubego o zaledwie 18 proc. Co gorsza, redukcja zgonów z powodu raka jelita grubego miałaby wynieść tylko 10 proc.

Otrzymane po dziesięciu latach obserwacji wyniki niektórzy komentatorzy uznali za rozczarowujące, a samo badanie – za kontrowersyjne. W zagranicznych mediach pojawiały się sugestie, że kolonoskopia nie jest najlepszym badaniem przesiewowym raka jelita grubego. Ta kwestia jest jednak nieco bardziej skomplikowana.

Autorzy publikacji posłużyli się techniką statystyczną zwaną *intent-to-screen*. Bierze ona pod uwagę wszystkie osoby, które „uczestniczyły" w badaniu (tzn. zaliczono je do jednej z dwóch grup), a nie tylko te, u których rzeczywiście przeprowadzono kolonoskopię. Tymczasem zgłaszalność na zabieg nie była wysoka – 42 proc. osób przyjęło wysłane do nich imienne zaproszenie. Gdyby więc ograniczyć analizę do osób, które faktycznie zgłosiły się na kolonoskopię – co badacze również zrobili, ale nie zawsze zwracano na to uwagę w przekazach medialnych – to skuteczności kolonoskopii będzie znacznie wyższa: ↦

redukcja ryzyka zachorowania na raka o 31 proc., a redukcja ryzyka zgonu o 50 proc. Inaczej mówiąc, wspomniana wyżej redukcja liczby zachorowań o 18 proc. dotyczy wysyłanych do ludzi zaproszeń: taka jest skuteczność kampanii zachęcającej do kolonoskopii, a nie samego badania.

Po publikacji tych badań swoje komunikaty wydało wiele towarzystw medycznych, starając się wyjaśnić całe zamieszanie. Zwracano w nich uwagę również na to, że tego rodzaju obserwacje powinny trwać znacznie dłużej niż dekadę, by rzetelnie ocenić skuteczność kolonoskopii w zapobieganiu nowotworom i zgonom.

Wbrew doniesieniom części mediów wszystko nadal wskazuje na to, że kolonoskopia jest dobrą metodą rozpoznawania i wczesnego leczenia nowotworów jelita grubego. Tym, co ogranicza skuteczność tego badania jako narzędzia przesiewowej diagnostyki, jest niewielki odsetek osób rzeczywiście zgłaszających się do lekarza. Kolonoskopia nie działa, jeśli się jej nie wykona.

Pora na alternatywę

Niska zgłaszalność na kolonoskopię jest zresztą zjawiskiem powszechnym. W opisanym badaniu obserwowano spore różnice między państwami – w Norwegii zgłosiło się 67 proc. zaproszonych, w Polsce – jedynie 33 proc. W USA kolonoskopię w ciągu ostatnich 10 lat wykonało ok. 60 proc. populacji w wieku 50-75 lat. Zbliżone do polskich wyniki prezentują Czesi i Chorwaci. Dorównanie przynajmniej do wskaźników norweskich i amerykańskich powinno być dla nas celem.

Można się jednak oczywiście zastanawiać, czy istnieje jakaś lepsza alternatywa dla kolonoskopii – nie z powodu jej niskiej skuteczności, ale ze względu na trudną do pokonania niechęć społeczeństwa i niską świadomość zalet tego badania.

Pytanie to zadają również autorzy komentarza zamieszczonego w tym samym numerze „New England Journal of Medicine", w którym opisano badanie grupy NordICC. Jason Dominitz z Uniwersytetu w Waszyngtonie i Douglas Robertson z Geisel School of Medicine w Dartmouth zaznaczają, że kolonoskopia może okazać się trudną do usprawiedliwienia metodą w obliczu istniejących mniej inwazyjnych badań.

Jednym z nich może być immunochemiczny test kału na obecność krwi (FIT). Polipy, a częściej nowotwory mogą powodować niezauważalne dla pacjenta krwawienia do światła jelita. Powszechnie stosowana metoda wykrywająca krew w stolcu, test gwajakolowy, jest mało specyficzna – wykrywa krew, której źródłem może być żołądek, a nie jelito grube, a wyniki zaburzać może np. suplementacja żelaza. Tych wad pozbawiony jest test FIT, który dzięki specjalnym przeciwciałom wyłapuje białka, np. hemoglobinę obecną w kale.

Test FIT jest już powszechnie uznawany za skuteczny. W wielu państwach stanowi podstawę programów przesiewowych, w których pacjenci biorą udział zdecydowanie chętniej. W Polsce test jest dostępny wyłącznie jako badanie komercyjne. Prof. Jarosław Reguła, konsultant krajowy w dziedzinie gastroenterologii i jeden z autorów badania z „New England Journal of Medicine", w kwietniu tego roku apelował w Sejmie o wprowadzenie testu FIT do programu badań przesiewowych raka jelita grubego. Kolonoskopia byłaby dopiero kolejnym etapem, wykonywanym u osób z dodatnim wynikiem FIT.

Na horyzoncie pojawiają się także inne metody, m.in. badania wykrywające obecny w kale DNA gruczolaków i gruczolakoraków. Trwają także prace nad wykrywaniem krążącego we krwi materiału genetycznego nowotworu lub typowego dla niego białka. Tego rodzaju badanie przesiewowe byłoby jeszcze wygodniejsze dla pacjentów niż testy FIT. Można byłoby je wykonać przy okazji innych badań okresowych. Według ankiety

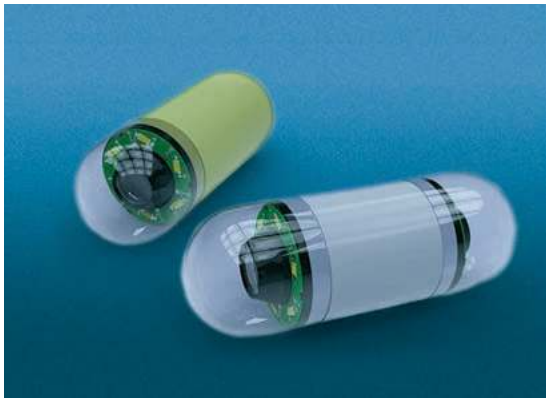

MATERIAŁY PRASOWE

Endoskopia w kapsułce

PRZEZ LATA rozwój technologiczny w badaniach endoskopowych – czyli tych opartych na wprowadzaniu do ciała pacjenta sondy – pozwalał sięgać dalej i zmniejszać używane narzędzia, a przy tym zwiększać dokładność badania i komfort pacjentów. Owocem tych wysiłków jest endoskopia kapsułkowa, jedna z nowszych metod, choć już powszechnie stosowana. Pacjent połyka kapsułkę, wielkości dość dużej tabletki, w której znajdują się kamera z lampą, nadajnik do wysyłania zdjęć jelita oraz zasilająca całość bateria. Przemierzając meandry przewodu pokarmowego, kapsułka wysyła obraz do rejestratora przyczepionego do pacjenta, a po czasie, gdy wyczerpie się bateria lub kapsułka w naturalny sposób opuści ciało badanego, dane z rejestratora są analizowane przez lekarza. Co warte podkreślenia, kapsułki są jednorazowe i nie trzeba ich odzyskiwać. Chociaż w nowszych modelach kamery są coraz lepszej jakości, a sama kapsułka jest coraz mniejsza, to badanie nie stanowi zamiennika zwykłych badań endoskopowych. W określonych przypadkach służy głównie do oceny jelita cienkiego, do którego nie sięgają klasyczne gastroskopy i kolonoskopy.

CIEKAWĄ ODMIANĄ tej metody jest kapsułkowa tomografia komputerowa jelita. Tu również połyka się kapsułkę, która jednak nie wykonuje zdjęć powierzchni jelita, tylko wysyła niewielkie ilości promieniowania X, robiąc jednocześnie przekrojowe skany ściany narządu. ©

przeprowadzonej przez zespół Andreasa Adlera w 2014 r. wśród osób odmawiających kolonoskopii aż 97 proc. zaakceptowałoby nieinwazyjny test przesiewowy, np. z krwi.

Diagnozy i prognozy

O tym, jak ważne jest możliwie najwcześniejsze wykrycie rozwijającej się choroby, przekonuje odsetek pięcioletnich przeżyć – popularny wskaźnik w onkologii. W razie nowotworu ograniczonego do błony śluzowej, który często znajdowany jest w profilaktycznie usuniętym polipie, ten odsetek wynosi 100 proc. Jeśli obecne są przerzuty do węzłów chłonnych, pięć lat po diagnozie przeżywa ok. 30 proc. pacjentów. Leczenie opiera się przede wszystkim na chirurgicznym wycięciu guza z jelita, razem z okolicznymi węzłami chłonnymi, w których mogą znajdować się migrujące naczyniami limfatycznymi komórki rakowe. Operacja będzie zatem tym skuteczniejsza, im komórki raka będą mniej rozsiane po ciele.

Do leczenia chirurgicznego dokładana jest terapia systemowa, czyli działająca na cały organizm. Od lat 50. ubiegłego wieku podstawą chemioterapii jest 5-fluorouracyl. Później dołączono również inne leki konwencjonalne, a efektem badań w ostatnim czasie są przeciwciała, takie jak cetuksymab, który stosowany jest u niektórych pacjentów z odległymi przerzutami raka jelita grubego. Ten arsenał leków pozwala zapewnić pięcioletnie przeżycie mniej niż jednej czwartej pacjentów z chorobą rozsianą do narządów odległych od pierwotnego guza.

Problemem do pokonania pozostaje jednak oporność komórek nowotworowych na leki. Prawie u połowy pacjentów z rakiem jelita grubego pojawia się oporność na wspomniany fluorouracyl. Komórka rakowa jest lub staje się w trakcie leczenia twierdzą z wieloma molekularnymi mechanizmami obronnymi. Część stosowanych leków, jak np. kapecytabina, musi w organizmie zostać przekształcona do form aktywnych. Ten proces jednak w komórkach nowotworowych może być hamowany. Inne leki są w komórkach rakowych szybko dezaktywowane. Poprzez odpowiednie molekularne regulacje rak może chronić się przed wejściem leku do komórki, albo zmieniać kształt białek, w które uderzyć mają przeciwciała. Wystarczy kilka takich opornych na leczenie komórek, by po zabiciu tych wrażliwych rak powrócił w trudniejszej do pokonania formie.

W Norwegii na kolonoskopię zgłosiło się 67 proc. zaproszonych, **w Polsce 33 proc., podobnie było w Czechach i Chorwacji.** W USA w ciągu ostatnich 10 lat badanie wykonało ok. 60 proc. populacji w wieku 50-75 lat.

Ile kosztuje rok życia

Kolonoskopia jest badaniem opłacalnym nie tylko z punktu widzenia jednostki. Mówiąc o badaniu przesiewowym obejmującym tak dużą populację, należy brać pod uwagę również koszty. Ważnych danych dostarcza analiza przygotowana przez naukowców z Uniwersytetu Łódzkiego i Narodowego Instytutu Onkologii z 2021 r. Według tych wyliczeń całkowity koszt leczenia raka jelita grubego w stutysięcznej populacji bez badań przesiewowych wynosi ponad 13 mln dolarów, zaś w populacji objętej skriningiem – 10 mln. Do tego dochodzi jednak koszt samego badania przesiewowego, który oszacowano na ponad 14 mln dolarów. Bezwzględny ekonomista mógłby uznać, że choć w opisywanym badaniu przesiewowa kolonoskopia sumarycznie odzyskała ponad 2300 lat życia pacjentów, to koszty kolonoskopii i leczenia przeważają nad kosztami samego leczenia bez badań przesiewowych.

Metoda skriningu jest tym lepsza, im niższy jest tzw. inkrementalny współczynnik efektywności kosztów. Oznacza on z grubsza, ile musimy wydać, by osiągnąć jedną jednostkę zysku zdrowotnego, którą w przypadku tej analizy był jeden zaoszczędzony rok życia. W polskich warunkach wskaźnik ten wyniósł 6,3 tys. dolarów, co, jak oceniają autorzy, jest dobrym wynikiem, biorąc pod uwagę powszechnie przyjęty próg 50 tys. dolarów.

Od stycznia 2022 r. Program Badań Przesiewowych raka jelita grubego finansowany przez Ministerstwo Zdrowia przestał działać. Program istniał od 2000 r. W 2012 r., jak już była mowa, do osób w wieku 55-64 lata rozpoczęto wysyłanie imiennych zaproszeń, które pozwalały na bezpłatne wykonanie badania. Obok programu przesiewowego istnieje program umożliwiający badania osobom z genetycznymi i rodzinnymi czynnikami ryzyka. W ostatnich latach liczba wykonanych badań zwiększała się. W trudnym ze względu na pandemiczne ograniczenia roku 2020 wykonano ponad 80 tys. kolonoskopii. W ubiegłym roku prawie 100 tys.

Zawieszenie programu na początku roku związane jest z nową Narodową Strategią Onkologiczną, zgodnie z którą finansowaniem przesiewowych kolonoskopii ma się zająć Narodowy Fundusz Zdrowia. Wówczas kolonoskopia stanie się częścią koszyka świadczeń gwarantowanych, jednak sprawa utknęła w urzędniczym labiryncie Ministerstwa Zdrowia. Choć eksperci i posłowie zwracali uwagę na ten problem już wiosną, szef resortu, Adam Niedzielski, dopiero w październiku poinformował, że kwestia przesiewowych kolonoskopii została już rozwiązana, jednocześnie ogłaszając, że zwiększy się liczba placówek wykonujących badania z ok. 200 do 650.

To długo oczekiwana wiadomość, skoro od początku 2022 r. w Polsce w ramach badań przesiewowych nie przeprowadzono żadnej kolonoskopii.

© BARTOSZ KABAŁA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

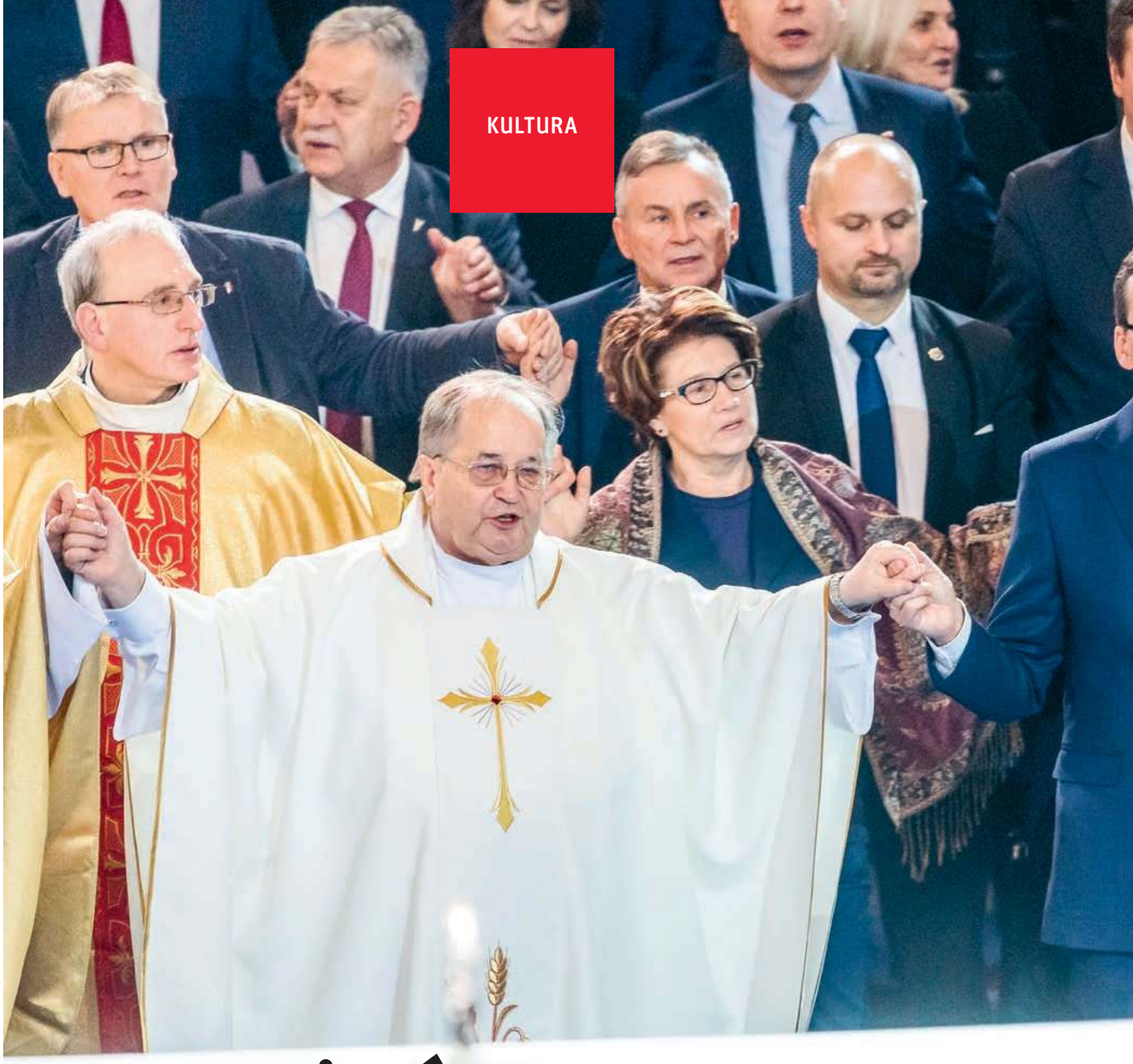

JACEK PISKI / REPORTER

BOŻE ŚCIERNISKO

Historyków z zagranicy frapuje odmienność Polski i jej silny związek z katolicyzmem. Norman Davies patrzy na to z wyrozumiałością. Brian Porter-Szűcs próbuje obalić mity.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Polska nigdy nie była oczkiem w głowie światowej historiografii. Miała swoje pięć minut w okresie karnawału Solidarności i przełomu 1989 r., ale one szybko minęły. Norman Davies nie ma złudzeń co do miejsca naszej historii na czołowych brytyjskich i amerykańskich uniwersytetach. Zasadniczo jej tam nie ma, a jeśli zbiegiem okoliczności się znajdzie, to uprawia ją „garstka pasjonatów usilnie starających się kształcić niewielką grupę studentów, którzy przybywają bez żadnej znajomości języka albo z tak zwaną kuchenną polszczyzną" – mówił w październiku zeszłego roku w siedzibie Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, wspierającej badania polskich naukowców w Stanach Zjednoczonych. Jedną z przyczyn może być to, że Polska nie istniała jako państwo, kiedy krystalizował się nowoczesny system

Uroczystości z okazji 27. rocznicy powstania Radia Maryja. Toruń, 1 grudnia 2018 r.

akademicki. Dlatego dziś jest pasażerem na gapę w katedrach historii Europy.

Mamy jednak szczęście do tych nielicznych pasjonatów z Zachodu, którzy upodobali sobie nasz kraj. To nie tylko Davies, prekursor akademickiego nauczania historii Polski w Zjednoczonym Królestwie. Na podstawie jego wykładów powstało „Boże igrzysko" (1981), które w demokratycznej Polsce miało wiele wydań i śmiało można je nazwać kultową historyczną cegłą. To także m.in. Timothy Garton Ash, Robert I. Frost, Padraic Kenney, Marci Shore, Timothy Snyder czy związani z Uniwersytetem Michigan w Ann Arbor Geneviève Zubrzycki i Brian Porter-Szűcs.

Właśnie ukazała się po polsku książka „Wiara i ojczyzna. Katolicyzm, nowoczesność i Polska" Portera-Szűcsa, kolejna po dobrze przyjętym „Całkiem zwyczajnym kraju. Historii Polski bez martyrologii" (2014, pol. wyd. 2021). Niedawno do księgarń trafił też zbiór tekstów i rozmów Daviesa z lat 1973-2021 pt. „Mała Europa. Szkice polskie".

Dwa spojrzenia

Davies i Porter-Szűcs mają osobiste i rodzinne relacje z Polską. Obaj płynnie mówią po polsku. Wiele ich jednak dzieli – nie tylko pokolenie, ale także kąt, z jakiego patrzą na kraj nad Wisłą. Tomasz Zarycki, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego, który zajmuje się peryferyjną pozycją naszego kraju w światowej nauce, stawia ich na przeciwległych krańcach historiografii Polski. W swojej nowej książce pt. „The Polish Elite and Language Sciences. A Perspective of Global Historical Sociology" (2022) widzi w Daviesie rzecznika takiej narracji historycznej, która polski interes i rozumienie przeszłości stawia w centrum, ale powiela szereg stereotypów (głównie pozytywnych wobec Polaków). Z kolei Portera-Szűcsa wyróżnia to, że nie poddaje się urokowi polskich mitów o wyjątkowości, krzywdzie i zdradzie. Interesuje go historia społeczna i praktyczne skutki polityki oraz ideologii, a nie same mity i symbole. Jednak, zdaniem Zaryckiego, mało uwagi poświęca siatce zależności, w jakich tkwiła Polska, należąca do stref wpływów różnych imperiów. W „Całkiem zwyczajnym kraju" opisuje Polskę jako jeden z wielu puzzli, z których składa się mapa Europy i świata, ale rzadko pokazuje całą mapę. Podobne wrażenie można mieć po lekturze „Wiary i ojczyzny".

Porter-Szűcs otwiera książkę plakatowymi cytatami z Jana Pawła II i abp. Józefa Bilczewskiego oraz „Katechizmu polskiego dziecka" Władysława Bełzy. Na przeszło pięciuset stronach opowiada o dyskursie kościelnych i intelektualnych elit na temat katolickości Polski oraz rozmaitych nurtach ideowych, które wyłoniły się z konfrontacji wiary i doktryny z historią narodu pozbawionego przez ponad wiek państwa. Nie zajmuje się polskimi katolikami, mając świadomość niejednoznaczności ich stosunku do wiary i Kościoła. Interesuje go katolicyzm jako zmienna w czasie „formacja intelektualna, projekt ideologiczny i doktryna".

Współodpowiedzialność za to, że narracja o nierozerwalnym związku polskiego narodu i obrządku rzymskiego stała się czymś oczywistym, przypisuje katolickim historykom (większość była związana z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim), m.in. Jerzemu Kłoczowskiemu, Jerzemu Skowronkowi, Bohdanowi Cywińskiemu, Hannie Dylągowej czy Wincentemu Chrypińskiemu. Cel, który Porter-Szűcs sobie stawia, jest jasny – skomplikować „święty" obrazek, że Polska to ↦

↦ jeden naród i jedna religia. Perspektywę czasową zawęża do ostatnich 150 lat, a wywód układa w listę ważnych symboli, jak „Kościół", „grzech", „Maryja", „Polak-katolik", oraz pojęć wystawiających religię na społeczny test, jak „nowoczesność", „osoba" czy „polityka". Dzięki przyjrzeniu się sporom wokół słów-kluczy, twierdzi autor, „Polska wyda się »normalniejsza«, a my będziemy mogli lepiej zrozumieć inne kraje czy regiony, w których publiczna religia pozostaje istotną siłą".

Książka ta wynika też z zadziwienia samego autora – tym, że w polskich szkołach alternatywą dla religii jest etyka albo że na otwartą krytykę Kościoła ze strony lewicy i liberałów trzeba było czekać aż do drugiej dekady XXI w. Warto pamiętać, że „Wiara i ojczyzna" została opublikowana dekadę temu po angielsku i miała objaśniać zagranicznym czytelnikom, o co chodzi z tą polską wszechobecnością religii. W nowym, zaktualizowanym wydaniu widać tego ślady. Niczym antropolog Porter-Szűcs tłumaczy sens zbitki Polak-katolik czy fenomen kultu Maryi, hetmanki i Królowej Polski. Jest w swojej książce silnie krytyczny, ale nie antyklerykalny. Polski katolicyzm prezentuje nie jako eksponat z gabinetu osobliwości, ale brzemienny w skutki wynik zbiegu różnych okoliczności.

Spojrzenie Daviesa jest inne. Kiedy był studentem Magdalen College, wpływ miały na niego prace najsławniejszego absolwenta tej szkoły, Edwarda Gibbona (1737-1794), i cenionego wykładowcy A.J.P. Taylora (1906-1990). Inspirację nimi widać w jego pisarstwie do dziś. To nacisk na kreślenie szerokich europejskich i światowych horyzontów dla lokalnych spraw oraz stawianie pytań o dalekosiężne skutki drobnych decyzji.

Nadanie kulturowej i politycznej ważności tej części kontynentu jest zadaniem, które Davies konsekwentnie realizuje od wydania „Orła białego, czerwonej gwiazdy. Wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920" (1972). Sprawiedliwe dowartościowanie peryferyjnego kraju i jego cierpień łatwo przeradza się w terapeutyczne wysłuchanie. Widać to dobrze w „Małej Europie". Przedmowa do niej powstawała po wybuchu wojny w Ukrainie i jest w dużej mierze laurką dla polskiej solidarności z ofiarami. Nie brakuje też miłych naszemu ego frazesów, jak porównanie Polski do „bastionu cywilizacji zachodniej". W przeciwieństwie do Portera-Szűcsa Davies uważa katolicyzm za witalną część polskiej tożsamości, a figurę Polski – *antemurale christianitatis* traktuje jako historyczny fakt.

Skąd się brał nieformalny sojusz tronu i ołtarza?

Spolonizowany komunizm i unarodowiony katolicyzm innymi środkami chciały gwarantować to, co niemożliwe – jedność 40 milionów ludzi.

Walka z mitami

Motywem powtarzającym się w książkach Portera-Szűcsa jest rozprawienie się z mitami, które obrosły wokół historii Polski. W „Wierze i ojczyźnie" pierwszym mitem do podważenia jest niezmienność polskiego katolicyzmu i jego głuchota na krytykę. Historyk odnotowuje liczne na przestrzeni wieków napomnienia biskupów kierowane do księży i wiernych, by byli posłuszni Watykanowi i proboszczom. Zgadza się, że w XIX w. częściej można było usłyszeć z ust hierarchów troskę o stabilność ładu społecznego niż o sprawiedliwość. Robotnica z łódzkiej fabryki, warszawska służąca albo podkrakowski chłop rzadko znajdowali w klerze sojusznika w sporze z elitami. Nie w pełni jednak podziela opinię, że przełomowa dla kwestii społecznych encyklika „Rerum novarum" Leona XII przeszła wśród polskiego duchowieństwa bez echa.

Porter-Szűcs przekonuje, że „katolicka krytyka kapitalizmu była odrębną, spójną ideologią", a nie kościelnym bliźniakiem lewicowości ani prawicowego populizmu. Skupia się na wyjątkowych postaciach, jak galicyjski ksiądz Stanisław Stojałowski, lewicujący Antoni Szech, opowiadająca się za kształceniem kobiet filozofka Eleonora Ziemięcka czy sojusznicy postępu, jak arcybiskup lwowski Józef Bilczewski czy arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego Józef Teodorowicz. Opisuje też mesjanizm, towianizm, ultramontanizm, mariawitów i inne nurty krytyczne wobec instytucji kościelnych. Z każdą taką kontestacją dyskurs Kościoła lekko się przesuwał, a hierarchowie musieli się konfrontować z nowymi wyzwaniami, spośród których hasło Stojałowskiego, że „można być demokratą, a przy tym dobrym katolikiem", było najdrobniejszą sprawą.

Historyk podważa przy tym mit jednorodności katolicyzmu w Polsce. „O ile Wyszyński reprezentował ścisłe centrum katolicyzmu w Polsce, o tyle dzięki »Tygodnikowi Powszechnemu« możemy się dowiedzieć, co działo się na rubieżach" – pisze. W swojej książce poświęca „Tygodnikowi" dużo uwagi. Docenia rolę w oswajaniu reform Soboru Watykańskiego II i prowadzeniu dialogu z środowiskami niekatolickimi. Kreśli obraz środowiska prospołecznego i umiarkowanie postępowego, które skupiało się na kwestiach duchowych, a nie wprost politycznych, nie głosiło haseł zasadniczej odnowy Kościoła, a upominając się o większy udział wiernych w życiu Kościoła, nie kwestionowało autorytetu hierarchów. Z tych powodów, zdaniem Portera-Szűcsa, udało się „Tygodnikowi" uniknąć kłopotów i banicji. Jego opowieść pomija jednak wiele faktów komplikujących ten obraz.

Trzeci mit to „odwieczny" sojusz Kościoła i ruchów niepodległościowych. Porter-Szűcs przypomina o nikłym poparciu kleru dla powstania listopadowego i niewiele większym dla styczniowego. Trudno się temu dziwić, duchowni byli w większości posłuszni głosowi papieża Grzegorza XVI, wyrażonemu w encyklice „Cum primum" (1832), który potwierdzał władzę cara nad Polakami. Półtora wieku później polski episkopat ustami prymasa Glempa uznał ten lojalizm za błąd poprzedników.

Bardziej wojowniczy Kościół stał się dopiero w dobie I wojny światowej. Za impetem zmiany stały ruchy narodowe, szukające w katolicyzmie środka do mobilizowania Polaków, aby opowiedzieli się za wizją Królestwa Bożego w niepodległej Polsce, wolnej od zaborców i mniejszości. Międzywojnie wyniosło na piedestał figurę Polaka-katolika, który opierał się obcym wpływom. Przeszkodą była początkowo etyka oparta na przykazaniu „miłuj bliźniego swego", ale i z tym narodowy katolicyzm sobie poradził, czyniąc dosłownym ideał *Ecclesia militans* – Kościoła złożonego z ludzi walczących o jego przetrwanie. Spadkiem po tym jest, według Portera-Szűcsa, głębokość problemu, jaki polski Kościół ma z aborcją i antykoncepcją. Nie traktuje ich jako kwestii indywidualnych wyborów etycznych, ale jako sprawę prze-

trwania narodu. Dlatego tak szeroko przyjęło się porównywanie aborcji do Holokaustu albo „cywilizacji śmierci", pojęcia powtarzanego przez Jana Pawła II.

Czwartym mitem jest opowieść o prześladowaniach Kościoła przez komunistów. Porter-Szűcs prześlizguje się po epoce stalinizmu i gomułkowszczyzny, by stwierdzić, że „polski Kościół nigdy nie był tak potężny i wpływowy jak pod koniec PRL". Świadczą o tym nie tylko statystyki uczestnictwa w mszach i liczby nowych powołań (zwłaszcza po wyborze Karola Wojtyły na papieża), ale też to, że PZPR nie czyniła z kleru swego wroga i mogła liczyć na wzajemność. „Nie ulega wątpliwości, że Kościół i partia toczyły ze sobą konflikt, ale obie strony próbowały zachować powściągliwość i często ograniczały się jedynie do kopania się po kostkach" – pisze o obustronnej niechęci do konfrontacji. Przypomina odmowę hierarchów do jednoznacznego potępienia brutalności władzy w 1970 i 1976 r. czy postawę wobec protestujących w 1980 r. robotników, z których część było wyznawcami kultu Maryi. Dla Wyszyńskiego jest bezlitosny. Cytuje list pasterski z 5 września 1980 r., w którym prymas przekonuje, że do głównych przyczyn kryzysu gospodarczego należy nieład moralny i „pogłębiająca się choroba nietrzeźwości". Tak, to był czas, kiedy już wybuchła Solidarność.

Skąd ten ówczesny nieformalny sojusz tronu i ołtarza? Pruderyjny i w gruncie rzeczy konserwatywny reżim nie wydawał się Kościołowi tak niepokojący jak zachodni indywidualizm i konsumpcjonizm. Obie strony połączyła sprawa narodu. Spolonizowany komunizm i unarodowiony katolicyzm innymi środkami chciały gwarantować to, co niemożliwe – jedność 40 milionów ludzi.

Rywalizacja między komunizmem a katolicyzmem była jednak faktem. Falę odwrotu od postępowych zmian w Kościele, która zaczęła się w latach 90., Porter-Szűcs tłumaczy tym, że upadek komunizmu nie przyniósł katolicyzmowi oczekiwanego zwycięstwa w życiu społecznym. Spory o dyskurs i symbole urosły do rangi walki o wspólnotę – nie tę *stricte* religijną, lecz narodową.

Wyjście ewakuacyjne

Brian Porter-Szűcs napisał ważną książkę, która prowokuje do dyskusji, ale mimo objętości zostawia niedosyt. Autor nie kreśli porównań między polskim a europejskimi katolicyzmami. Mało zajmuje się relacjami Kościoła z rodzimą elitą władzy. Naszkicowuje tylko uwiedzenie części kleru Romanem Dmowskim i niechęć do Józefa Piłsudskiego. Wiek XXI, kryzysowy dla polskiego Kościoła i narodowego katolicyzmu, jest tu potraktowany zdawkowo. Jest mowa o sporze o aborcję, ale ledwie raz napomknięta jest pedofilia i skandale seksualne. Autor jest jednak świadomy, jak wiele się zmieniło na linii Kościół-społeczeństwo od 2011 r., kiedy ukazało się angielskie wydanie „Wiary i ojczyzny". Wtedy nie wykluczał, że trwający przy truchle Polaka-katolika „Kościół ludu" zostanie stopniowo wyparty przez akceptujący demokrację „Kościół wyboru". Dziś przyznaje, że drugi model był mrzonką.

MATERIAŁY PRASOWE / WYDAWNICTWO FILTRY

Brian Porter-Szűcs

CEZARY PIWOWARSKI / WIKIMEDIA DOMENA PUBLICZNA

Norman Davies

Dla Normana Daviesa problem polskiego katolicyzmu jest wtórny wobec wewnętrznego i światowego układu sił, w którym tkwi Polska. Wielokrotnie dystansował się też od mitu wyjątkowej tolerancji I Rzeczypospolitej i ponownie czyni to w „Małej Europie". Żywi przy tym wyraźny sentyment do legendy Sobieskiego, a w jego szczerej katolickiej gorliwości widzi siłę. O Janie Pawle II pisze z atencją odporną na głosy krytyki papieża, które na Zachodzie było słychać jeszcze za jego życia. W jednym z esejów naiwnie przekonuje, że to śmierć papieża „otworzyła podziały, a także stworzyła pole do popisu demagogom". Także jego odbiór postawy Kościoła wobec komunizmu zasadniczo różni się od sceptycznej oceny formułowanej przez Portera-Szűcsa (może po części dlatego, że w ostatniej dekadzie PRL-u odczyty Brytyjczyka nieraz odbywały się w parafialnych salkach). Nie oznacza to jednak bezkrytyczności. „Absolutna władza absolutnie demoralizuje" – słowa Lorda Actona odnosi tak do Kościoła, jak i do reżimów politycznych. Reprezentuje jednak typ historiografii Polski, która prawdopodobnie powoli odchodzi, bo nie stawia dawnym elitom kłopotliwych pytań.

Daviesa i Portera-Szűcsa różni też – i to w warstwie głębszych emocji, niż sugerowałaby lektura ich książek – stosunek do współczesnej dyskusji o prześladowaniach Żydów z rąk Polaków. Davies nie odrzuca potrzeby debaty, ale ta obecna jest dla niego źródłem nadużyć, dowodem ignorancji i prowadzi do utrwalenia się na Zachodzie negatywnych stereotypów polskości.

Dla Portera-Szűcsa, jak dla historyków, którzy Polską zainteresowali się u schyłku PRL-u lub później, problem antysemityzmu i filosemityzmu jest osią organizującą polską tożsamość. Porter-Szűcs buduje kładkę między uprzedzeniami prymasa Hlonda wobec Żydów, obwinianiem ofiar pogromu kieleckiego o własny los, histerycznymi reakcjami części hierarchów na ustalenia Jana Tomasza Grossa a współczesnymi ekscesami byłego księdza Jacka Międlara. Nie sekunduje ani adwokatom, ani najostrzejszym oskarżycielom polskości. Debata o ciemnych kartach historii jest dla niego po prostu naturalną koleją rzeczy. Podobnie polski katolicyzm stanie się normalny, kiedy uda mu się wymyśleć siebie poza ramami narodowej wspólnoty i kiedy każda krytyka narodu przestanie być traktowana jak atak, a każdy atak – jak zamach na pozycję Kościoła.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Brian Porter-Szűcs, **WIARA I OJCZYZNA. KATOLICYZM, NOWOCZESNOŚĆ I POLSKA**, *przeł. Jan Dzierzgowski, Filtry, Warszawa 2022.*

Norman Davies, **MAŁA EUROPA. SZKICE POLSKIE**, *przeł. Bartłomiej Pietrzyk, Znak Horyzont, Kraków 2022.*

Przeszczepy i tradycje

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Polska muzyka rozrywkowa zdołała skutecznie odciąć się od brzmienia ziemi – tej ziemi. A brzmienie tej ziemi nie zdołało na trwałe wdrukować się w inspiracje i intuicje muzyczne kompozytorów.

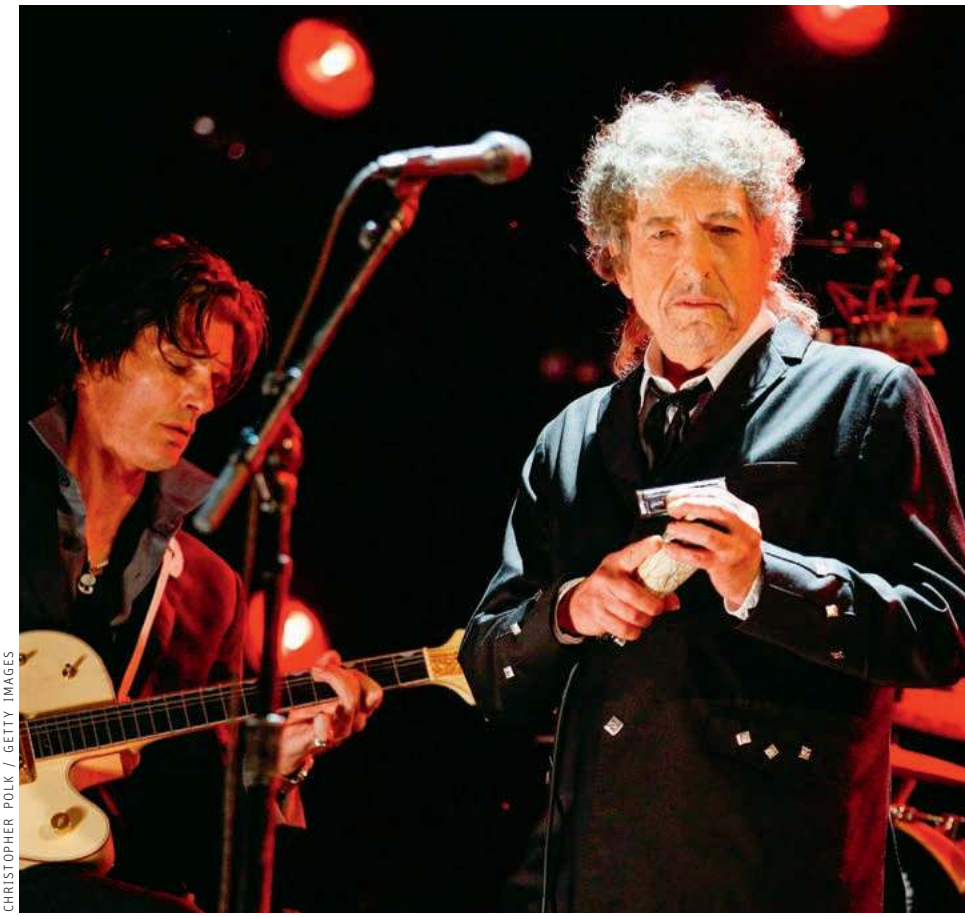

CHRISTOPHER POLK / GETTY IMAGES

Bob Dylan na gali Movie Awards w Hollywood Palladium. Los Angeles, 12 stycznia 2012 r.

Na przełomie października i listopada 1992 r. na półkach amerykańskich sklepów płytowych pojawił się album w zgrzebnej okładce typu *budget* – pionowa fotografia portretowa, ujęta po bokach w grube pasy rozświetlonego błękitu. U góry na czarnym tle widniał napis „bob dylan", u dołu – na takim samym tle „GOOD AS I BEEN TO YOU". Z tyłu jeszcze jedno zdjęcie, tym razem sześć lat wcześniejsze, tytuły piosenek, kilka zdawkowych informacji. Koniec. Ani słowa nie tylko o miejscu i czasie nagrania, ale również o autorstwie poszczególnych utworów.

Niedawny noblista od dekady borykał się z nierówną formą twórczą. Na kolejnych płytach pojawiały się wówczas klejnoty otoczone wianuszkiem utworów jak na niego przeciętnych, a jeśli niezłych, to zagranych bez przekonania. Pisanie piosenek stawało się coraz większą katorgą. Pod koniec lat 80. udało mu się wreszcie stworzyć serię wartościowych rzeczy, które poumieszczał na czterech płytach – dwóch własnych „Oh Mercy" i „Under the Red Sky" oraz dwóch nagranych z supergrupą Traveling Wilburys.

Muza jednak ponownie go opuszczała, przymus dostarczenia nowego materiału autorskiego stawał się więc nie do zniesienia. Dylan czuł, że jego własna tożsamość artystyczna wymyka mu się z rąk. Jak pisał w „Kronikach": „moja muzyczna droga stała się ścieżką przez dżunglę. (...) Okna od lat były zabite deskami i zasnute pajęczyną" (przeł. Marcin Szuster). Rozwiązaniem było pójście do wiecznie tryskającej krynicy.

Na nowo

Dylan sięgnął pewnie do skarbnicy tradycji. Nagrał w Chicago tuzin cudzych piosenek pod okiem producenta Davida Bromberga. Towarzyszyło mu dziesięciu muzyków, a w dwóch utworach dodatkowo chór gospel. Z tej sesji oficjalnej publikacji doczekały się do dziś tylko dwie piosenki, i to dopiero w 2008 r., ponieważ niemal zaraz po zakończeniu nagrań Dylan zrezygnował z plonu sesji chicagowskiej, uznając, że potrzebna mu jest radykalna odmiana.

Album „Good as I Been to You" powstał na przełomie lipca i sierpnia w jego domowym garażu. Na płycie słuchać tylko chrypiący głos artysty i gitarę akustyczną, w dwóch piosenkach jeszcze harmonijkę. Trzynaście utworów, z których żaden nie powtarza się z tymi nagranymi w Chicago. Wszystkie pochodzą z głębokich dziejów – są to bądź ballady mające źródła niekiedy nawet w XVII stuleciu, bądź piosenki ustalonego autorstwa, ale mocno zakorzenione w ludowym bluesie, jak „Sittin' on Top of the World" czy „Frankie & Albert".

Przeciętny słuchacz miał prawo uznać album za dowód, że Dylan ostatecznie utracił wenę, usiłując przykryć kryzys twórczy bezpiecznym repertuarem z domeny publicznej. Przekonanie to mogło się umocnić, gdy rok później artysta wypuścił kolejny album, identyczny formalnie, choć mroczniejszy w treści, o wymownym tytule „World Gone Wrong", a potem milczał jako twórca przez dalsze trzy lata. Miniony zdawał się czas epokowych, wywracających porządek muzyki popularnej klasyków w rodzaju „Like a Rolling Stone" albo „All along the Watchtower". Bob Dylan „się skończył" – uznano.

On tymczasem „zaczynał się" na nowo, o czym świadczą wszystkie jego późne albumy wydane począwszy od 1997 r. Sięgnięcie po utwory z głębi czasu, niekiedy bardzo dawne, a paradoksalnie wciąż żywe, miało terapeutyczny i inspiracyjny charakter. Podobnie późniejszy kilkuletni romans Dylana z dorobkiem

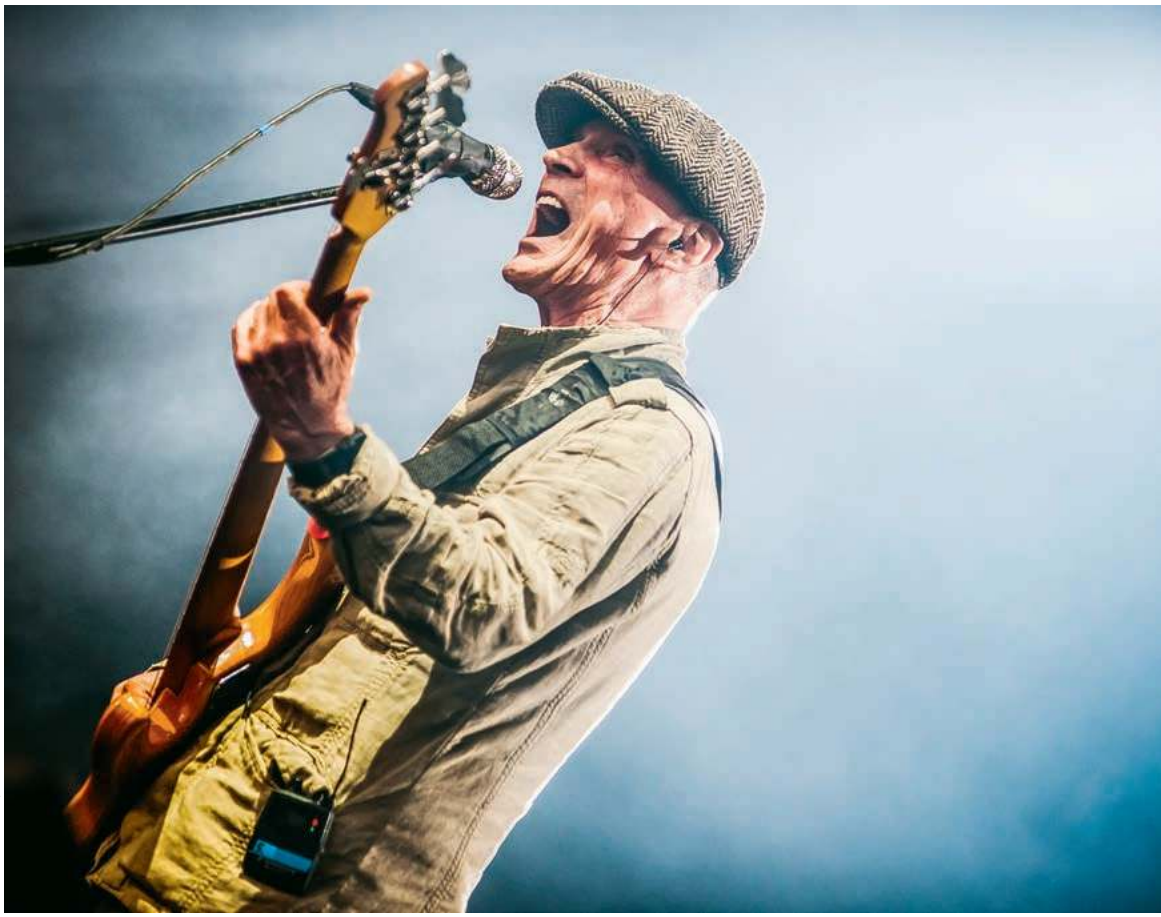

KAROL MAKURAT/REPORTER

Lech Janerka podczas festiwalu Męskie Granie. Gdynia, 11 sierpnia 2018 r.

piosenkarskim pieśniarzy pokolenia Franka Sinatry. Nie były to ani kaprysy, ani kapitulacje, tylko rozmyślne kroki, ćwiczenia wykonywane w swoistej „siłowni twórczej".

W moich rozważaniach istotny jest jeszcze jeden aspekt: nieoczekiwany powrót Dylana do tradycji i do grania solo oczywiście zaskoczył, ale wcale nie zbulwersował jego publiczności.

Obce ciało

Polska muzyka rozrywkowa zdołała skutecznie odciąć się od brzmienia ziemi – tej ziemi. A brzmienie tej ziemi nie zdołało na trwałe wdrukować się w inspiracje i intuicje muzyczne kompozytorów. No bo wyobraźmy sobie, że w Polsce ktoś o choćby trochę porównywalnym z Dylanem statusie twórczym, jakaś wybitna autorka czy autor tekstów fundamentalnych dla naszej muzyki popularnej nagle wypuszcza płytę z utworami sprzed dziesiątków lat, anonimowych lub choćby należących do dziedzictwa tej ziemi. Że na przykład Kora wydaje płytę z pieśniami maryjnymi, Lech Janerka sięga po pieśni dziadowskie, Katarzyna Nosowska nagrywa album złożony z przyśpiewek żniwnych, wyliczanek dziecięcych i XIX-wiecznych nut powstańczych, Pablopavo prezentuje kolekcję piosenek z repertuaru śpiewaków z początków II RP. Publiczność przyjęłaby je ze zdumieniem, uznając za osobliwe ciekawostki, obliczone właśnie na efekt osłupienia.

A przecież Dylan może i zaskoczył, czerpiąc z otchłani tradycji, ale odwołał się jednak do znanego, akceptowanego powszechnie idiomu. Do dawnych pieśni wędrownych, morskich, więziennych, miłosnych, żałobnych, ujętych w strukturę ballady bądź bluesa, szeroko pojęta muzyka rockowa odwoływała się niemal od zarania. Anglosaska i celtycka piosenka ludowa oraz czarna pieśń pracy i modlitwy stanowią bowiem jeden z fundamentów tego, co od połowy lat 50. zeszłego wieku zdominowało po dziś dzień rynek rozrywki muzycznej. To niezaprzeczalna część genotypu tego, co śpiewali nie tylko Dylan, ale też Elvis Presley, Mariah Carey, Johnny Cash, Prince, Led Zeppelin czy PJ Harvey. Nawet w twórczości tak odległych od muzyki korzeni artystów, jak Tori Amos lub Tool, da się dotrzeć do choćby słabego echa dawnego muzycznego Big Bang.

To dlatego w ustach Roberta Planta nie dziwi staroangielska nuta o skazańcu próżno czekającym na wykupienie spod szubienicy, nie zaskakuje Johnny Cash śpiewający hymn o Ziemi Obiecanej, a wiejskiego bluesa „Love in Vain" Roberta Johnsona w wykonaniu Jacka White'a nikt nie uznałby za dziwaczny wybryk.

Podobne konfiguracje u nas są niemożliwe. Jeśli Zuzanna i Basia Wrońskie zaśpiewają „Straśne się teroz rzecy dziejom w Krakowie! Że na wspomnienie o nich przechodzi mrowie!"; jeśli Dawid Podsiadło poczęstuje publiczność „Starymi grzechami" Artura Bartelsa; jeśli Bitamina zawistuje piosenką „Kąpała się Kasia w morzu" – występów tych nikt nie odbierze jako wycieczki do wspólnego matecznika kulturowego, tylko raczej do muzeum osobliwości. Dawne lub ludowe nuty bywają, owszem, obecne, ale tylko na prawach cytatu, stylizacji, ↦

↦ efektownego ornamentu. Są atrakcyjnym, ale jednak obcym ciałem. Zapożyczeniem z innego porządku estetycznego.

Przepaści

Nieco bardziej skomplikowany jest przypadek Wielkiego Śpiewnika Amerykańskiego, po który Dylan sięgnął niemal ćwierć wieku później, w 2015 r., wydając w ciągu trzech lat ponad pół setki piosenek z repertuaru Franka Sinatry, Doris Day, Nata „Kinga" Cole'a, Binga Crosby'ego i innych wielkich „croonerów" epoki przedrock'n'rollowej.

Komplikację tę powoduje fakt, że rock'n'roll narodził się między innymi jako rebelia przeciwko tradycyjnej piosence pop, reprezentowanej przez szlagiery swingowe i pokrewne im piosenki, zdobywające serca publiczności nie tylko poprzez nagrania płytowe i występy, ale także dzięki wykorzystaniu w rewiach, musicalach i filmach muzycznych. Nieco sentymentalny, często lukrowany świat kreowany w tekstach tych nader sprawnie skomponowanych utworów nie odpowiadał estetyce, jakiej szukały nastolatki urodzone w późnych latach 30. i później. Do tego suta aranżacja smyczkowa i wyfraczeni artyści w eleganckich dekoracjach – to absolutnie kojarzyło się ze światem konserwatywnych dorosłych.

A jednak poczucie ciągłości da się dostrzec tam, gdzie pozornie dochodziło do jej zerwania. Piosenki Sinatry, Crosby'ego, Patti Page czy Rudy'ego Vallée kwalifikowane są nierzadko jako standardy jazzowe. Mają gdzieś wspólnego przodka, daje w nich o sobie znać skrzat swingu, dżin energii, tu i ówdzie wpleciona bluesowa nuta. To jak różne odmiany tej samej rośliny.

Tymczasem polskie szlagiery międzywojnia i powojnia najczęściej ignorują miejscową tradycję muzyczną. Bardzo prawdopodobne, że przyczyny należałoby upatrywać w odmiennych źródłach naszej kultury popularnej. U nas przez stulecia dość wyraźna granica oddzielała pieśni wiejskie od pieśni salonu, kultywowanych w dworkach, wywodzących się z wysmakowanej estetyki chopinowsko-schubertowsko-moniuszkowskiej. XIX-wieczne śpiewniki domowe rzadko sięgały po tradycję *stricte* ludową, postrzeganą z perspektywy pańskiej bryczki jako trochę kłopotliwy balast, obcy klasowo koloryt.

Na pewnym etapie doszedł jeszcze wpływ francuskich kabaretów, a także tańczonych przez burżuazję tanga czy walca. Dlatego gros polskich szlagierów lat 20. i 30. XX wieku bardzo rzadko pachnie wiecznością rodzimej gleby muzycznej.

I również dlatego tak rzadko tamte piosenki swingują. Wśród tych, które naprawdę stały się u nas przebojami, wyjątkiem mogą być piosenki Marii Koterbskiej, gdzie swing i jazz często goszczą na pełnych prawach.

Poza widnokręgiem większości polskich kompozytorów znalazła się więc nie tylko lokalna tradycja muzyczna, ale także sprawdzona tradycja anglosaska. Tadeusz Faliszewski, Marta Mirska, Mieczysław Fogg czy Adam Aston do krainy jazzu nie wejdą nawet wpychani kolanem.

Do tych przepaści między polską piosenką tradycyjną a popularną doliczyć trzeba jeszcze jedną – dziejową. Okupacja niemiecka, co oczywiste, w dużej mierze zatrzymała proces ewolucji twórczości piosenkarskiej. A kolejnym hamulcowym okazał się stalinizm z narzuconą formą pieśni masowej, estetycznie nader konserwatywny, pod płaszczykiem ekspresji robotniczo-chłopskiej promujący żywe skamieliny, pozbawione łączności i z dawną pieśnią polską, już to salonową, już to wiejską, i z tym, co się grało na świecie. Przeboje lat 50., jeśli odwoływały się do jakichkolwiek wzorców, z pewnością nie była to ani nuta rdzennie polska, ani amerykański model miękkiego standardu jazzowego. Jeśli kompozytorzy i aranżerzy gdziekolwiek się zadłużali, to w egzotycznych tańcach latynoskich.

Na niemal dwie dekady staliśmy się więc swoistym skansenem nie wiadomo czego, nastąpiła bowiem podwójna wyrwa w zbiorowej wrażliwości. Piosenki promowane i słuchane na falach oficjalnej rozgłośni nie miały właściwie nic wspólnego ani z duchem ziemi, ani z twórczością Cole'a Portera, Irvinga Berlina, George'a Gershwina czy Harolda Arlena, nie mówiąc o Robercie Johnsonie.

O ile bowiem tamte piosenki są czytelnymi punktami odniesienia dla twórczości współczesnych kompozytorów rozrywki anglosaskiej, o tyle dziełka Henryka Warsa, Władysława Szpilmana, Jerzego Petersburskiego, Franciszki Leszczyńskiej bądź Romana Orłowa leżą w zupełnie innej szufladzie. Polska muzyka rozrywkowa, czy to popowa, czy rockowa, powstała wskutek nagłego peryferyjnego zachłyśnięcia się u progu lat 60. zupełnie dla nas nową estetyką zachodnią.

DNA

Gdy polscy artyści szeroko pojętej rozrywki czerpią z twórczości wiejskiej, czynią to z reguły albo jako archeolodzy, rekonstruktorzy czy reanimatorzy (Kapela Ze Wsi Warszawa, R.U.TA.), albo poprzez pastisz, cytat, intrygującą przeróbkę (Grzegorz z Ciechowa). Podobnie gdy sięgają po stare szlagiery (Kora, płyty „Cafe Fogg" lub „Fogga Ragga"). Jest w tym szlachetna intencja, a zarazem próba narysowania ciągłej linii, która w rzeczywistości nie istnieje. To przerzucanie pomostów między rozłącznymi światami.

Zdaję sobie sprawę, że prezentowane tu tezy są dyskusyjne. Z pewnością da się wyłowić pojedyncze przykłady im przeczące. Myślę jednak o współczesnej polskiej muzyce rozrywkowej jako całości. A w jej DNA nie są w czytelny sposób obecne ani piosenka wiejska, ani wielkie szlagiery dawnego kina czy estrady, ponieważ ona sama funkcjonuje na zasadzie przeszczepu z innej gleby.

Bob Dylan trzy dekady temu stąpał po czytelnych śladach jako ich spadkobierca. Historia sprawiła, że u nas byłoby to niemożliwe, skoro rodzima twórczość od lat jest w Polsce egzotyką.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Dzisiejszy off nie jest wściekły. **Jest raczej zniechęcony, czasem w depresji, nieustannie rozdwojony** w sobie, jakby wciąż wahał się, czy to, co robi, w ogóle ma sens.

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

AGNIESZKA CYTACKA / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU CHOREA

Teatr CHOREA, scena ze spektaklu „Śmierć na gruszy", reż. Łukasz Kos

Stany odmieńcze

DARIUSZ KOSIŃSKI

Teatr studencki i niezależny przyciągał tłumy nowatorskimi rozwiązaniami i odwagą atakowania oficjalnej wizji rzeczywistości. Czym może być dziś, gdy te funkcje potrafi spełnić teatr instytucjonalny?

Sporo ostatnio rozmawiam o teatrze, który lubi się nazywać „niezależnym". Trzykrotnie byłem jurorem w konkursie The Best Off – na najlepsze przedstawienie powstałe poza oficjalnymi instytucjami i co roku oglądałem kilkadziesiąt takich propozycji. Zarówno w powrotach do „złotej epoki" lat 70. i 80., jak i w nieustających dyskusjach o sytuacji współczesnej powraca wciąż to samo dręczące pytanie: jakie znaczenie może mieć dziś taka działalność dla publiczności i życia publicznego? Bo że ma wielkie znaczenie dla samych twórczyń i twórców – nie ulega wątpliwości.

Ciemny cień złota

Dawniej wszystko było (a przynajmniej wydawało się) prostsze. Legendarny dziś teatr studencki końca lat 60. i 70., teatr Ósmego Dnia, STU, Kalambura, 77, Pleonazmusa czy (przy wszystkich różnicach też do tego środowiska zaliczanej) Akademii Ruchu stanowił oczywistą alternatywę wobec repertuarowych scen dramatycznych. Alternatywę podwójną: polityczną i artystyczną. Polityczną na pierwszym miejscu, bo tak się wszak po 1956 r. rodził – jako głos nowego poodwilżowego pokolenia, które początkowo w formach głównie estradowych i kabaretowych przedstawiało własny sposób widzenia świata.

To były czasy STS-u i Piwnicy pod Baranami, które otaczały liczne mniejsze sceny przedstawiające głównie kameralne programy składane, satyryczne i poetyckie, niekiedy także sięgające po mniejsze i omijane przez teatr oficjalny pozycje repertuaru dramatycznego. Przełomowe znaczenie dla tego amatorskiego w istocie ruchu miały dwa wydarzenia: wypadki marca 1968 r. i teatr ubogi Jerzego Grotowskiego. Pierwsze wzmocniło polityczną radykalność, drugie – dało narzędzia do tworzenia teatru postrzeganego jako nowatorski, a opartego wszak na osobistym zaangażowaniu, zakładającego mówienie własnym, pełnym głosem, dobywanym jednak nie tyle z podlegającego ścisłej cenzurze tekstu, ile z walczącego o swoją pełną obecność ciała.

Teatr studencki wprowadził na wielką skalę improwizację i montaż tekstów jako podstawową metodę pracy. Pozostawał wierny zasadzie naruszania społecznych zakazów i tabu. Dzięki temu w zakłamanych propagandą sukcesu polskich latach 70. został błyskawicznie i powszechnie uznany za teatr prawdziwy i autentyczny, ↦

↦ a że także jego rozwiązania artystyczne budziły fascynację (i wydawały się łatwo dostępne), przyciągał coraz to nowe grupy wrażliwych i utalentowanych osób.

Tę pozycję udało mu się zachować jeszcze w latach 80., a do pewnego stopnia nawet w pierwszej połowie lat 90., gdy wprawdzie teatr ubogawy stał się anachroniczną manierą, ale najpierw opresje stanu wojennego, a potem udane próby przeciwstawiania się fali konsumpcjonistycznego liberalizmu pozwalały zachować pozycje wyraźnie alternatywne wobec dominujących form i tematów teatralnych. I właśnie przymiotnik „alternatywny" używany był wówczas częściej na określenie tego typu działalności niż termin „teatr studencki", który od dawna nie miał żadnego związku z rzeczywistością. Poznańskie „dzieci Ósemek" – Biuro Podróży, Strefa Ciszy czy (odmienni nieco) Porywacze Ciał, kontynuująca w oryginalny sposób inspiracje Akademii Ruchu Komuna Otwock, a nawet oddalone od centrów ośrodki w Gardzienicach czy Węgajtach tworzyły rzeczywiście mocną alternatywę i wobec goniącego za kapitalistycznym blichtrem społeczeństwa w transformacji, i wobec coraz bardziej zagubionego i zajmującego się głównie sobą teatru „oficjalnego".

MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Teatr Ósmego Dnia – spektakl w ramach 32. Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego Walizka. Łomża, 13 czerwca 2019 r.

Wrogie przejęcie

Wszystko zmieniło się pod koniec lat 90., gdy zawodowy teatr dramatyczny przeszedł szokową terapię artystycznej rewolucji tego, co nazwano „nowym teatrem", a co wprowadziło szerokim nurtem strategie dotychczas znane ze scen alternatywnych do oficjalnych instytucji teatralnych. Oczywiście mówienie, że teatr Krystiana Lupy i jego uczniów nazywanych kiedyś „ojcobójcami" powstał wyłącznie w wyniku takiego przejęcia, byłoby grubym uproszczeniem, niemniej jednak jego zwycięstwo doprowadziło do zasadniczej zmiany układu między tym, co w centrum, a tym, co stanowi alternatywę.

To, co do niedawna było „off", utworzyło tak silny nurt główny, że tradycyjny teatr literacki znalazł się na paradoksalnym „wewnętrznym marginesie".

Przed tą zasadniczą zmianą było jasne, że teatr dramatyczny „wystawia sztuki", a niezależny, przy wszystkich różnicach estetyk, styli i środków wypowiedzi, wypowiada się we własnym imieniu, nawet jeśli w cudzysłowie. To jego domeną było rozbijanie kompozycji dramatycznej, używanie montażu, improwizacji, różnorodnych metod „wbijania w ciało", odwoływania się do wyraźnie zdefiniowanej wspólnoty środowisk i doświadczeń (w miejsce deklarowanej przez przybytki sztuki „uniwersalności" i „ponadczasowości"). To on miał monopol na radykalność, prowokację, skandal, naruszenie granic. Wszystko to, jako wartości swoiście własne, off pod koniec XX wieku utracił. Co gorsza – jak sami offowcy przyznają – teatr zawodowy dzięki większym możliwościom technicznym i finansowym może eksperymentować o wiele mniej chałupniczo, w stylu pociągającym dla wielkomiejskich hipsterów.

Po dwudziestu latach od wejścia „nowego teatru" do mainstreamu jego strategie i estetyki na tyle się już opatrzyły, a niekiedy nawet zmanierowały, że można by pomyśleć, iż istnieje szansa na powrót do dawnej opozycji. Zwłaszcza że obserwujemy coraz śmielsze (co nie znaczy udane) i zdecydowanie wspierane przez rządzących kulturą próby powrotu do teatru „wystawiania sztuk", „dobrego rzemiosła" i „kulturalnego wieczoru" – oczywiście w „dobrym towarzystwie".

Współczesny off podejmuje próby eksperymentów bliższych nowoczesnej estetyce, tyle że są one zbyt różnorodne, by uznać je za przejaw jakiegoś jednego zjawiska. Płynność i środowiskowość jego granic widać szczególnie w przypadku projektów tanecznych, które w ostatnich latach stanowią istotną część sceny offowej. Dość powiedzieć, że dwa ostatnie konkursy The Best Off wygrały przedstawienia taneczne: „Uwaga" teatru o.de.la z Rzeszowa i „Unbody" konstelacji Hertz Haus. Oba są świetnymi przykładami bogactwa i różnorodności współczesnej polskiej sceny tanecznej, gdyby jednak obejrzeć te przedstawienia poza kontekstem konkursu, nie sposób byłoby powiedzieć, na czym miałaby polegać ich „offowość".

Poza zasadą rzeczywistości

Ludzie offu zdają sobie z tego sprawę i z goryczą mówią, że jedyne, co jest dziś wyróżnikiem ich środowiska, to permanentne niedofinansowanie i brak ciągłości. Widzieć właśnie w tym szansę i wartość to ryzykowne upiększanie cudzej biedy. Niemniej jednak, gdybym miał sam powiedzieć, co mnie do offu ciągnie i czego nie znajduję gdzie indziej, to wskazałbym na to, że tworzą go ludzie niespełniający aktualnie obowiązujących wyznaczników profesjonalizmu. Oznacza to ich marginalizację, brak stabilizacji, a często wprost pogardę ze strony wyznawców „dobrego rzemiosła" i „mocnych wypowiedzi". Zarazem jednak oznacza, że off jest jedynym teatrem, gdzie pojawić się mogą i wypowiedzieć swoje światowidzenie osoby niespełniające standardów wymaganych od tych, które występują stale i regularnie, a wcześniej pozytywnie przeszły weryfikację i szkolenie

u innych systemowych zawodowców. Jeśli szukać alternatywy, którą wciąż off może stanowić, to da się ją odnaleźć właśnie na tym, pozornie oczywistym, może wręcz trywialnym, ale naprawdę kluczowym poziomie. Uderzyło mnie to, gdy oglądałem niedawno przedstawienie „Śmierci na gruszy" Witolda Wandurskiego, zrealizowane w Teatrze CHOREA w Łodzi przez Łukasza Kosa. CHOREA to mocna (choć alternatywna) instytucja mająca wielki dorobek, markę, własny budynek i względną stabilizację. Razem z takimi zespołami jak Teatr Ósmego Dnia, Kana czy Brama tworzy grupę „magnatów offu". Łukasz Kos to zawodowy reżyser dramatyczny o sporym doświadczeniu. „Śmierć na gruszy" to klasyczny już dramat, a jego wystawienie w CHOREI nie nosiło znamion jakiegoś szokującego nowatorstwa.

Gdyby nie to, że zespół kierowany przez Tomasza Rodowicza nie ma środków (jak cały off) na stałe granie przedstawienia, można by powiedzieć, że to produkcja nieróżniąca się znacząco od repertuarowych. Z jednym wyjątkiem – gdy zespół CHOREI wychodzi na scenę i zaczyna działać, to uderza odmienność, niestandardowość tego niezwykłego zgrupowania osobowości. Jakoś nie spełniają niesformułowanych, ale mocnych oczekiwań warunkujących „profesjonalny" teatr. Jest dla mnie oczywiste, że aktorki i aktorzy CHOREI już samym swoim wyjściem na scenę uruchamiają proces wytwarzania przestrzeni i sposobów zaistnienia osób, które ze sceny zawodowej są wykluczone. I nie mówię tu o mocnych i modnych wykluczeniach – na przykład ze względu na orientację seksualną, queerowy wygląd i sposoby zachowania (bo z tym właśnie mainstream walczy szczególnie intensywnie i we własnym obszarze skutecznie). Nie mówię nawet o rzeczywiście możliwej tylko na offie stałej i umieszczonej w centrum sprawczej obecności osób z niepełnosprawnościami (głośny Teatr 21 to tylko jeden z wielu przykładów).

Mówię o miękkiej i niepoddającej się łatwo uogólnieniom niestandardowości, niepowtarzalności osób o specyficznej konstrukcji cielesnej, o noszących nieusuwalne piętno swoistości głosach, lokalnym i środowiskowym brzmieniu intonacji, wieku, nawykach zawodowych i tysiącach niepodrabialnych cech indywidualnych i grupowych. Mówię też o niedojrzałości ludzi wychodzących na sceny stosunkowo rzadko, robiących coś, co samo przez się jest dla nich wyjątkowym wydarzeniem. Mówię także o nieporadności, wstydzie, zażenowaniu. O całej gamie różnorodnych rodzajów obecności i sposobów bycia, które rozbijają zbiorowe wyobrażenia o „normalności".

Dzisiejszy off nie jest wściekły. **Jest raczej zniechęcony, czasem w depresji,** nieustannie rozdwojony w sobie, jakby wciąż wahał się, czy to, co robi, w ogóle ma sens.

Rewolucja, której nie będzie

Dawny teatr studencki i alternatywny był teatrem politycznej opozycji, walczącym z „komuną". Nawet jeśli nie wszystkie zespoły czyniły to w sposób tak otwarty jak Teatr Ósmego Dnia, Akademia Ruchu czy Provisorium, to było jasne, że ich niezależność miała charakter antyreżimowy. Na współczesnym offie takiego jednoznacznego politycznego zaangażowania niemal nie uświadczysz. Nie było go ani wtedy, gdy liberalny kapitalizm niszczył i pochłaniał istniejące od lat sposoby życia i więzi społeczne. Nie ma go i teraz, gdy narodowo-katolicka reakcja atakuje tych, którzy pozornie stanowią zaplecze i środowisko offu. Na wiele różnych sposobów teatr offowy w Polsce jest dziś krytykowany za brak radykalizmu. Rzeczywiście mocniejsze, bardziej zdecydowane propozycje ideowe i artystyczne, a już na pewno prowokacje polityczne znaleźć można u zawodowców.

Nawet gdy podejmuje kwestie niewygodne z perspektywy narracji władzy (na przykład doświadczenia osób nieheteronormatywnych), czyni to skupiając się na jednostkowości przypadków, w sposób raczej poszukujący zrozumienia i starający się budzić ciepło tolerancji niż przez eksplozje wściekłości. Bo dzisiejszy off nie jest wściekły. Jest raczej zniechęcony, czasem w depresji, nieustannie rozdwojony w sobie, jakby wciąż wahał się, czy to, co robi, w ogóle ma sens. Najważniejsze zaś, że brak mu tych projektów przyszłościowych, które ożywiały kontrkulturowe i antyreżimowe działania przodków ze złotych lat 70.

Kto wie, może tu właśnie ujawnia się podstawowa sprzeczność wewnętrzna, będąca przyczyną słabości offu: teatr, którego zasadą jest odmienność, nietakość, bycie poza i przeciw, sam nie wie, co miałby zaproponować poza głębokim i wszechogarniającym poczuciem, że powinno być inaczej. Powtarzanie „nie, nie, nie, nie tak!", przy braku odpowiedzi na oczywiste pytanie „a jak?", wydaje się jałowe, na dodatek jałowością zarażającą samych twórców i twórczynie. Ani kontrkulturowe utopie, ani gniewne punkowe „*no future*", ani protest przeciwko władzy nie ożywiają już tej działalności, nie nadają jej impetu i znaczenia.

Paradoksalnie off dałoby się określić formułą „zawód wykonywany", bo choć tworzą go ludzie, dla których teatr nie jest obszarem stałej i stabilnej działalności zawodowej, to kreowany i wykonywany przez nich obraz świata i własnego życia przesiąknięty jest doświadczeniem zawodu, niekiedy pokonywanego, częściej jednak powtarzanego w kolejnych odsłonach stagnacyjnego dramatu niemocy i/ lub rozczarowania.

Scena offowa może być jednak istotna, o ile zaakceptuje, a nawet zaafirmuje ten niedostatek radykalizmu. Bo to właśnie jego dominujący brak stanowić może akt niezgody i oporu. Albo też – może lepiej – wymknięcia się i działania na rzecz uchronienia tego, co off dzisiejszy tworzy i ożywia: niestandardowej pojedynczości, mniejszościowej wspólnoty chwilowych stanów odmieńczych, organizacji względnie niepowtarzalnego modelu życia i działania na własnych zasadach.

Jeśli off jest sceną rewolucji, to takiej, której nie będzie, bo dzieje się już, ale nie jako bunt, lecz zawód, nie jako wystąpienie, lecz przeciek w murach systemu. Nie jest rewolucyjna, bo nie głosi nadziei na przyszłość. Jest – bo w żaden sposób nie potrafi zaakceptować stanu sytuacji i codziennie poszukuje sposobu, by było „nie tak". Poszukuje go tworząc przedstawienia, a więc też doświadczając owego „nie tak", czyniąc je częścią swojego życia. Nie sądzę, by w dającej się przewidzieć przyszłości doprowadziło do zmiany systemu, do wieszczonego kiedyś przez kontrkulturę upadku Babilonu. Ale może doprowadzi do tego, że jego mury zamieszkiwać będą ludzie niesłużący mu.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Koniec ugody

ANITA PIOTROWSKA

Dwie pary rajstop i puchowa kurtka – w takim kokonie pracownice Harveya Weinsteina przekraczały drzwi jego hotelowych pokoi.

UNITED INTERNATIONAL PICTURES

„Jakbym opuściła swoje ciało" – mówiła aktorka Rose McGowan wspominając napaść seksualną, której w 1997 r. podczas festiwalu Sundance dopuścił się na niej Harvey Weinstein. W „Jednym głosem" te słowa powracają, to bowiem film, gdzie mówi się bardzo dużo. Chodzi między innymi o przełamanie owej ciszy, również medialnej, która przez dekady otaczała potężnego i w związku z tym nietykalnego producenta. Bo któżby chciał zadzierać z człowiekiem mającym na koncie „Pulp Fiction", „Angielskiego pacjenta" czy „Władcę pierścieni"?

Zrobiły to, jak wiemy, dwie reporterki „New York Timesa". Napisały o tym książkę i także w scenariuszu Rebekki Lenkiewicz (współscenarzystki „Idy" Pawła Pawlikowskiego czy „Sług" Ivana Ostrochovskiego) stały się głównymi bohaterkami „afery Weinsteina". Dzięki zaangażowaniu Jodi Kantor i Megan Twohey (oraz Ronana Farrowa z „New Yorkera") pięć lat temu świat usłyszał wreszcie o skali seksualnych przestępstw, o mechanizmach ich tuszowania i o strachu ofiar, wśród których były i anonimowe dotychczas asystentki, i znane aktorki. Film jest zatem pochwałą rzetelnego dziennikarstwa śledczego, a zarazem historią o narodzinach ruchu #metoo, który wstrząsnął nie tylko branżą kinową. Nawet jeśli nie ma tej siły rażenia, co oscarowy „Spotlight" (2015) Toma McCarthy'ego, podążający tropem dziennikarzy „Boston Globe" zajętych rozpracowywaniem gigantycznego skandalu pedofilskiego w tamtejszym Kościele katolickim, film Marii Schrader zawiera w sobie podobny, niespokojny nerw i detektywistyczną żyłkę.

Udramatyzowanie wydarzeń pozwala przeżyć je o wiele mocniej, choć przecież dobrze znamy ich zakończenie: przypadek szefa Miramaksu doczekał się filmów dokumentalnych i przez kilka lat nie schodził z tabloidowych łamów. Na ekranie mowa więc o rzeczach ogólnie wiadomych, ale trudno nie kibicować Megan (w tej roli Carey Mulligan) i Jodi (Zoe Kazan), czyli dwóm kobietom, które przy wsparciu rodzimej redakcji ruszyły na wojnę z systemowym seksizmem. O jego sile miały okazję przekonać się chwilę wcześniej, wraz ze zwycięstwem w wyborach prezydenckich innego seksualnego drapieżcy.

Film skupia się właśnie na dziennikarkach, widzianych zarówno w ferworze dochodzenia, jak i w swych codziennych, prywatnych rolach. Obie są w ciągłym biegu – po newsroomach i nowojorskich ulicach, w drodze na kolejne spotkania ze swoimi rozmówczyniami czy rozmówcami, czasem na innym kontynencie, non stop wisząc na telefonie. A już za chwilę widzimy je zmęczone, na łonie rodziny, gdy próbują przekrzyczeć domowy harmider, ogarnąć swoje macierzyństwo (świeżo upieczone w przypadku Megan), celebrować żydowskie święta (w przypadku Jodi). Im bardziej poświęcają się sprawie i im dłuższe okazują się jej macki, tym bardziej narasta w kobietach determinacja i jednocześnie strach o swoje bezpieczeństwo. Zresztą emocji mogłoby być w tym filmie znacznie więcej, zwłaszcza że obie aktorki świetnie je wygrywają, raczej w chwilach słabości i zwykłej międzykobiecej empatii niż w próbach heroizowania swych bohaterek. A chociaż co najmniej jedna z odtwórczyń ma obecnie status gwiazdorski, obie występują przed kamerą ostentacyjnie nieumalowane i „nieubrane" – bo przecież wszelkie gwiazdorzenie, szczególnie w kobiecym wydaniu, mogłoby nadwerężać wiarygodność takiego filmu.

Skoro zaś o strojach mowa: dwie pary rajstop i puchowa kurtka – ponoć w takim kokonie czy rynsztunku pracownice Weinsteina przekraczały drzwi jego hotelowych pokoi. W „Jednym głosem" tą dodatkową warstwą ochronną miało być wieloletnie milczenie kobiet, które w ten sposób próbowały odciąć się od swoich traum, przeżyć swój wstyd po cichu, nie dopuścić do zablokowania dalszej kariery czy po prostu dopełnić warunków podpisanej ongiś ugody. Prawnicy Weinsteina masowo kupowali ich milczenie i po latach większość z kobiet nawet anonimowo bała się zeznawać. Wiadomo jednak, że wyparte musi kiedyś powrócić i w niektórych przypadkach zjawiała się w końcu usilna potrzeba mówienia, choćby w imię odpowiedzialności za losy ewentualnych następczyń. Tyle że ktoś musi ten proces rozpocząć i film Schrader jest w dużej mierze oczekiwaniem na ów decydujący o wszystkim pierwszy głos. Głównym zaś zajęciem Jodi i Megan staje

JEDNYM GŁOSEM
(She Said)
– reż. Maria Schrader.
Prod. USA 2022.
Dystryb. UIP.
W kinach od 25 listopada.

Maria Schrader jest niemiecką aktorką (m.in. „W ciemności" Agnieszki Holland) i reżyserką, której sławę przyniosła rola w filmie „Aimée i Jaguar" Maksa Färberböcka (1999), historia wojennego romansu młodej Żydówki z żoną nazisty. Wyreżyserowała m.in. miniserial „Unorthodox" (2020) i nagradzany film „Jestem twój" (2021). „Jednym głosem" to jej debiut amerykański.

się wysłuchiwanie tych, które głos ten na całe lata utraciły i teraz z trudem próbują go odzyskać. Pośrednio „Jednym głosem" opowiada także o budowaniu ciszy na fundamencie konkretnego systemu prawnego, gdzie największymi beneficjentami, przynajmniej materialnie, zdają się jego funkcjonariusze.

Jak na film o reporterstwie śledczym przystało, czytelnicy gazet mogą sobie podpatrzyć od kuchni funkcjonowanie renomowanego dziennika. Choć przyznać trzeba, że twórczynie filmu pokazują tu raczej świat dziennikarstwa idealnego – takiego, za którym stoi marka, profesjonalizm, partnerstwo w pracy i nieograniczone zasoby (o finansowych kosztach skomplikowanego i ryzykownego śledztwa w ogóle się nie rozmawia). To obraz dziennikarstwa, które pozostaje niezłomne wobec prób zastraszania i doprowadza sprawę do perfekcyjnego wręcz finału. Towarzyszy mu oczywiście filmowy suspens: jak najlepiej rozegrać zgromadzone dowody, jak je medialnie wykorzystać i kiedy ostatecznie kliknąć w okienko „publikuj".

Mimo stojącej za „Jednym głosem" solidarności z ofiarami seksualnych nadużyć, złośliwi twierdzą, że oto kolejny tytuł (po „Gorącym temacie" czy serialu „The Morning Show") próbuje skapitalizować temat #metoo w show biznesie. Inni wytykają, iż koproducentem jest niejaki Brad Pitt, który był blisko związany z dwiema kobietami molestowanymi przez Weinsteina, czyli z Gwyneth Paltrow i Angeliną Jolie, aczkolwiek sam do świętoszków nie należy, czego dowodem miałby być niedawny pozew tej ostatniej związany z przemocą domową. Jeszcze inni zarzucają filmowi niekonsekwencję w odtwarzaniu znanych postaci (większość odgrywają aktorzy, ale na przykład Ashley Judd pojawia się we własnej osobie). Lecz choć na bardziej dogłębne studia wiktymologiczne pewnie przyjdzie nam w kinie poczekać (taką próbą była kameralna „Asystentka" Kitty Green), film Schrader stawia przecież na coś zupełnie innego. Jest po prostu rekonstrukcją pewnego procesu, który miał ongiś swój wielki finał, swoje bohaterki i bez wątpienia będzie mieć swoje następne odsłony. ©

Lektor:
Patryk Pufelski istnieje

▪ *Patryk Pufelski*
PAWILON MAŁYCH SSAKÓW
Wydawnictwo Karakter,
Kraków 2022,
ss. 200.

Czy możemy pisać o autorach, których znamy? Dyskusja na ten temat co jakiś czas powraca – sam nie widzę przeciwwskazań, byle to, co się pisze, było uczciwe i nie wiązało się z ukrytymi uwikłaniami.

Tym razem znajomość z autorem się przydaje, pozwala bowiem rozwiać wątpliwości podejrzliwego czytelnika. Niedoszły hungarysta opiekujący się w zoo pingwinami, gej objeżdżający ze swoją fretką imieniem Klusek lokalne oddziały Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce, nauczyciel dzieci w żydowskiej szkółce niedzielnej mający przyjaciół starszych o kilka pokoleń – czy ktoś taki rzeczywiście istnieje? Zapewniam: istnieje, naprawdę nazywa się Patryk Pufelski i krąży między rodzinnym Trójmiastem, Krakowem a Wrocławiem, gdzie teraz mieszka ze swoim partnerem, odwiedza też ogrody zoologiczne w różnych częściach świata. Praca wśród zwierząt była od dzieciństwa jego marzeniem, historie żydowskich i kaszubskich przodków zbiera z pasją, a jego dziennik nie jest fikcją, choć jak każda autobiograficzna wypowiedź – trochę autokreacją.

Co najważniejsze – Patryk Pufelski umie pisać. A tę umiejętność łączy z wrażliwością, obejmującą cały świat istot żywych. Pierwszy zapis: „Umarł dziś mój jeż, Tadeusz". Zapis następny dotyczy ukochanej babci, która właśnie zapisała się na fitness. I tak będzie dalej. „Mam 32 lata – mówi teraz autor Oldze Wróbel z „dwutygodnika" – ale dziennik zaczyna się, kiedy mam 23. Nie miałem wtedy świadomości ani narzędzi, żeby rozgryzać sprawy międzyludzkie". Zostawmy narzędzia, wspomnijmy o niebezpieczeństwach, których debiutant skutecznie unika: protekcjonalnego tonu wobec swoich wiekowych przyjaciółek i czułostkowości w relacjonowaniu przygód ze zwierzętami. Telefony babci Wusi to źródło zaskoczeń i zachwytu, a obserwacja życia codziennego stadka pingwinów łączy się z – jak by to ująć – szacunkiem dla ich odrębności. Kotikom można ofiarować torcik rybny na święto chanuki, ale od nich już zależy, czy ten prezent przyjmą.

Jest listopad, depresyjny miesiąc kurczących się dni. Lektura „Pawilonu..." krzepi, choć tamta dekada radosna nie była: pandemia, nasza wojenka domowa, szczucie na osoby LGBT, haniebne traktowanie migrantów na Podlasiu. Teraz za ścianą mamy wojnę prawdziwą. Uchodźców z Ukrainy na szczęście przyjmujemy, a są z nimi też zwierzęta. Siedmioletnia dziewczynka uciekająca z rodziną z Kijowa przywiozła 76 afrykańskich ślimaków z rodzaju *Lissachatina* – trafiły do Patryka. ©℗

OLGA

Drenda:
Eliksir zapomnienia

Odwiedziłam niedawno rok 2000. Mniej więcej, bo z perspektywy czasu przełom mileniów w Polsce wydaje mi się długą, monotonną erą, przyjemną jak brnięcie w błocie pośniegowym i ścieranie sadzy padającej na twarz w burym styczniu. Albo jak miasto wojewódzkie, w którym po szkole nie ma dokąd iść, a ulice wymierają po siedemnastej, bo i tak nikt nie ma pieniędzy. Albo jak beznadziejnie długie trasy rozklekotanym autobusem z i do szkoły, których jedynym plusem była możliwość odsłuchania na ogół całej kasety zawierającej najprawdopodobniej black metal.

Kasety kupowałam na dawnym katowickim dworcu, który wówczas, jeszcze przed przebudową, cieszył się sławą olbrzymiej, zaniedbanej i chaotycznej arki oferującej życiowym rozbitkom transformacyjnej Polski niepewne schronienie. Niektórzy bali się tam przebywać, ale dla mnie było to miejsce zupełnie normalne, służące spotykaniu się „pod zegarem", wymianie komiksów, a do tego ciekawe ze względu na małe sklepiki typu nora. Sprzedawały one kasety, amulety, przed którymi przestrzegano na katechezie, oraz koszulki z gumowatym nadrukiem, siejące małą panikę moralną (nawet dyrektorka naszej szkoły, zaniepokojona obecnością koszulek Cradle of Filth na naszych chudych torsach, zwołała apel – trafiając kulą w płot, bo tak się złożyło, że metale należeli do wzorowych uczniów). Na Śląsku subkultury żyją dłużej niż gdzie indziej i nigdy nie przestałam widywać w moim hajmacie ramonesek, długich piór i plecaków typu kostka, ale sklep, który zawierał wszystkie te elementy w 2022 r., nieco mnie zaskoczył. To była przyjemna wycieczka, choć wiedziałam, że dzisiaj takie zakupy pełnią już inną rolę. Moim rówieśnikom zapewniają nostalgiczną wycieczkę, a młodszym – możliwość skompletowania mundurka „w klimacie", choć to czasami raczej LARP dawnych subkultur niż ich kontynuacja.

Kiedyś Iron Maiden zagrali na polskim weselu – to dalekie echa tego ważnego wydarzenia.

OLGA DRENDA

Spotykam się niekiedy z pełnymi rozczarowania głosami, że dzisiaj kultury młodzieżowej już nie ma. Ostatnio trafiłam na taki akt narzekania w internecie przy zdjęciu przedstawiającym punków pod sklepem rzeźnika. Podpis „Polska, początek lat 90." wprowadzał w błąd, kierując myśli odruchowo w stronę „panie, kiedyś to było". Tymczasem zdjęcie pochodziło z festiwalu w Jarocinie, można więc powiedzieć, że widzimy na nim punków w strojach galowych. Na co dzień zapewne prezentowali się nieco grzeczniej. To dziś łatwiej w Polsce trafić na punka wyglądającego zupełnie jak z Londynu czasów Sex Pistols czy gota bardziej gotyckiego niż ulubieni artyści Tomasza Beksińskiego. Różnica jest taka, że skompletowanie stroju w stylu subkulturowym jest o wiele prostsze (wystarczy szukać po odpowiednim hasztagu), można też bez problemu znaleźć instrukcje dotyczące poszczególnych estetyk – bo właśnie to słowo zastąpiło „subkulturę". Zazwyczaj też wizualna i muzyczna strona górują nad pozostałymi. Eksploracje ideologiczne, a zwłaszcza wyprawy w autodestrukcyjne rejony – w tym przypadku upodobanie do tanich win i bójek ze skinami – to faktycznie przeszłość i w takim znaczeniu rzeczywiście subkultur nie ma. Dawniej były one odpowiedzią na brak perspektyw, nudę i biedę wśród młodych, tak w Londynie w 1977 r., jak w Katowicach w 1999 r. – i nie ma znaczenia, jak bardzo takie inicjatywy podgrzewali i kapitalizowali menedżerowie i biznesmeni, one zawsze do pewnego stopnia wypływały z realnych pobudek. O tym, jak wyglądało to w metalu, więcej napisał ostatnio w swojej książce Jarek Szubrycht, kiedyś lider Lux Occulta. Pojawiły się też nurty zupełnie nowe i dla starych załogantów zapewne niezrozumiałe, jak otaku, cosplayerki i k-popiary. Osobiście bardzo im kibicuję – spełniają moje osobiste marzenie z pierwszej klasy liceum, kiedy sama marzyłam o takich strojach.

Popadać w nostalgię niespecjalnie warto. Robimy błąd z optymizmu, zakładając, że człowiek szukający alternatywy wobec społecznego standardu musi myśleć samodzielnie i krytycznie, a bywa całkiem odwrotnie. Przypominam sobie kilka osób, które utkwiły mi w pamięci za sprawą upodobania do nie zawsze mądrej transgresji, a których pragnienie poszerzenia sobie umysłu otwarło go tak bardzo, że do środka wpadły zupełne dyrdymały, za czym szło jednak poczucie bycia oświeconym i odmowa przyjęcia do wiadomości, że człowiek bywa omylny. W życiu publicznym, polskim i nie tylko, można też znaleźć kilka przykładów na prawdziwość maksymy „i hipisi będą łysi" (nie w znaczeniu utraty owłosienia, lecz zapisania się ideowo raczej do skinów). Z czasem doceniam jednak to, co inni subkulturom zarzucają: że przesłaniają „prawdziwy świat". Cieszę się, że mając 17 czy 18 lat angażowałam się głównie w okołomuzyczne pasje, ewentualnie rozmaite „książki zbójeckie". Dzięki temu niemal jedyne wspomnienia, jakie zachowałam z tamtych raczej niewesołych czasów – i pod względem ogólnego poziomu życia w Polsce, i mojej własnej antypatii do siebie, szkoły i świata dookoła – dotyczą muzyki, wiedzy tajemnej i tego, kto był bardziej „autentyczny". To mój ulubiony eliksir zapomnienia. ©

PAWEŁ

Bravo: *Andante*

Jeden, na razie, płomyk zabłyśnie na adwentowym wieńcu. Potem dojdą do niego po kolei, w spokojnym rytmie andante, trzy następne. Tak to się bowiem składa, że w naszym horyzoncie kulturowym poczwórność jest obok trójcy szyfrem spraw, o których nie sposób mówić wprost, bo popada się w polerowany banał i filozoficzne gryzmoły, będące jako te świece, które świeciły, by nic nie oświecić, z „Krajobrazu po uczcie" Kaczmarskiego.

Adwent i ostatnie tygodnie przed zimowym przesileniem pełne są wprawdzie pewności, że co ma nastąpić, nastąpi – niezależnie, czy oczekujemy narodzin Dziecięcia, czy raczej powolnego powrotu Słońca z dalekich wczasów nad zwrotnikiem Koziorożca. Mimo to czas nadszedł, przynajmniej w wymiarze świeckim, paskudny. Nie czuję się uszlachetniony, gdy mój diler pomidorów, opiewany w tej rubryczce pan Grzegorz z placu Na Stawach, zamknąwszy i tak długi dzięki ciepłej jesieni sezon, kładzie mi do siaty buraki. Pyszne, owszem, jeszcze wcale nie piwniczne, zjadam je po szybkim pieczeniu prosto z ręki, tylko skórkę zdejmę i posypię solą. Skórę potem mam przeżartą na karminowo, jak niedomyty sprawca, i w sumie lubię ten widok. No ale mnie to nie uszlachetnia.

Podobnie jak kiedy wyjdę na papierosa z panem Ziółko na koniec targowego dnia, by porozmawiać o tym, jak dobrze robi kalafiorom powolny wzrost – właśnie teraz, kiedy jeszcze ostatnie dochodzą w zimnie, są najlepsze, bardziej treściwe i trwałe niż te zbierane w sierpniu. Upieczcie poodcinane z główki różyczki pół na pół z pokrojonymi w ósemki ziemniakami, i gęsto powtykajcie w prześwity ząbki czosnku – wtedy człowiek rozumie, po co w ogóle jest na świecie kalafior. No i sałata, jeszcze dochodzi w tunelach i jeśli zdąży przed tęższym przymrozkiem, to jest jędrna i nic jej nie trzeba poza paroma kroplami cytryny.

Sednem tych sytuacji jest oczywiście spotkanie, dla samych rozmów warto wyjść na ziąb do ludzi. Ale cóż może być szlachetnego w powrocie z targu z kalafiorem? Możemy najwyżej pobawić się słowami i poczwórność adwentu określić z łacińska *quaternitas*, żeby bardziej elegancko się męczyć. A kto obiecuje szybkie ścieżki, jest wart tyle co gąbczasty nibybakłażan z Hiszpanii.

Lepiej zagapić się w pierwszą świecę i docenić własne „przyzwoite, uczciwe, skromne i pożyteczne życie", o którym wspominał Jarosław Flis w niedawnym wywiadzie dla jednego z dużych portali. Rzecz jasna ten przenikliwy i wymowny socjolog nie zajmuje się niedolami klienta zimowego straganu, tylko sceną polityczną, na której, jego zdaniem, opozycja nie umie opowiadać o takim życiu, dalekim od wielkomiejskich wydmuszek wszechmocnej kreatywności i nadal czekającym na narracyjne docenienie. Nie czynią mu zadość rojenia obecnej partii władzy, która ma do zaproponowania wycięte z pożółkłego papieru fantomy rzekomego narodu, nieistniejącego poza głowami paru ideologów oraz spryciarzy, umiejących o tym opowiadać na dobrze posmarowanych posadach.

Spryciarze zawsze będą lepsi w słowach. Dobry przykład to „efektywny altruizm", czyli moda intelektualna robiąca karierę przez ostatnie kilka lat w kręgach miliarderów młodszego pokolenia. Pomysł w sumie nienowy, korzenie zapuścił w rygorystycznie pojętym utylitaryzmie, który ocenia działania wyłącznie po dających się policzyć i potabelkować skutkach. Szybko rozwinął się w przyjemną dla ucha sponsorów narrację „najpierw dużo zarób, żeby potem to inteligentnie rozdać" (zarób i nie zapłać podatków, rzecz jasna, bo państwo nie jest efektywne w wydawaniu). Z ruchu na rzecz sensownego szukania dobrych celów (np. tanie moskitiery przeciw malarii) zamienił się w podbudowę dla pychy wyznawców, którzy zaczęli płacić krocie na cele wzięte z sufitu własnej fantazji. Parę dni temu największy dobrodziej, założyciel jednej z głównych giełd kryptowalut, okazał się prostym oszustem i spektakularnie splajtował, topiąc w niebycie nie tylko kolosalne wkłady swoich inwestorów, ale i miriadę suto finansowanych organizacji „zawodowych altruistów".

Cóż, na razie ludzie chciwi będą musieli się obyć bez etycznej podbudowy, aż ktoś niebawem wykombinuje coś nowego (gdy czytam usprawiedliwienia dla obecnych mistrzostw w piłce, nie wątpię, że jest dużo bystrych kandydatów). A nam niech zostanie skromne i pożyteczne życie. Tu i teraz, od razu, bez czekania, aż wypali się czwarta świeca i znów zaświeci słońce. ©℗

W ostatnich dniach papież odwiedził kuzynów w piemonckim mieście Asti, skąd rodzina Bergogliów wyemigrowała do Argentyny. Jednocześnie w ten sam weekend trwał tam festiwal poświęcony jednej z podstawowych jesiennych potraw Piemontu, którą zresztą Franciszek też jada ze smakiem. Warto więc przypomnieć przepis na bagna cauda, czyli dosłownie „ciepły sos". Siekamy na plasterki po 1 ząbku czosnku na osobę, podgrzewamy na wolnym ogniu w mleku (ok. 50 ml na ząbek) przez 20 minut. W tym czasie kładziemy na patelnię po 3-4 fileciki anchois na głowę, dusimy je na oliwie, aż się rozpadną, pilnując, by nic nie skwierczało. Dodajemy rozgotowany czosnek i trochę oliwy, dalej dusimy, mieszając i rozgniatając drewnianą łyżką, aż wszystko się rozpuści. Możemy podlać odrobiną mleka, w którym gotował się czosnek. Podajemy na ciepło w miseczkach. W Piemoncie polewa się tym sosem warzywa takie jak kard czy pieczona papryka, ale także ziemniaki i cebulę. Ja szczególnie lubię uszlachetniać tym nasze buraki, zwłaszcza gdy staną się już całkiem piwniczne w smaku.

PATO VOTTERO / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

ODKRYWCA MIMO WOLI

Delta Orinoko przypomina mu cztery rzeki wypływające z Edenu. Jest więc bożym posłańcem, mającym przygotować ludzkość na nadejście końca czasów.

MICHAŁ SOWIŃSKI

Nie wiemy, jak naprawdę wyglądał. W 1892 roku zorganizowano w Chicago wystawę upamiętniającą 400. rocznicę jego pierwszej wyprawy do Nowego Świata. Znalazło się na niej 71 portretów, każdy był jednak inny, a najstarszy powstał 30 lat po śmierci portretowanego. Nieliczne relacje współczesnych również są sprzeczne – jedni pisali, że był wysoki, dobrze zbudowany i przystojny, inni, że niski, otyły i szpetny.

Podobnie z charakterem – zdaniem niektórych miał być człowiekiem charyzmatycznym, oddanym bez reszty idei odnalezienia nowej drogi do Indii, ale też troskliwym wobec najbliższych i podwładnych. Inni podkreślali jego religijny fanatyzm (wyróżniający się nawet w XV-wiecznej Hiszpanii), kapryśno-choleryczny temperament i naiwność w relacjach ze światem polityki.

Biografia Kolumba, pełna białych plam, oparta na spekulacjach, domysłach, a czasem wręcz najbardziej fantastycznych teoriach spiskowych, obrosła setkami interpretacji. Wciąż rozpala wyobraźnię. Ale tak to już bywa z morskimi opowieściami.

Fantazje z ziarnem prawdy

W tej opowieści każdy znajduje coś dla siebie. W tym, co jedni traktują jako niepodważalne fakty, inni widzą śmiechu warte apokryfy. I nie chodzi tylko o teorie zupełnie szalone. Jak ta, że Kolumb był synem papieża Innocentego VIII, który – mając dostęp do map w sekretnych skarbcach Watykanu – zainspirował go do podróży przez Atlantyk. Albo – wersja polonocentryczna – że jego ojcem był Władysław III Warneńczyk, który nie zginął w fatalnej bitwie, tylko schronił się na Maderze. Albo że Kolumb uwiódł i rozkochał w sobie królową Izabelę, która z tego powodu do końca swojego życia była mu wyjątkowo przychylna. Albo że był agentem bogatych Żydów z Półwyspu Iberyjskiego, którzy zdawali sobie sprawę, że zadłużeni po uszy z powodu kosztownej rekonkwisty władcy prędzej czy później połaszą się na ich złoto – postanowili więc poszukać sobie drogi ucieczki przez ocean do Azji.

Co ciekawe, każda z tych śmiałych hipotez ma w sobie ziarno prawdy. Wiele argumentów, których używał Kolumb, aby przekonać potencjalnych mocodawców do sfinansowania szalonej wyprawy, było zbieżnych z pomysłami Innocentego VIII (zresztą też genueńczyka) na odnowienie chrześcijaństwa w duchu misyjno-mesjanistycznym. Większość źródeł wskazuje też, że między Kolumbem a Izabelą od pierwszego spotkania coś zaiskrzyło. A w otoczeniu hiszpańskiego dworu było podówczas wielu bogatych Żydów (zmuszonych wcześniej do przyjęcia chrztu), którzy po powrocie Kolumba z pierwszej wyprawy byli zaintrygowani nowymi możliwościami inwestycyjnymi.

Podobne problemy dotyczą podstawowych faktów. Zanim ustalono, że urodził się w Genui, kilkanaście włoskich miast ubiegało się o tytuł ojczyzny żeglarza (nie wspominając o Portugalczykach, Hiszpanach, Francuzach czy Anglikach). Nie wiemy, kim był i co robił, zanim zaczął propagować swoją oceaniczną fantazję po dworach całej Europy. Nigdy też zapewne nie ustalimy, jak właściwie wyglądały te trzy statki, które zmieniły bieg historii.

Bezkresny ocean i człowiek, który miał na tyle odwagi i determinacji, żeby go przepłynąć. Trudno o lepszą matrycę dla heroicznych fantazji. W przypadku Krzysztofa Kolumba granice między historią a fikcją są szczególnie nieostre. Wariantów jego historii istnieje tyle, że wystarczy dla niejednej opowieści. Moja nie koncentruje się na odkryciu (z perspektywy Europejczyków) Ameryki, a raczej na samej postaci – chimerycznej, wręcz dziwacznej, pełnej uporu i zapału przeradzających się w religijno-geograficzny fanatyzm, który pod koniec życia ustąpił miejsca proporcjonalnie wielkiemu zgorzknieniu.

Żeglarz i znaki

Urodził się w 1451 r. w Genui, choć za życia podawał inne daty, czasem próbując się odmłodzić, czasem postarzeć. W 1453 r. upada Konstantynopol, co radykalnie zmienia kształt ówczesnego świata – Morze Śródziemne szybko traci na znaczeniu

Rzekoma mapa Krzysztofa Kolumba, wykonana w warsztacie Bartłomieja i Krzysztofa Kolumbów w Lizbonie ok. 1490 r.

WIKIMEDIA DOMENA PUBLICZNA

geopolitycznym, a wraz z nim jego porty, w tym Genua, potężne miasto-państwo, które dało światu wielu wybitnych marynarzy i podróżników. Ich doświadczenie i talenty nie marnują się jednak, gdyż wielu z nich przechodzi na służbę nowym, rodzącym się właśnie potęgom z Półwyspu Iberyjskiego.

„We wczesnym dzieciństwie wyszedłem na morze i pływam po nim w dalszym ciągu po dziś dzień, bo takie jest przeznaczenie każdego człowieka, który uporczywie pragnie poznać tajemnice świata" – pisał. Od swoich krajan uczy się żeglarstwa kabotażowego (czyli pływania wzdłuż wybrzeża). Pływa także do Portugalii, gdzie pierwszy raz widzi ocean. Podczas jednego z takich rejsów jego statek zostaje napadnięty (ponoć było to dyplomatyczne nieporozumienie) przez okręt francuski, a sam Kolumb ledwo uchodzi z życiem – uczepiwszy się kawałka drewna, cudem dopływa do brzegu.

Jako że Kolumb od zawsze był mitomanem, tym brzegiem miał być portugalski Przylądek Św. Wincentego – skrawek Europy, z którego najdłużej widać zachodzące słońce. A przy okazji znajduje się tam także twierdza Sagres, gdzie książę Henryk Żeglarz założył słynną szkołę nawigatorów, bez osiągnięć której Europejczycy mogliby dalej tylko marzyć o podboju oceanów. W końcu pomazańcy boży, za którego być może już wtedy uważał się Kolumb, nie rozbijają się byle gdzie.

Legenda ta była mu też zapewne przydatna, gdy za sprawą małżeństwa z Filipą Perestrello de Moniz w 1479 r. wchodził w środowisko portugalskiej arystokracji. Jego teść był postacią znaną w świecie żeglarskim – odkrywca Madery, gubernator wyspy Porto Santo, z wpływami na dworze Jana II. To dzięki niemu Kolumb otrzymuje dostęp do bezcennych map, zaczyna także pływać na portugalskich statkach, czyli uczy się nowych technik oceanicznego żeglarstwa od najlepszych.

O tym, że Ziemia jest okrągła, wiedzieli wszyscy wykształceni ludzie tamtej epoki. Kolumb był, lekko licząc, trzecim pokoleniem morskich odkrywców. Portugalczycy już od początku XV wieku intensywnie eksplorowali wybrzeże ↦

↦ zachodniej Afryki, nie tylko odkrywając przy okazji atlantyckie wyspy i archipelagi, ale obalając także kolejne mity. W 1416 r. Gonçalo Velho dopłynął do Przylądka Strachu, za którym rzekomo miało być tak gorąco, że woda w oceanie wrzała. Zła sława tego miejsca wiązała się z układem prądów utrudniającym żeglugę i piaskiem z Sahary, przez który woda często miała czerwony kolor. Imperialne parcie było jednak silniejsze niż zabobony, więc z każdym rokiem zdobywano kolejne przyczółki dla oceanicznej wyobraźni.

Podniecenie możliwościami, jakie daje ocean, narastało nie tylko wśród Portugalczyków. W XV wieku zachodnią Europę ogarnęła wyspomania. Wyspy Kanaryjskie, Madera, Wyspy Zielonego Przylądka i dziesiątki innych znacząco zmieniły wyobrażenie o oceanie, który przestał być nieprzyjazną, bezkresną pustynią. Apetyty zaczęły rosnąć – zaczęto się zastanawiać, czy kierunek południowy jest jedynym opłacalnym.

W przypadku Kolumba pomysł wielkiej wyprawy na zachód nabrał ostatecznych kształtów najprawdopodobniej wtedy, gdy mieszkał na Porto Santo w pobliżu Madery. Zapewne dzięki wpływom teścia był na bieżąco z relacjami z kolejnych portugalskich wypraw. Rozpalało to nie tylko wyobraźnię odkrywcy, ale również żądzę złota.

To jednak mało – trzeba ten obraz jakoś dopełnić. Na przykład: przyszły odkrywca siedzi na brzegu wysepki i patrzy, jak słońce znika za horyzontem. Czeka na znak. A znaków zapewne nie brakowało. Sztormy wyrzucały na brzeg rośliny nieznane podówczas w Europie albo kawałki drewna przyozdobione dziwnymi znakami. Kolumb był bowiem człowiekiem znaków. Widział je wszędzie – w Biblii, w starożytnych i średniowiecznych tekstach, na wodzie i niebie. Urodził się i umarł jako człowiek o średniowiecznej wyobraźni, wrażliwości i sposobie postrzegania świata. Jednak w znakach szukał nie tyle wskazówek Opatrzności, ile raczej potwierdzenia tego, co już wiedział od dawna – że Bóg powierzył mu wielkie zadanie. Tak przynajmniej rysuje go w nieco hagiograficznej biografii syn Ferdynand.

Moja ulubiona scena (zapewne zmyślona), w której rzeczywistość podsuwa Kolumbowi taki właśnie znak, miała wydarzyć się 7 października 1492 r., a więc pięć dni przed dotarciem do pierwszej wysepki Małych Antyli (której – do dziś nie ma pewności). Załoga była u kresu wytrzymałości, bo według planów już od kilku tygodni mieli zaznawać rozkoszy Azji. Zdesperowany Kolumb miał tego poranka wznieść oczy ku niebu i dostrzec stado ptaków lecących na południowy zachód. Ku oburzeniu dowódców dwóch pozostałych statków, od razu podjął decyzję o zmianie trzymanego od tygodni kursu, aby podążyć za skrzydlatymi wysłannikami niebios.

WIKIMEDIA DOMENA PUBLICZNA

Sebastiano del Piombo, Portret mężczyzny (domniemany portret Krzysztofa Kolumba), 1519 r.

Według dzisiejszych standardów jego stosunek do rdzennej ludności Ameryki był oczywiście karygodny, jednak w porównaniu z tymi, co przyszli po nim, **Kolumb był człowiekiem wręcz empatycznym.**

Taka korekta prawdopodobnie została dokonana, możliwe nawet, że tego właśnie dnia. Gdyby nie nastąpiła, w ciągu kolejnej doby lub dwóch statki Kolumba wpłynęłyby w zasięg Golfsztromu, silnego prądu, który definitywnie zniósłby go z powrotem do europejskich brzegów. Czy jednak faktycznie ptaki przeleciały nad jego głową, zmieniając kurs dziejów świata? Najciekawsze, że zarówno odpowiedź twierdząca, jak i przecząca niepokoją.

Z pewnością upór, z jakim Kolumb szukał poparcia u kolejnych władców europejskich, miał w sobie rys fanatycznej wiary w przeznaczenie. Wpierw nie zraził się odmową króla Portugalii (projekt afrykański rozwijał się obiecująco, nie było potrzeby nowych kosztownych inwestycji), potem kolejnymi wymówkami hiszpańskich władców. Izabela Kastylijska miała jednak dobrą intuicję i przez lata trzymała dziwnego genueńczyka przy swoim boku.

Admirał oceanu

Na usprawiedliwienie władców trzeba podkreślić, że trudno było wtedy o przekonujące argumenty dla pomysłu dopłynięcia do Indii przez Atlantyk. Ówczesna wiedza geograficzna Europejczyków opierała się na chaotycznie skompilowanych fragmentach starożytnych pism, w konsekwencji pełniła przede wszystkim funkcję teologiczno-pedagogiczną, a nie praktyczną. Do tego Kolumb upodobał sobie dziwaczne dzieło „Imago mundi" Pierre'a d'Ailly, ponoć nigdy się z nim nie rozstawał, podobnie jak z relacjami z podróży Marca Polo. To pierwsze utwierdziło go w przekonaniu, że do Azji da się dopłynąć zachodnią drogą, drugie traktował niczym bedeker po krainach, gdzie nawet dachy domów są ze szczerego złota.

Przyszły don kichot oceanu uparcie wlókł się za wędrownym podówczas hiszpańskim dworem, aż do samej Grenady, której upadek 2 stycznia 1492 r. widział na własne oczy. Wtedy też poczuł, że wiatr historii w końcu staje mu się przychylny. 17 kwietnia dochodzi do tak zwanych kapitulacji z Santa Fe, czyli podpisania umowy, zgodnie z którą Kolumb ma dostać trzy statki na swoją wyprawę, a także tytuł wicekróla wszystkich odkrytych ziem. Ma także po wsze czasy być nazywany Admirałem Oceanu (Almirante del Mar Oceánico) oraz otrzymywać 10 procent wszelkich potencjalnych zysków. Czego nigdy nie zdołał wyegzekwować (gdyby udało się to jego potomkom, byliby najbogatszymi ludźmi w dziejach świata).

3 sierpnia wypływają z niewielkiego portu Palos w Andaluzji. Trzy statki, które zmieniły los świata, były liche nawet jak na ówczesne standardy. Nikt, poza samym Kolumbem, nie spodziewał się po tej wyprawie wiele.

Do dziś trwa spór, czy Kolumb pomylił się w obliczeniach, czy też celowo zataił szacowaną długość trasy. Za-

pewne jedno i drugie. W swoich kalkulacjach posługiwał się zarówno Ptolemeuszem (już wtedy znano w przybliżeniu obwód Ziemi), jak i Biblią, gdzie napisane jest, że morza stanowią jedynie siódmą część świata. Starożytna matematyka pomnożona przez boskie objawienie dała mu w przybliżeniu odległość 2000 mil od Wysp Kanaryjskich do Cipangu (zniekształcona chińska nazwa Japonii), cudownej krainy, w której Marco Polo nie był, ale zachwalał jej bogactwo. Pomylił się (?) więc o przeszło pięć razy.

Z pierwszej wyprawy zachowały się odpisy dziennika Kolumba – dzieła będącego wzorem nowego gatunku literackiego. Było to skuteczne narzędzie kolonizacyjne, ustawiające imperialną optykę Europejczyków. Dziennik Kolumba, jak wiele mu podobnych, powstałych już w XVI wieku, stanowił polityczną i filozoficzną podbudowę grabieżczych praktyk.

Ale przecież nie tylko. To także zapis zderzenia ze światem niewyobrażalnie innym, wyłamującym się z dotychczasowego porządku wiedzy i wyobraźni. Aby sprawę jeszcze bardziej skomplikować, należy wziąć pod uwagę, że Kolumb słabo władał hiszpańskim – posługiwał się jego uproszczonym wariantem, pełnym naleciałości portugalskich czy włoskich, co było typowe dla marynarzy tamtej epoki. Nigdy nie zdobył też porządnego wykształcenia, był raczej typem upartego samouka, który po swojemu układał kolejne kawałki zdobywanej wiedzy. Widać to w jego stylu, czasem bardzo schematycznym i skupionym na technicznych konkretach, kiedy indziej rozlewnym, pełnym barwnych opisów i pomysłowych metafor. A przede wszystkim przesiąkniętym zachwytem. Szczerym i głębokim, co wcale nie było takie częste wśród jego następców.

Kolumb stał się archetypem odkrywcy, choć wcale nie był typowym dla swojej epoki emisariuszem europejskich imperiów. Owszem, pragnął złota, ale też rozumiał, że tylko dostarczając je swoim zleceniodawcom, ma szanse kontynuować swoją misję. Według dzisiejszych standardów jego stosunek do rdzennej ludności Ameryki był oczywiście karygodny, jednak w porównaniu z tymi, co przyszli po nim, był człowiekiem wręcz empatycznym. Gdy było to możliwe, próbował budować przyjazne relacje z tubylcami, starał się unikać przemocy, opierał się też długo wypracowanej przez Portugalczyków idei nowożytnego niewolnictwa. Nie bez kozery Bartolomé de las Casas zażarcie go bronił, gdy z powodów politycznych przedstawiano go jako zło wcielone.

Kolumb stał się dziś wdzięcznym obiektem krytyki. Od kilku lat w USA jest postacią niemalże zakazaną w liberalno-lewicowym mainstreamie politycznym. Przypisano mu wszystkie grzechy pięciu wieków kolonizacji obu Ameryk, z czym właściwie nie miał za wiele wspólnego. Co więcej, Kolumb, którego przez dekady fetowano 12 października w ramach Columbus Day, miał niewiele wspólnego z samym Kolumbem, nawet tym najbardziej fantastycznym. Niestety, w dzisiejszej wojnie na symbole nie bierze się jeńców.

Dramat ostatnich lat

Wracam do mojego Kolumba, starego już i zmęczonego, z czasów trzeciej i czwartej wyprawy do Nowego Świata. Z drugą (1493-94) wiązano wielkie nadzieje, ale skończyło się na jeszcze większym rozczarowaniu. Musiało minąć kilka dekad, zanim Hiszpanie ostatecznie zrozumieli doniosłość, także ekonomiczną, odkrycia Kolumba. Wcześniej dominowała frustracja, jako że stopa zwrotu pierwszych inwestycji była znikoma.

Kolumb słabo nawigował w labiryncie politycznych intryg. Szybko też okazało się, że jest marnym zarządcą, więc stopniowo odsuwano go od władzy, pozwalając mu dalej szukać rzekomo bliskiej Azji. W 1498 r. ląduje u ujścia Orinoko, jednak nie przyjmuje do wiadomości, że odkrył właśnie wielki ląd. Narastająca frustracja przekształca się w nim w coraz większy fanatyzm – rozległa delta zaczyna przypominać mu cztery rzeki wypływające z Edenu, co tylko umacnia go w przekonaniu, że jest bożym posłańcem, mającym przygotować ludzkość na nadejście końca czasów.

Widać to także w mętniejącym stylu jego listów, w których pojawia się coraz więcej biblijnych cytatów i proroctw. Uznał nawet, że rozdział 60. z Księgi Izajasza odnosi się bezpośrednio do niego. Wtedy też zaczyna używać tajemniczego podpisu złożonego z liter i cyfr, co do znaczenia których do dziś powstają fantastyczne teorie, łącznie z kabalistycznymi.

Z trzeciej wyprawy (1498-1500) Kolumb do Europy wraca zakuty w łańcuchy – królewski namiestnik miał już dosyć jego nadużyć i fatalnego zarządzania koloniami. Samo uwięzienie miało charakter symboliczny, ale Kolumb, z właściwym sobie dramatyzmem, stawił się zakuty przed obliczem królowej, aby unaocznić wszystkim nędzny los, jaki spotyka każdego proroka. Izabela, zapewne poruszona zmianą, jaka zaszła w tym niegdyś imponującym jej człowieku, oczyszcza go z zarzutów. Zezwala nawet na kolejną, ostatnią już wyprawę (1502-1504).

A ta okazuje się serią katastrof, dosłownych i symbolicznych. Flota Kolumba rozbija się w pobliżu przesmyku panamskiego, gdzie wraz z załogą musi zimować. Jego spekulacje teologiczno-matematyczne stają się zrozumiałe już wyłącznie dla niego samego (oblicza między innymi, że Ziemia ma kształt gruszki). Ignoruje tubylców, którzy opowiadają o oddalonym ledwie o kilkadziesiąt mil drugim oceanie, bo nie pasuje to do azjatyckiej fantazji. Podupada też na zdrowiu.

Kiedy umęczony wraca do Hiszpanii, musi zmierzyć się z jeszcze jednym upokorzeniem. Choroba nie pozwala mu już jeździć konno, z kolei jako szlachcicowi nie wolno mu jeździć na mule. Czeka długo, aż król Ferdynand wyda stosowną zgodę (Izabela tymczasem umiera i, ku rozczarowaniu Kolumba, nie wspomina o nim w testamencie). I tak oto Wicekról Niczego, jak zaczęto go nazywać, rusza w powolną i bolesną wędrówkę, aby, nie wiadomo, który to już raz, żalić się na swój los i snuć dalsze fantastyczne wizje. Jednak Ferdynand nie miał do Kolumba cierpliwości, choć to dzięki niemu Hiszpania właśnie przekształcała się w pierwsze w dziejach świata globalne imperium.

Dramat genueńczyka w ostatnim etapie jego życia (zmarł dwa lata później, w 1506 r.) polegał na tym, że ten sam fanatyczny upór, który pchnął go w podróż w nieznane, uniemożliwił mu zrozumienie doniosłości własnego odkrycia. Jeszcze za jego życia zaczęto używać określenia „Nuevo Mundo" (za sprawą Ameriga Vespucciego), Kolumb jednak nie chciał zaakceptować, że świat, który odkrył, jest nowy. Konsekwentnie nazywał go jedynie „Innym Światem", który już za chwilę objawi się wszystkim jako upragniona Azja, a może nawet jako cudem ocalały przed potopem Eden...

© MICHAŁ SOWIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
Niedorzeczne i dorzeczne

Rzecz to pewna – przestraszyliśmy się. Pierwszy raz od II wojny światowej spadła tu obca bomba i zabiła ludzi. Przestraszyliśmy się, oczywiście, prawie wszyscy, bo zawsze są tacy, którzy się nie boją niczego i nigdy. Każdy z nas wie, że ludzi, którzy się nigdy niczego nie boją, należy unikać, podobnie tych, którzy zawsze boją się wszystkiego. W skrajnych sytuacjach to się oczywiście w życiu zdarza, może być i tak, że mamy w domu zarówno kogoś bojącego się wszystkiego, jak i kogoś niebojącego się niczego. Co robić?

Trzeba się wyprowadzić. Ktoś powie, że skrajny lęk ze skrajnym nielękiem można przecież spróbować mieszać. Że są to substancje podobne dowolnej sklepowej „nalewce babuni", w której arcymistrzowsko zmieszana jest starość z młodością, nowoczesność procesów chemicznych w wytwórni klejów i farb z ich prehistorią. Niestety. Strach z niestrachem nie ulegają miksowaniu i neutralizacji. Stoją zawsze osobno.

Strach przed wojną, nawet umiarkowany, jest – każdy to wie – zwłaszcza w Polsce, emocją dość powszechną i dziedziczną. Pośród obrazów batalistycznych wychowało się mnóstwo pokoleń. Rzecz jasna, tematykę tę opowiedziano w Polsce na każdym poziomie i w każdej możliwej formie przekazu. Od kina po piosenkę, od dramatu po komedię, od literatury złej po dobrą i od partyjnego wiecu po odczyty akademickie. Wojna jako temat jest w Polsce – popatrzmy – ważniejsza niż romans, zwłaszcza gdy nie jest to romans wojenny. Można zaryzykować twierdzenie, że w Polsce, jak niemal nigdzie, o wojnie wiemy wszystko, poza tym, że w żadnej prawdziwej naprawdę nie uczestniczyliśmy od blisko 80 lat. Słowem, o wojnie mamy raczej pojęcie na podstawie tej sprzed ośmiu dekad niż jakiejkolwiek innej, nowszej. Ktoś powie, że to nie jest prawda. Że absolutnie, dzięki technologii mediów, wiemy o wojnach wszystko. Kto, jak nie my. Jest to – zważmy – doświadczenie, które można porównać do lizania ekranu telewizora podczas reklamy lodów. Niby smak jest, ale na pewno nie malinowy.

Stosunek do wojny, choć z jednej strony pełen naturalnego, więc dość oczywistego lęku, jest w Polsce jakby dobry – to wrażenie nie odstępuje nas od wielu lat. Wojna jako mechanizm wychowawczy i formujący osobowość, jako zdarzenie wzmacniające tzw. substancję, eliminujące wstydliwą miękkość, a na pewno – za przeproszeniem – nietwardość. Są to poglądy może nie za częste, ale na pewno słyszalne. Ktoś powie, że głupków nigdzie nie sieją, owszem, ale jednak w Polsce, mimo niesiania, jest ich szokująco wielu, nawet wśród ministrów.

Gdy tak sobie spokojnie gwarzymy o wojnie, spokojnie mimo przypadkowego upadku obcej bomby, gdy brniemy przez kolczaste zarośla tutejszych emocji, ogarniamy łopiany zasłaniające rodakom istotne widoki, gdy w ogóle, ku radości mas czytelniczych, przemyśliwujemy na głos nastroje społeczne, wyrastające przecież z żyznej gleby tutejszej mentalności, przyszedł nam do głowy zestaw pytań. Bardzo – co tu kryć – niesłychanych bądź niezadawanych. Od dość osobliwego, czy mianowicie jest jakiś rodzaj wojny, który by nam tu odpowiadał, pomijając wojnę nuklearną, rzecz jasna, i wojnę domową, co do której nasze mniemania są całkowicie niejednoznaczne. No więc z kim najchętniej? Z kim niechętnie? Czy jest jakiś wyobrażony model wojny, w której byśmy wraz z naszym doświadczeniem uczestniczyli – za przeproszeniem – z przyjemnością? Czy jest jakieś miasto, gdzie byśmy chętnie odbyli defiladę zwycięstwa, której mamy tak silny deficyt? Ktoś powie, że to są pytania niedorzeczne. Śmiemy powiedzieć, że są jednak dorzeczne. Zwłaszcza w kraju wojennych fantazji. Ale jeżeli ktoś czuje się dotknięty, zniesmaczony bądź rozczarowany – to zadamy pytanie bardzo konkretne: co z nami będzie, gdy wybory w USA na powrót wygra Donald Trump? ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie!

...szeleści

* można czytać wspólnie

mogę kolekcjonować i zabrać do lasu

mogę po nim kreślić!

przyciąga wzrok

czytam bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:

Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JEWISH FOOD SOCIETY

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:

zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborcza.pl, wyborcza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet